

Dr. Mroczyński

BACZNOŚĆ!



WYDAWNICTWO EXPRESSU WIECZORNEGO

KAZIMIERZ WROCZYŃSKI

B A C Z N O Ś Ć!
A. R. 7

POWIEŚĆ O ATOMIE

WYDAWCA »EXPRESS WIECZORNY«
WARSZAWA - 1947

OKŁADKĘ PROJEKTOWAŁ
S O L T A N A L E K S A N D E R

COPYRIGHT BY «EXPRESS WIECZORNY»
WARSZAWA - 1947
PRINTED IN POLAND

DRUKARNIA „ROBOTNIK” Nr 1 - SPÓŁDZIELNIA WYDAWNICZEA „WIEDZA” w WARSZAWIE
Nr B. 13-499

BACZNOŚĆ! A. R. 7

CZĘŚĆ I



DŻENTELMEŃSKIE POROZUMIENIE

Może cygaro?

— Owszem. Jednak wypalę je nie tu, lecz na powietrzu.

Fletcher wstał. Dave Morof wzniosłszy z wolna swą wielką głowę, popatrzył przez chwilę pytająco na gościa, po czym ociężale podniósł się zza biurka.

— Jak pan woli. Możemy przejść tędy wprost na taras.

Nie zatrzymując się na tarasie, John Fletcher zszedł z kilku stopni *na* wykładana kamiennymi płytami ścieżkę, a z niej na strzyżony trawnik. Dave człapał za nim.

— Bardzo przyjemnie urządził pan sobie basen. Te lazurkowe kafle na dnie nadają wodzie kolor morza. O — tu pod platanem możemy usiąść i porozmawiać swobodnie.

— Uważa pan, że mój gabinet nie nadaje się do swobodnej wymiany poglądów? — mruknął Dave, osuwając się na czerwony ogrodowy fotel.

— Dla pana, mister Morof, zapewne — tak. Dla mnie — niezupełnie. Ściany mogą mieć uszy.

— U mnie? Czy pan zbyt nie przecenia technicznych możliwości swych chlebobawców?

--- Nie rozumiem tej liczby mnogiej. Jestem, jak panu wiadomo, sekretarzem jedynie profesora Murphy.

— No, tak... przejęczyłem się.

— I ja tak myślę... A teraz, pozwoli pan, że zadam pytanie, czemu mam przypisać powód tak niespodziewanego zaproszenia

innie do pańskiej pięknej willi? I o tak niewłaściwej, bo dla mnie
biurowej porze?

5

— Pozwoliłem sobie ściągnąć tu pana....

— I popełnił pan, przez nieścisle dotrzymanie umowy, wielką nieostrożność, narażając mnie na podejrzenie ze strony profesora. Wielka to nieostrożność, która może szkodzić zarówno panom, jak i mnie. Nie macie telegrafu? Nie macie radia?

— Mocodawcy moi bardzo usilnie nalegali, bym się z panem jak najprędzej porozumiał. I to — osobiście.

— Stało się. Słucham.

— Ile prawdy tkwi w wiadomościach, że profesor znów zrobił jakiś „epokowy wynalazek”?

— O jakim wynalazku mowa? Nasz boss wyczynia wynalazki seriami.

— Pewnie. Rola „Edisona Nr. 2” obowiązuje. Ja mówię o tym, o którym mamrocą od kilku dni wszystkie rozgłośnie Zjednoczonych Stanów. Bomba atomowa ma być wobec niego błahostką. Jakiś wynalazek „A.R. 7”.

— Atom-robot. Wiem o nim tyleż, co pan.

— To czemuż, na Jowisza, sygnalizował go pan naszemu Trustowi już przed paru tygodniami?

— Bo ja trzymam się lojalnie umowy. Miałem przeświadczenie, że jakiś ważny wynalazek jest już gotów, więc...

— A na czymże pan opierał swe przeświadczenie?

— Na specjalnej tajemniczości, jaką profesor okrywa ten wynalazek. Toż nasz Big Ben...

— Kto taki? Pierwszy raz słyszę.

— Oczywiście, bo to najnowsze przezwisko u naszych laborantów, precyzyjna formuła istoty geniuszu profesora Beniamina Murphy: „Wielki Beniamin” — Big Ben.

— Aha — imiennik Westminsterskiego zegara? Bardzo dobre.

— Zegara, oznajmiającego światu ważną nowinę, że o dwunastej jest południe. Profesor również, im wynalazek błahszy, tym głośniejsze o nim dzwoni. A że o A.R. 7 milczy zawzięcie...

— Jakże milczy, gdy wszystkie radia...

— To laborant Hindus Wiszratu pisnął coś tam o A.R. 7 do jednego z reporterów i za to wyleciał z laboratorium na łeb, jak elektron, strącony ze swej orbity promieniem gamma.

— Pan ma humor, mister Fletcher.

— Możliwe. Wyrzucenie Hindusa utwierdziło mnie w przekonaniu, że A.R. 7 jest wynalazkiem ważkim. Dlatego sygnalizowałem go panom. Ale i tyle o nim wiem.

— Hm. W każdym razie, jest to coś ważkiego, jak pan uważa.

— Kto wie... może i istotnie epokowego.

— A zatem...

Dave Morof nadspodziewanie szybko wstał, cisnął niedopalone cygaro w klomb żółtych irysów i zawisł swą zwałista tuszą nad chudym drobnym Fletcherem, obserwującym go uważnie, acz spokojnie ze swego fotela, jak meteorolog gradowa chmurę.

— Zatem — co? — spytał wreszcie Fleteher.

— W imieniu Trustu Miliarderów poruczam panu jak najszybciej dowiedzieć się dokładnie, jakie pierwiastki wchodzi w skład wynalazku A.R. 7 i natychmiast powiadomić o tym Trust przeze mnie.

— Aha. Chcielibyście panowie powtórzyć kombinację analogiczna do tej, jaka miała miejsce z bomba atomowa. Wykupiliście wtedy złoża uranu na całym prawie globie, by uzależnić produkcję bomb od swojej kontroli.

— Jeżeli do A.R. 7 też wchodzi uran, zakup będzie zbyt drogi.

— A jeżeli, nie daj Boże, piasek z woda — zakup stanie się niemożliwy.

— Pan posiada przerost humoru, mister Fleteher.

— Raczej Big Ben choruje na przerost geniuszu i pomysłowości.

— Niechże stan jego geniuszu nie trwoży pana przedwcześnie. Najpierw należy poznać rzeczywistość. Cudów niema.

--- Owszem, zapomina pan o mózgu ludzkim.

— Jednemu mózgowi można przeciwstawić kilka mózgów, które go mogą zniwelować.

— O ile same nie zostaną przezeń zniwelowane.

— W rezultacie znowu cudów nie będzie. Szkoda gadać.

— Tak jest.

Fletcher podniósł się powoli, uważnie obserwując siwy słupek popiołu na swoim cygarze.

— Cóż tedy mam zakomunikować Trustowi M. — nalegał Dave.

— Ze zrobię wszystko, co będę mógł, z wyjątkiem cudu, zdecydował się wreszcie Fletcher i jął otrzępywać marynarkę z popiołu cygara, który nagle na nią spadł. -- Obym się tylko nie sychnął tak jak ten popiół.

— Wtedy zbierzemy pana do złotej urny i umieścimy w pantheonie zasłużonych dla Trustu M.

— Aż tak? Jestem wobec tego niepokieszony, że posiadam własny grób rodzinny. Najbliżsi mieliby żal do mnie, gdybym ich pozbawił swego towarzystwa.

Przez chwilę w milczeniu patrzyli sobie w oczy, jak dwaj gracze przy pokerze. Wreszcie Morof mruknął:

— Przewiduje pan trudności serio?

— Ba... Gra z Big Benem w ogóle nie należy do łatwych.

— Posiada pan jednak tę przewagę, że on nie widzi w panu przeciwnika.

— Gdyby go we mnie dojrzał, byłbym już, jak Hindus, poza ringiem. Lecz od pewnego czasu Murphy nie dowierza nikomu, z wyjątkiem Gladys.

— To ta jego wychowanka?

— Tak jest. Gladys O'Connor. Od trzech lat osobista sekretarka naszego Edisona Nr. 2. Ja jestem tylko generalnym sekretarzem. W gruncie rzeczy formalnie wiem o wszystkim, wyjąwszy spraw, co do których profesor nie życzy sobie, by ktokolwiek o nich wiedział. Przypuszczam jednak, że nieufność jego nie dotyczy Gladys.

— A co part mógłby mi powiedzieć o tej młodej osobie?

— Pierwszej młodości, chociaż panna, to ona nie jest. Dochodzi chyba do trzydziestki.

— Brzydka? .

— Olśniewającej urody. Ojciec Gladys, Patryk O'Connor, przyjaciel i swego czasu współpracownik Murphy'ego, padł ofiarą badań nad promieniami Roentgena, poczynającymi wówczas swą naukową karierę. A że matka Gladys umarła przy jej urodzeniu, więc sierotę przygarnęła nieboszczka żona profesora, Wanda.

— Cóż za imię?

— Polskie, tak jak jego właścicielka, która wychowywała Gladys niczym własną córkę, dopóki oczywiście sama nie umarła, osierocając Gladys po raz drugi, a męża i syna, Stanleya, po raz pierwszy i ostatni.

— Widzę, że w tej smutnej historii nawet matematyczne dane służą panu za odskocznnię dla jego humoru.

— Pokrywam nim melancholię zdegradowania mnie przez Gladys przy osobie profesora. Zresztą któżby sobie chciał odmówić posiadania tak pięknej sekretarki?

— Przypuszcza pan?...

— Nic nie przypuszczam poza motywami czystej estetyki i głębokiego zaufania profesora do duchowych wartości Gladys. Tym bardziej, że przed wyjazdem Stanleya na podbój Hitlera wy-

głądało na to, jakby przybrana siostra z bratem przybranym żywili ku sobie więcej, niżby wymagały najżywsze uczucia siostrzano - braterskie.

— Jednym słowem — wszystko zostaje w rodzinie.

— Zwłaszcza zaś to, co panów najbardziej interesuje: tajemnica A.R. 7. Gladys O'Connor z pewnością nie będzie słabym punktem, przez który dałoby się przeniknąć do sedna sprawy.

— Nawet przy pańskiej nieocenionej pomocy?

— Choć wierzę, że panowie potrafiliby należycie mą pomoc ocenić, przyznam się, że chętnie poniechałbym tej partii. Wśród wymyślnych niespodzianek, jakimi Big Ben zabezpiecza swe wynalazki, że pomnę już uroczą hydrę — Gladys, łatwo można skrócić kark. Wiem coś niecoś o tym i bynajmniej nie rwę się do takiego posłannictwa.

— Czyżby nawet należyta ocena przez nas pańskiej w tym względnie kolaboracji, ocena w formie ekstra premii, nie była w stanie dodać panu bodźca do pomyślnej rozgrywki?

— Hm. Myśl pańska — pomimo wszystko — nie jest pozbawiona sporej dozy słuszności. Ale wiele?

— Pozwolę sobie poczekać na przejaw pańskiej dzielnej inicjatywy. Ile?

— Ujmijmy to w dodatkowy punkt naszej umowy: jeden promil ponad zwykłą normę od transakcji finalnych i 50.000 dolarów zaliczki, przelane na moje konto czekowe do Union Bank w San Francisco jutro. I nie mówimy o tym więcej, bo czas na mnie. Już po dziewiątej.

I Fletcher pomaszerował w stronę willi.

— Chwileczkę, bo nie jestem w stanie sprostać pańskiemu tempu...

Fletcher niechętnie zwolnił kroku.

—Zwłaszcza — dodał, dochodząc doń Morof — że różnimy się nie tylko co do sportowej swej formy, lecz i co do poglądów na ekstrapremię.

— To znaczy?...

— Ćwierć promil i 20.000 dolarów jutro.

— Widzę, że nawet okrążając willę, wcześniej dojdziemy do mego auta niż do porozumienia. A to daje mi poważne szanse na poniechanie pańskiego pięknego planu.

— Możemy pójść dalszą drogą. Pokażę panu rozarium.

— Szkoda moich nóg, pańskich słów, a może i pieniędzy Trustu, tym bardziej, że coraz jaśniej uświadamiam sobie ryzyko proponowanego mi zadania. Panowie nie zdajecie sobie sprawy z ca-

lego kompleksu utrudnień, jakimi Big Ben obwarowuje swe AR 7. Szereg laborantów pracuje nad tym. Każdy według wskazówek Murphy'ego wytwarza tylko jedno ogniwo z całego łańcucha ogólnej roboty. Konstrukcji całości nie zna nikt, oprócz profesora.

— Jednak Wisztru potrafił się w niej zorientować, skoro...

— Co — Wisztru? Fantazja Hindusa mogła sobie wymaginywać bajeczkę...

— I wyleciałby za bajeczkę? Gdyby w niej nie było na dnie sensu?

— A panom chodzi o sens, czy o istotne dane?

— Więc niechże będzie pół promil i 30.000 dolarów.

Fletcher w odpowiedzi przyśpieszył kroku.

— Ha. Więc jak się panu podoba! — rzucił za nim Dave.

Fletcher nagle przystanął.

— Owszem, podoba mi się, jak piękna kobieta, ale z felerem: z zezem.

— W stronę Wisztru? Nie. Mamy większe zaufanie do pańskich zdolności.

— Tedy oceńcie je wreszcie, jak się należy?

— Dobrze. Ostatnie słowo. Trzy czwarte promil...

— I 50.000 dolarów jutro, co pozwoli mi zoperować feler zeza.

— Aha. Wisztru z tego też coś musi kapnąć.

— Moja rzecz. Panom chodzi chyba o rezultat, nie o metody, jakich użyję.

— Niech tylko będzie rezultat. Ale kiedy?

— Prorokiem nie jestem. Zależy mi chyba na czasie nie mniej niż panom. Otóż i moje auto. Więc?

— O key, mister Fletcher. Przyznać jednak muszę, że prze-pędziłem z panem czas bardzo rączo. Jeszcze tchu złapać nie mogę.

— Bylebym tylko ja zdążył na czas. Big Ben nie znosi opóźnień. Zwłaszcza teraz muszę być w stosunku do niego bez zarzutu.

— Z Oakland do Frisco nie tak znów daleko. Więc czekamy na wiadomości. So long!

Klakson odjeżdżającego auta zabrzmiał jak fanfara na pomyslną zawartą transakcję.

— Skąpe bydle! — myślał Fletcher zwiększając szybkość.

— Ten nas doi... — mruczał Morof, tocząc się do wili.

CZARNOKSIĘŻNIK I JEGO MEDIUM

Profesor Benjamin Murphy, najwyższy naukowy autorytet U.S.A., zwany przez prasę świata „Edisonem Nr. 2”, siedział przy pracy w swym olbrzymim gabinecie, którego jedna ściana całkowicie oszklona odsłaniała panoramiczny widok na spiętrzone grupy niebotyków San Francisco, uciekający w dal taśmę wiszącego mostu do Oakland, wodne błękitne rozchwieje Golden Gate i zatoki San Pablo z rozproszonymi wzdłuż pobrzeża skalistymi wyspami.

Gabinet robił wrażenie gondoli dirigeable’u, planującego nad miastem, toteż Murphy nazywał go swą kabiną pilota, skąd, sam będąc izolowany na których tam piętrze, miał wgląd i nadzór nad całą falangą swych laborantów, mozolących się po halach, rozsiansych wokół gmachu głównego.

Zmontowane na środku gabinetu wielkie biurko o kształcie prawie że koła, w centrum którego stał obracający się na trzpieciu fotel profesora, zavalone było tłumem aparatów osobliwego kształtu i przeznaczenia, gdzie dyktofon, telegraf, grupa telefonów, ikonoskop i krótkofalowa stacja radiowa nadawcza należały do najbardziej podręcznych. Na ścianach wśród wykresowych tablic, planów i olbrzymich map widniały tafle radarów i telewizorów. Cały zresztą teren rozległego gabinetu, zatłoczony precyzyjnymi modelami kapitalnych wynalazków profesora, przedstawiał jakby muzeum geniuszu ludzkiego, — obraz zaklętych w maszyny tajemnic wyrwanych naturze, a zmuszanych do pracy na użytek człowieka.

W tym przedziwnym gąszczu maszynowych modeli, apar-

towych konstrukcji o kształtach przerastających kubistyczną fantazję, w tej dżungli kabli, cylindrów, trybów, rur, przewodów i dźwigni Murphy pracował z matematyczną dokładnością robota, telefonując, notując, telegrafując, dyktując i obliczając, by w ostatecznym rezultacie rzucać lakoniczne nakazy i wskazówki ekipie czołowych laborantów.

Genialny fizyk przy swych pięćdziesięciu kilku latach wyglądał prawie że młodo. Silny brunet o rysach Napoleona, nieodpartych oczach, krzepkiej budowie i władczych ruchach, wywierał fascynujący wpływ na otoczenie. Nie mówił, lecz orzekał, a nawet słuchając milczał jak pomnik. Z tą pomnikową powierzchownością niepokojąco kontrastowała wrząca nieprzerwanym wysiłkiem działalność profesora.

„Ojciec ustawicznie reguluje w sobie napięcie paruset atmosfer” — wyraził się kiedyś syn jego, Stanley, do Gladys.

I obecnie z lapidarnym spokojem rzucane w słuchowe aparaty dyspozycje nie zdradzały bynajmniej, jakich natężeń mózgowych były rezultatem; narzucały jednak bezwzględny posłuch tym pracownikom laboratoriów i hal, ku którym były kierowane. Niewidzialny, a wszechobecny Murphy autorytatywnie powodował każdym trybem swego skomplikowanego aktywu z „kabiny pilota”.

W czasie tych porannych „godzin zamierzeń i osiągnięć”, jak je nazywał, nikt nie miał prawa wstępu do gabinetu, ani zresztą mógł doń wtargnąć przez elektrycznie zamknięte drzwi. W wyjątkowo ważnych wypadkach śmiała ów zakaz przekraczać jedynie Gladys. Gladys O'Connor, osobista sekretarka, Gladys — wychowanka profesora. Gladys...

Gladys, myśl o której była jedynym hamulcem, jaki mógł powstrzymać wartki tok „zamierzeń i osiągnięć” Murphy'ego i z nad barykady aparatów stłoczonych na biurku przerzucić jego wzrok i myśl poprzez tafle okna - olbrzyma, poprzez niebotyki San Francisco gdzieś — hen, na rozlewiska morskie, ku takim zamierzeniom i osiągnięciom, że po zapierającym dech w piersiach polocie nad ich urokami i myśl i wzrok w oszołomieniu cofały się i z powrotem spadały na chaos aparatów biurka.

Gladys... słoneczny blask tego imienia rozbłyskiwał tęczowo poprzez kryształ soczewek, bił oślepiająco z lusterek mikroskopów, brylantowo przeciekał przez wizjery, rozplomieniał ebonitowe polityry przyrządów. Gladys... lecz nagle mierzchły fasety blasków, szarzały soczewki, ponuro czerniały ebonity. Słońce — Gladys przesłoniła chmura — Stanley.

Stanley... syn... Syn Wandy.

Splodził go Murphy, ale Stanley pozostał synem tylko Wandy — Stanisławem, czy jak go tam nazywała w chwilach swych słowiańskich uniesień — Stach... Staszek...

Słowa te szeptane w egzaltacji jej pieszczot ze „Staszkiem” brzmiały tak obco w uszach profesora, jak obcą stawała mu się coraz bardziej ta polska żona ze swym synem, rozkochanym w matce, a boczącym się na ojca.

Czyż można było przypuszczać, że utalentowana młoda labo-
rantka fizyki, której wrócono przyszłość amerykańskiej Skłodow-
skiej, a która tak zdumiewała intuicyjnym polotem swych nau-
kowych koncepcji młodego uczonego Murphy’ego, że ożenił się z
nią w przeświadczeniu, iż znalazł, jak Curie godną siebie towa-
rzyszkę prac i życia, — czyż można było przypuszczać, iż z pierw-
szym dzieckiem tak zatraci się ona w swym macierzyństwie i zgi-
nie zarówno dla nauki, jak dla męża?... Zupełnie nieobliczalni w
swych fantastycznych impulsach są ci polscy Słowianie. Syn fe-
nomenalnej polskiej tragiczki, Heleny Modrzejewskiej, Ralph,
wyrasta na mistrza inżynierów, buduje ów widoczny przez okno
gabinetu cud świata, — najdłuższy nad oceaniczną zatoką wiszą-
cy most z San Francisco do Oakland. A syn Wandy Drewicz (no
i bądź co bądź jego — Benjamina Murphy’ego), zdziczały po
śmierci matki, staje się jakimś zlepkiem bezsensownych porywów
i anormalnych wybryków, gorszących całe miasto. Szaleje w wa-
riackim sporcie pogoni za innością. Zmienia światopoglądy jak
krawaty. Teozofia, indywidualny anarchizm, komunizm, synar-
chia, neokatolicyzm, a wszystko to przeplatane w przerwach he-
donistycznymi szaleństwami. A — co najgorsze — że stanleyowy
galop par force poprzez wariactwa bynajmniej nie odstręcza od
niego, bolejącej zresztą, Gladys. Tak wzrastał ów urczny
kwiat celtycki wraz ze Stanleyem zrazu pod opieką Wandy.
Miłość siostrzano - braterska oplotła ich swą silną więźbą. Ale
potem, po śmierci Wandy więźba ta poczęła niepostrzeżenie dla
niego — Murphy’ego przybierać charakter coraz to większej nie-
rozerwalności, acz innego typu. Gdy się wreszcie spostrzegł, prze-
raziło go to. I począł, odrywając się z trudem od swoich prac, po-
święcać temu coraz więcej uwagi. Zmuszał go zrazu surowy obo-
wiązek. A potem... Gdy sobie uświadomił, że... Zrozumiał, iż
wszystko za późno. Zarówno dla nich, jak dla niego...

Lecz nie. Nigdy nie jest za późno, jeżeli wyteńczyć wolę do na-
leżytego stopnia. I on wyteńczy. W odpowiedniej chwili. Jak to
uczyni obecnie, bv wrócić do nawiązania przerwanej pracy.

Po śmierci Wandy na dorastający Gladys spadły automatycznie rządy domowe. Profesor tonął doszczętnie w swych pracach i prawie nie udzielał się zarówno Stanleyowi, jak Gladys. Młodzi uczyli, że są pozostawieni samym sobie. I wówczas w ich bratersko-siostrzane obcowanie poczęły się stopniowo wkradać jakieś poniewolne onieśmielenia, jakieś dziwne, a przejmujące zakłopotania, zamykające nagle drogi do poprzednich szczerości, kładące niespodziewanie pieczęcie milczenia na usta, jak dotąd nawykłe do wzajemnych zwierzeń wewnętrznych myśli i przeżyć. Stosunki pomiędzy nimi stawały się coraz bardziej sztuczne, naciągnięte, nieznośne. Bolało to Gladys tym bardziej, że z powodu wrodzonej nieśmiałości nie posiadała żadnych przyjaciółek, impulsywnego zaś Stanleya doprowadzało do pasji i nagłych szorstkich wybuchów, jeszcze bardziej odsuwających ich od siebie. Wreszcie współżycie zredukowało się do wspólnego ceremoniału obiadowego, do którego co pewien czas należał i profesor. W wielkim mieszkaniu, które zajęli od lat w obrębie kompleksu laboratoriów profesora p. n. „Murphy's Laboratory” na Telegraph Hill, gdy wynalazki, a raczej patenty za nie, zaczęły „Edisonowi Nr. 2” przynosić fantastyczne dochody, profesor, Gladys i Stanley mieszkali jak w hotelu, każde zajmując szereg własnych pokojów i żyjąc w nich życiem odrębnym.

Stanley po ukończeniu uniwersytetu jął zachowywać się nad wyraz niepokojąco. Bądź przepadał całymi tygodniami niewiadomo gdzie, bądź sprowadzał i gościł u siebie grona dziwnych osobników, którzy urządzali jakieś hałaśliwe zebrania, kłótniwie dyskutowali całymi nocami lub zachowywali się tak dziko i niesfornie, że dostojny Hannibal, Murzyn pełniący coś w rodzaju urzędu majordomusa, na zapytanie Gladys, co się tam właściwie dzieje w pokojach Stanleya, wyróciwszy oczy białkami do góry, odparł grobowo:

— Babilon! A sam mister Stanley jest niczym Nabuchodonozor!

Gladys nie badała już dokładniej odczytanego w biblii Hannibala, lecz wróciwszy do siebie długo płakała.

Raz, przydujący przypadkowo na obiedzie profesor, spytał nagle Stanleya:

- Co zamierzasz uczynić z sobą, ukończywszy studia?
- Zamierzam studiować dalej.
- Radbym wiedzieć co?
- Życie.
- Odpowiedź równie mętna, jak twoje oczy w tej chwili,—

uciał indagację profesor, lecz w kilka dni później znowu powrócił do tematu.

— Kim ty wreszcie zamierzasz zostać, Stanley?

— Cezarem Borgia, ojczy.

— A kimże był ów Cezar Borgia? Bo niezbyt dokładnie przypominam sobie średniowieczne historyjki europejskie.

— Cezar Borgia był synem pewnej znakomitości.

— Kogo?

— Papieża Aleksandra VI-go.

— I to było całe jego zajęcie?

— Niezupełnie. Był on ponadto, oprócz polityki, szalenie zajęty Lukrecją.

Ze zdrętwiałych nagle palców Gladys wypadł widelec, tłukąc talerz.

Hannibal podbiegł ze świeżym.

— Twój Cezar przejawiał skłonności nienaturalne, bo... o ile wiem, za lukrecją „szaleją” tylko małe dzieci.

— Pozwól sobie powiedzieć, ojczy, że twoja lukrecja nie ma nic wspólnego z Lukrecją... Cezara.

Od tej rozmowy Gladys poczęła jeszcze bardziej unikać Stanleya.

— Przestań, bo stajesz się nudny jak lukrecja.

Nachodziły na nią chwile przerażeń, dławiących serce prawie do omdlenia. Aż instykt samozachowawczy podsunął jako jedyny sposób ratunku — ucieczkę. Łamiąc się w sobie, postanowiła opuścić dom profesora pod pretekstem wyjazdu do Chin jako sanitariuszka.

Prasa U. S. A. właśnie urabiała opinię do tej zakreślonej na szeroka skale samarytańskiej akcji.

Nagle w Europie wybuchła wojna. Niemcy napadły na Polskę. Stanley podał się na ochotnika do wojska. Gdy oznajmił o tym przy stole, dodając, że jutro wyjeżdża na przeszkolenie, Gladys rzekła odruchowo:

— Ja też...

— Co takiego? — uniósł brwi profesor.

— Mam zamiar wyjechać jako sanitariuszka do Chin. Właśnie ukończyłam kurs.

— I tak z lekkim sercem pozostawiasz dom i — mnie?

— Czy do prowadzenia gospodarstwa nie wystarczy Hannibal?

— Zapewne. Lecz zamierzałem ci już od pewnego czasu

powiedzieć, że potrzebna mi będzie twa pomoc w innym zakresie.

— W jakim? — zdziwił się Stanley.

— A cóż to cię obchodzi? Tym bardziej, skoro wyjeżdżasz.

I zwracając się do Gladys, profesor orzekł tym nieznoszącym w ważnych wypadkach sprzeciwu głosem:

— Tak się składają pewne sprawy, że potrzebuje nieodzownie pomocy osoby zaufanej. Osobą tą możesz być tylko ty, Gladys. Mam chyba prawo przypuszczać, że mi nie obmówisz?

— Oczywiście, ojcze, — cichym głosem zgodziła się Gladys.

— Dziękuję ci. Byłem tego pewny, — rzeki profesor wstając od stołu i zwracając się do Stanleya dodał:

— A ty czyń, coś postanowił. Dobrze ci to zrobi. Chcę wierzyć, że wrócisz innym.

— Postaram się, choć wątpię, czy wrócę.

— Och, po cóż ten pesymistyczny sentymentalizm?

— Bynajmniej. Powiedziałem, że wątpię, czy wrócę, bo może zostanę w Polsce.

— Aż tak?... Twoja rzecz. W każdym razie życzę ci wszystkiego najlepszego.

— Dziękuję.

Po odejściu profesora Gladys przeszła ze Stanleyem do biblioteki, skąd rozchodziły się drogi do ich pokojów.

— Nie ma tak dobranego towarzystwa, które by się nie rozeszło, — nadrobił żartem Stanley. — Wiec... żegnam cię, Gladys.

— Och, Stanley... Gdybyś ty wszystko wiedział!.. — z oczyma pełnymi łez nie mogła się powstrzymać Gladys.

— Żądasz niemożliwości, ale coś niecoś wiem... Pozwolisz na pożegnanie... pocałować cię?

— Och, Stanley!... — zarzuciła mu rękę na szyję.

Straszliwy pocałunek powiedział im wszystko. Rozbiegli się po nim, jak spłoszone ptaki.

Od tej chwili upłynęło kilka lat. Przewalił się huragan wojny.

I teraz, gdy profesor ze swej kabiny „pilotował zamierzania i osiągnięcia”, przerwało mu pukanie do drzwi. Nacisnął taster. Weszła Gladys z depezą w ręce.

— Daruj, że ci przeszkadzam, ale... Stanley wraca, — podała depezę.

Profesor zachmurzył się.

— Oo... Zatem nie został tam — w Polsce... Ale brałem pod uwagę i tę możliwość. Wnosząc z treści depeszy, może przybyć nawet dziś. Trudno. Muszę tedy uprzednio z tobą pomówić i to zaraz. Źle się stało, że tego nie zrobiłem wcześniej.

Murphy wyszedł zza biurka i stanął przed oknem w zamyśleniu. Wreszcie skinął na Gladys. Podeszła. Patrzył przez chwilę w jej brązowe oczy swym ciężkim wzrokiem, aż odwróciła z wysiłkiem głowę w trwodze niepokojącego oczekiwania. Uczuła się jak przed burzą.

— Gladys, zgódź się na to, co powiem.

— Na co, ojczy?

— Nie jestem twym ojcem i chcę, byś zaniechała już wreszcie tego sposobu mówienia do mnie. Byłem ci tylko opiekunem, a od paru lat jesteśmy przyjaciółmi i współpracownikami. Obecny zaś stan rzeczy wymaga, by przyjaźń ta i współpraca zacieśniły się jak najbardziej. Dlatego też, jeżeli Stanley wrócił po ciebie, wysłuchaj przed tym mego zwierzenia... Nie sianiaj się. Usiądź, bo powinnaś mnie wysłuchać i usłuchać.

SPOWIEDŹ FAUSTA

— Tak, jak w tej chwili z tobą, nie rozmawiałem jeszcze nigdy w życiu z nikim — zaczął powoli profesor, jakby ważył każde słowo. — Wybacz więc, że będę mówił nieco może chaotycznie, lecz wierzę, sądząc z paruletniej współpracy z tobą, że mnie zrozumiesz. Znasz moje życie od szeregu lat, a od paru — poznałaś wiele mych prac. Nie zdajesz sobie jednak sprawy z najważniejszej — z mego wynalazku A. R. 7, którego zastosowanie będzie największą rewolucją, jaką przeżyje ludzkość. Rewolucja ta zmienić musi do gruntu całkowity układ zarówno społecznych, jak i politycznych stosunków tego świata. Dlatego tak strzegę tajemnicy A. R. 7.

— Piszą jednak o niej i mówią.

— Przeklęty Hindus!.. Jednak istoty A. R. 7 nie zna nikt prócz mnie. A teraz ty poznasz. Widzisz więc, jak bezgranicznym zaufaniem chcę cię obdarzyć.

— Czy to konieczne?

— Z pewnych względów — tak. Więc słuchaj. A. R. 7 czyli atom-robot jest to kompleks aparatów, które powodują rozbięcie atomów nie tylko uranu i toru, lecz tworząc cały szereg nowych pierwiastków, wyzwalają z nich całą energię atomową za pomocą promieni kosmicznych. Można oczywiście moją metodą fabrykować bomby atomowe o wulkanicznej sile, ale nie o to bynajmniej mi idzie. Raczej wprost przeciwnie. Nie spontaniczny wybuch jest rezultatem mego wynalazku, lecz dowolne a planowe, zorganizowane produkowanie energii dla celów roboczych,

fabrycznych, rolniczych transportowych, jednym słowem, nie na szkodę — jak bomba atomowa — lecz na użytek i pożytek ludzkości całego globu. Mój A. R. 7 może zaopatrywać w energię wszystkie maszyny i motory świata.

— Rozumiem. To jest rzeczywiście wynalazek epokowy.

— A rozumiesz, jaka wtedy nastąpi zmiana warunków tego bytu? jaki przewrót gospodarczy i ekonomiczny? Nie potrzeba będzie odtąd żadnego węgla czarnego czy białego, żadnej benzyny. Żadnych gazowni ni motorów spalinowych. Problem energii dla wszelkich prac i produkcji rozwiązany raz na zawsze na cały świat aż do końca świata. I szafarzem tego skarbu dla ludzkości będę ja. Tylko ja! Pilot A. R. 7. Nawiasem mówiąc liczba 7 oznacza siedmiokrotne modyfikacje, przez które przeszedł wynalazek.

— Tylko ty? Tego nie rozumiem. Toż oddając wynalazek na użytek całej ludzkości musisz go ujawnić, by zbudowano jak najwięcej aparatowych stacji A. R. 7 na obszarach globu.

— A czyż ja powiedziałem, że go ujawnię? Kwestie tę prze-myślałem, rozwiązałem i zdecydowałem. Ujawnić istotę produkcji A. R. 7 to znaczy dać możliwość fabrykowania różnym imperialistycznym państwom, bądź też międzynarodowym organizacjom dla ich zaborczych celów, bomb atomowych o sile zdolnej unicestwić ludność całych lądów. W dzisiejszym układzie politycznych stosunków globu wymordowanoby się nawzajem w pień.

— Straszny jest ten twój wynalazek!...

— Nie on jest straszny, lecz poziom moralny dzisiejszej ludzkości. A właściwie straszna jest żądza panowania, tkwiąca w pewnym jej odsetku. Żądza, dla której zaspokojenia te harpagony władzy pod osłoną frazesów o uszczęśliwianiu narodów nie cofają się przed niczym.

— Hitler...

— Chociażby. Dlatego to posiadaczem, strażnikiem i dysponentem tajemnicy A. R. 7 może być tylko jeden człowiek. I to w żadnym wypadku nie polityk, lecz — uczoney.

— Także ten jeden uczoney będzie w stanie mieć nadzór nad produkcją wszystkich stacji A. R. na całym globie?

— Stacja będzie jedna i produkcja jedna, ponieważ A. R. 7 udało mi się związać uzupełniająco z jeszcze jednym niemiernie ważnym wynalazkiem: z przesyłaniem wyprodukowanej energii na dystans. Idea taż sama co w świetle słońca, które darzy nas swą energią na dystans, taż sama, co w radio przy nadawaniu

i odbiorze elektromagnetycznych fal kierunkowych. Potrzebne będą tylko wszędzie odpowiednie stacje odbiorcze. Rozumiesz?

— Tak. Rozumiem wszystko z wyjątkiem powodu wtajemniczenia mnie w te sprawy. Przerastają i przerażają mnie swym ogromem.

— Powód prosty. Wierzę ci jak samemu sobie. Ponieważ zaś przewiduję, iż na skutek głupiej nielojalności Wisztru mogą w celu ujawnienia tajemnicy A. R. 7 powstać wysiłki ze strony różnych, powiedźmy, ośrodków nie cofających się przed niczym, byleby osiągnąć rezultat, — muszę mieć szanse pewnego zabezpieczenia wynalazku. Taką szansą będzie twoja pomoc.

— Moja? W jaki sposób?

— Bardzo prosty: w formie przez nikogo specjalnie nie podejrzewanej powiernicy, która w wypadku, gdyby mi się coś nagle przytrafiło...

— Przerażasz mnie jeszcze bardziej!..

— Uspokój się. To są tylko przypuszczenia, ale — konieczne. Otóż, gdybym na przykład nagle zniknął, wynalazek powinien spełnić wyznaczoną mu rolę, nie wpadając w ręce niepowołane, tylko równie właściwe jak moje. I właśnie jedynie ty będziesz mogła to zrobić.

— Jak?...

— Powiem, gdy uprzednio podejmiesz się posłannictwa. Podkreślam to słowo, gdyż chodzi tu o istotne dobro całej ludzkości. Pomyśl. Jeszcze żadnej kobiecie w dziejach nie przypadło odegrać tak ważkiej a pożytecznej roli, jaka może się stać twoim udziałem. Więc?... Milczysz?!... Gładys!!

— Dobrze. Zrobię wszystko, by należycie spełnić ten obowiązek, — głucho rzekła Gładys.

— Byłem tego pewny.

— Lecz nie jest wykluczone, że się moja pomoc może okazać zbędną?

— Nawet bardzo możliwe. Mówimy na wypadek ostateczności. Więc słuchaj. Jest paru ludzi na świecie, ludzi w pełnym tego słowa znaczeniu, wielkich sercem i geniuszem, którzy poświęcili swe życie i zdolności pracom nad wydobyciem ludzkości z tego fatalnego impasu, w jakim się ona dzisiaj znajduje, gdy na masach szarych poczciwców żerują zorganizowani spryciarze. Otóż tych paru ludzi widzi jedyny ratunek na to w twardej stanowisku nauki. W twardej, to znaczy nie rzucającym jak dotąd na oślep perły swych odkryć i wynalazków wieprzom.

wdeptującym je w błoto politycznej czy giełdowej spekulacji. W twardym, to znaczy nie po to, by

„...prawdy swe przepotworzone widzieć

W zasadzki, z których łotr na głupców zmierza spaść...” jak pisał Kipling, a rozpaczał Nobel, który wynalazł dynamit do rozsadzania skał, a nie miast. W twardym, to znaczy trzymanym w naszych rękach nieujawniających tajemnic takich, które mogłyby być potem „przepotworzone”, jak dynamit Nobla. Taka tajemnicą musi zostać A. R. 7. I gdyby mnie nie stało, obowiązkiem twoim, Gladys, jest przekazać tajemnicę jednemu z tych paru ludzi.

I wrywając kartkę z bloku, Murphy napisał na niej kilka wierszy i podał Gladys.

— Zapamiętaj sobie te nazwiska i adresy, a kartkę zniszcz!

— Dobrze. Lecz jakże będę mogła przekazać istotę A. R. 7, która na pewno przerasta zakres mych wiadomości naukowych. Obawiam się, że gdybym nawet miała wykuć wszystko na pamięć. popłaczę mi się...

Zakłopotanie Gladys wywołało półuśmiech na ustach profesora.

— Nie obawiaj się, miła. Opis A. R. 7, odnośne obliczenia, formuły i plany wypełniają okazałą obwolotę...

— Tym bardziej!...

— ... która znajduje się w jednej ze skrytek tego biurka. Wyjmiesz ją po prostu, a w jaki sposób, zaraz ci pokaże. I odasz z rak do rąk, chyba...

Na biurku nagle zabłysła czerwona lampka. Murphy szybko wstał.

— Znów jakiś wypadek. Muszę na krótko opuścić cię. Czekał tu na mnie i nie wychodź, choćby nawet przyjechał Stanley. Trzeba uprzednio skończyć naszą rozmowę.

Gladys instynktownie szła za wychodzącym profesorem, jakby w obawie, by nie zostać samej w martwej ciźbie maszyn, lecz nim doszła progu, ciężka płyta drzwi zasunęła się, izolując ją w pracowni jak w samotrzasku. Pierwszą myślą było, gdy stanęła bezradnie, że — podobnie jak tu — znalazła się nagle a nieodwołalnie w takimże samotrzasku życiowym. Z rosnącym lękiem poczęła sobie uświadamiać, jak za własną zgodą stała się mimowolnym pionkiem w jakiejś wielkiej a zawikłanej rozgrywce zmagających się ze sobą tajemnych światowych sił, w jakiejś straszliwiej partii, decydującej o przyszłości globu.

Wszystko, co do tej pory stanowiło sens i treść jej osobiste-

go życia, stawało się nagle bezprzedmiotowe, nieważne. Zostało jakby po tamtej stronie zasuniętych drzwi. Ostatnie lata wewnętrznych przeżyć, lata, które poza obowiązkowymi godzinami pracy przy profesorze, splatały się w kręgi trwożliwie upojnych myśli o Stanleyu, że wróci... Przecież po długich miesiącach milczenia, jał pisywać do niej. Zrazu chaotycznie, stłaczając suche biuletyny swej żołnierki ze swoiście dziwacznymi refleksjami, potem coraz bardziej wpadając w ton dawnych młodocianych wynurzeń, aż — po długim milczeniu, które bała się sobie wytłomaczyć, przejęta nagle okrutnym lękiem o jego życie, — ten ostatni list, że wraca „po nią”...

I teraz wszystko zostało po tamtej stronie zasuniętych metalowych drzwi. A on może już wrócił i czeka na nią, zamkniętą w tej pracowni nowoczesnego Fausta.

Opamiętało ją jednak poczucie rozsądku i humoru, które zwykle wywoływała w sobie na pomoc w trudnych chwilach.

— Czy nie nazbyt operowo ujmuję sytuację? — zdobyła się na przeciwwargument. — Zadanie, które wzięłam na siebie, skończy się przecież. Może i niezadługo. Doczekam, bo i zaprawę mam po temu. I Stanley musi poczekać...

Ochłonęła. I gdy płyta drzwi znowu wreszcie wsunęła się w ścianę, a profesor stanął na progu, patrzyła już nań ze swą zwykłą, cichą pogodą.

— Przepraszam cię, Gladys, za to intermezzo.

— A cóż zaszło?

— Ot, zwykły wypadek. Przy cyklotronie, jak na polu bitwy. Ale, zdaje się, że będzie żył.

— Znam go?

— Wątpię. Jeden z laborantów. Niejaki Kania. Epizod bez znaczenia. Wracamy do sprawy. Zresztą będę się streszczał. Obwoluta tycząca A. R. 7 znajduje się w skrytce biurka. W tym miejscu. Odkręcisz łeb psu, który tu tkwi jako przycisk. Pełny obrót gwinta, 360", rozsuwa blat o tyle, że możesz obwolotę wyjąć, by wręczyć ją komu należy.

— W spisie mam parę nazwisk.

— Pierwszemu z kolei. Gdybyś się z nim nie mogła skontaktować przez radio (fala i czas zaznaczony), w tenże sposób spróbujesz skomunikować się z osobą następną, w ostateczności — z trzecią.

— I na tym kończy się moje zadanie?

— Niezupełnie. Dopuśćmy wypadek najgorszy. Nie będziesz w stanie porozumieć się z nikim. Wtedy — należy zniszczyć

A. R. 7. Poszukiwać tych ludzi osobiście nie będziesz, bo w międzyczasie biurko mogłoby być spenetrowane.

— A któż wpadnie na pomysł, że właśnie tu trzeba szukać?

— Nie wiem. Należy teoretycznie liczyć się z najgorszym. Raczej przecenić, niż niedocenić przeciwnika. Tak zresztą sprawa została ustalona z tymi, których masz w spisie. Lepiej zniszczyć A. R. 7, niżby ludzkość, jaka ona tam teraz jest, miała być zniszczona. Nie wykluczajmy możliwości, że wrócę. Wtedy zrestrytuuję dokumenty, leżeli więc dojdiesz do przeświadczenia, że powstała owa najkrytyczniejsza sytuacja, — przekręcając psu łeb dwukrotnie, skręcisz równocześnie kark całemu A. R. 7. Zginie.

— Tak to zginie?

— Bez żadnej magii. Po prostu na papiery wyleje się kwas, który je spopieli doszczętnie. Oto wszystko. Rozumiesz?

— Tak. Lecz jestem przekonana, że do tego nie dojdzie. Wierzę natomiast, że zrealizujesz twój wynalazek w formie, jaką uważasz za najwłaściwszą. Wolno mi spytać, kiedy, zdaniem twoim, to może nastąpić?

— Trudno mi odpowiedzieć dokładnie, lecz przypuszczam, że mniej więcej za rok.

— Czyli, że po roku będę już wolna, nieprawdaż?

Zamiast odpowiedzi profesor wbił swój ciężki wzrok w oczy Gladys. Czują, że nie wytrzyma go długo, i pokryła zmieszanie pytaniem.

— Czemu mi nie odpowiadasz?

— Bo nie wiem dokładnie, jaką myśl kryjesz za swymi słowami. Kiedy „będziesz wolna?” A czyż nie czujesz się nią stale? Czyż cię do czego zniewalam? Proponuję, przedkładam...

— Nie ty zniewalałaś, lecz sprawa.

— Z chwilą, gdy się na nią zgadzasz, bierzesz tylko na siebie pewne zobowiązanie. Lecz bierzesz je dobrowolnie. Na tym polega zasadnicza różnica pomiędzy obowiązkiem a niewolą. Ja biorę na siebie obowiązek dostarczenia A. R. 7 ludzkości. Czy przez to staję się jej niewolnikiem? Raczej dobroczyńcą.

— Wiem, że w rozumowaniu, a raczej w dialektyce, nie jestem ci w stanie dorównać. Pozostawmy więc ten temat.

— Przekonałaś mnie. Pozostawmy.

— Może mi za to odpowiesz na inne pytanie. Dlaczego chciałaś koniecznie rozmowy ze mną o A. R. 7 przed tym, nim... przybędzie Stanley.

Murphy uśmiechnął się jednym kątem ust, lecz oczy mu zmroczyły. Spojrzał na zegar.

— Chcesz dojść do swego celu inną drogą. Dobrze. Lecz przed tym muszę przeprowadzić małą inspekcję w laboratoriach.

— Znowu wyjdiesz?...

— Po co? Kontroluję ich stąd. Widzisz tę klawiaturę? Naciskam odpowiedni guzik i widzę. Włączam mikrofon i słyszę. Przede wszystkim muszę zobaczyć, co porabia Fletcher.

Ścienna tafla na ścianie po lewej stronie biurka poczęła różowieć, aż znikła. Ukazał się natomiast w tym miejscu jak gdyby pokój na scenie: bez ściany od strony widzów.

W pokoju tym przy maszynie do pisania siedział młody człowiek studiując z wielką uwagą w kieszonkowym lusterku przyszc na nosie. Nagle szybko wszedł Fletcher.

— Znowu pracujesz nad badaniem odbicia swego nosa w lusterku, siostrzeńcze? — zauważył, siadając przy biurku.

— Owszem, ponieważ jest to jedyny sposób, w jaki mogę się odbić, zajmując tak nędznie płatną posadę, — odparł młodzieniec, chowając lusterko.

— Bądź pewny, że nie stanę ci na drodze do szczęścia, jeżeli znajdziesz sobie lepiej płatną. Big Ben telefonował?

— Jak dotąd, ominął nas ten zaszczyt.

— Smuci mnie to, — i Fletcher jął szybko przeglądać stos korespondencji.

— Big Ben to mój ostatni u nich pseudonim, — zauważył półgłosem Murphy. — Fletcher spóźnił się o 23 minuty. To znamienne... — i nacisnął inny guzik.

Ukazało się jedno z laboratoriów. Po chwili drugie. I znowu inne. Profesor przyglądał się pracom laborantów, słuchał rozmów nie zawsze dla niego pochlebnych i coś tam czasem notował. Wreszcie wstał po zniknięciu ostatniego obrazu.

— Na razie dość. Przypuszczam, Gladys, że to, coś przed chwilą widziała i słyszała, wyjaśni ci wiele. A nawet da pośrednią odpowiedź na twe pytanie o Stanleyu.

Twarz Gladys oblał rumieniec zażenowanego niezadowolenia.

— Doprowadzasz swą wiedzę do wszechwiedzy, wszystko widząc i słysząc.

— Lub wnioskując z fragmentów. Lecz używam swej „wszechwiedzy” tylko dla dobra sprawy, bądź ludzi. Stanley był, a zwłaszcza mógłby być teraz nieszczęściem twego życia, Gladys, gdyby nie sprawa, w którą cię dziś wtajemniczyłem. I cieszę,

się, że wzięłaś na siebie zadanie, wykonanie którego musi cię powstrzymać w powzięciu — przynajmniej na pewien czas — decyzji ostatecznych, a moim zdaniem, lekkomyślnych w stosunku do Stanleya. I cieszę się i wierzę, że mój A. R. 7 wyświadczy ci dobrą przysługę, choćbyś z niej nawet na razie nie była zadowolona.

— Nic ci nie odpowiem. — I Gladys, hamując łzy, szybko wyszła z pracowni.

— To mi wystarczy za odpowiedź — rzucił jej w ślad profesor.

RADA TRZECH

Hol klubu „Miłośników wędkii” (adres dla depesz: Frisco Angling), urządzony był w stylu starożytnego rzymskiego atrium made in Hollywood. Szereg a la marmurowych kolumn okalało salę. Lśniące stiukowe ściany naśladowały do złudzenia najszlachetniejszy malachit. Prostokątne wycięcie w suficie nakrywała owalna kopuła, kolorem swym dająca wrażenie lazuru nieba.

Impluvium — basen na środku holu, rzęsiście zraszany alabastrową fontanną w kształcie delfina, migotał rojami złotych rybek. Neony ukryte w gzymsach nasłoneczniały sale rozpylnym światłem.

Dual wszedłszy do holu rozglądał się, szukając zarządzającego - managera. Zoczywszy, że rozmawia z jakimś opasłym miłośnikiem rybołówstwa, wyjął z kieszeni gazetę, by ją przejrzeć na najbliższym fotelu, gdy zarządzający pozostawił swego rozmówcę i już podbiegł i wylewnie witał się z Dualem.

— Hallo! mister Dual, dawno nie widzieliśmy pana w progach naszego klubu. Czymże mamy wytłumaczyć sobie taką niełaskę? — i półgłosem, jakby do siebie, mruknął — Max już czeka w zielonym gabinecie.

Idąc ku windzie, Dual spytał:

— I nikt więcej ?

— Kogo spodziewać się należy ponadto?

— Hozimury i Wiszratu.

W windzie przy boju milczeli. Na korytarzu, już u drzwi gabinetu Dual zaznaczył:

— Gdyby ktokolwiek inny pytał o mnie, jestem nieobecny.. Chyba w sprawie „hodowli szarotek”. Wtedy mi zameldujesz.

— Rozkaz.

— Abtreten!

Wszedłszy do gabinetu, Dual zastał Maxa przy prawie że wypróżnionej butelce Moselu.

— Heil! Mam wrażenie, że szanowny uczonec nie nazbyt przestrzega naszego regulaminu.

— Sieg! Mógłbym to samo powiedzieć o czcigodnym redaktorze, iż wyznaczając odprawę na godzinę 18.30, spóźnia się o... — spojrzął na zegarek — dwadzieścia sześć minut trzydzieści trzy sekundy.

— Nie błaznuj. — Dual usiadł. — Chcesz cygaro?

— O ile dobre.

— Clay.

— To daj. Nalać ci?

— Pij sobie sam.

— Żebyś mi tak ośmielił się odpowiedzieć przed dwudziestu laty w Heidelbergu, tobym cię, fuksie jeden...

— Wtedy byłem twym fuksem, dziś jestem zwierzchnikiem.

— In partibus infidelium. Zwierzchnik... — z lekka naoliwione Moselem oczy Maxa błysnęły poprzez okulary — reprezentant władzy księżycowej!.. z zaświatów!..

— Stuł dziób! Nie naigrawaj się z niedoli własnego narodu. Przy winie nie rezonuj o tragedii, jakiej nie widziała jeszcze historia. Zaiste — „nessun magior dolore”!..

— A ty nie zwracaj mi głowy twym Dantem. On też stawał na Hobenstaufena, jak duce na fuhrera. Aż ostatniego Hohenstaufena ścięto na Sycylii. Hohenstaufen — Hohenzollern — Hitler... Trzej panowie H. Ha-ha-ha!... Odwieczny los Niemiec... Zwycięzać, zwyciężać aż do finalnej klęski. Zwyciężyliśmy się na śmierć. Tym razem bodaj ostatecznie...

— Głupiś, mój uczonec! Głupotą niebezpieczną, bo zarozumiałą. Historia to nie astrofizyka. Trzeba się na niej znać.

— Ty się znasz?

— Pochlebiam sobie, że znam historię lepiej niż ty astrofizykę. I dlatego stwierdzam, że żadna siła na świecie nie zwycięży Niemców ostatecznie. Panowali przez stulecia nad środkową Europą nasi cesarze Świętego Imperium? Zapanujemy jeszcze nad całym światem!

— Wskrzesisz Cesarstwo?

— Forma — rzecz obojętna, czy wodzem jest cesarz, czy dyktator...

— Teraz zwłaszcza mamy szansę. Odszkodnię od Renu do Odry. I ty nie widzisz, że zadusili nas?

— Złapiemy jeszcze powietrza na szerokim świecie. Będziemy emigrować... Milcz! Teraz ja mówię. Angielscy wychodźcy stworzyli Stany Zjednoczone Ameryki. Stworzyli potęgę w ciągu niespełna dwustu lat. Potęgę, która przerosła swoją macierz. To chyba widzisz?

— A gdzie ty teraz widzisz miejsce na Stany Zjednoczone Niemieckie?

— W tejże Ameryce. W Paragwaju. W Argentynie. Wspañale miejsce!

— Za dwieście lat?

— O ile wcześniej nie uzyskamy takiej broni, że z byle wysypki będziemy mogli wziąć za pysk i sterroryzować cały świat. V.8! V.15!! V.X!!! I podyktować stratowanemu światu wolę zwycięzców!..

— Tędy cię wiedli...

— Właśnie. I żaden wierny Niemiec nie śmie spocząć, dopóki nie osiągniemy tego wzniosłego celu! A osiągnąwszy, przetrzymamy świat dla nas, naszym nordyckim geniuszem. Zrozumiałeś?

— Owszem, ile że twoje rozumowanie jest skonstruowane wcale logicznie. Ma w sobie wiele racji. Powiedziałbym nawet, że posiada wszystkie racje z wyjątkiem jednej. Z wyjątkiem — racji bytu. Milcz! Teraz ja mówię. Cała konstrukcja wspaniała stoi na fikcyjnej podstawie! Zamek na lodzie! Bo — gdzie ta broń? Będzie? Kiedy?

— A jeżeli już jest?

— Gdzie? Bądź łaskaw mi wskazać.

— Drepcesz koło niej jak ślepy, nie widząc, człowieku małego serca.

— Czy nie za wiele insynuacji, jak na jedno zdanie?

— Zasłużysz na więcej i gorszych, jeżeli się nie dźwigniesz w sobie i nie uczynisz wszystkiego, by posiadać tę broń.

— A któż ją posiada?

— Twój boss.

— Big Ben? Bluff! Ordynarny, amerykański pokerowy bluff!! Wiszatron powinien się nazywać Kalidasa. Tamten Hindus też wymyślał różne teatralne historyjki. Ale z lepszym skutkiem.

— Wiszatrzu sobie z palca nie wyssał historii o A. R. 7. To musi mieć jakiś ewolucyjny związek z bombą atomową. Zresztą zamówiłem tu na dzisiaj Wiszatrzu. Pogadamy. Będzie i major Hozsimura.

— Hozsimura — „major”? Pierwsze słyszę. Przez cały czas wojny z Japonią siedział w Meksyku, wysłany tam z naukowym poleceniem, które wydębił od Murph’ego, a wrócił jako major?

— On tak siedział w Meksyku, jak ty na Syriuszu. Owszem przez Meksyk wyjechał i przez Meksyk wrócił. Alibi ma pierwszorzędne, ale całą wojnę spędził w Hokodate, w sztabie.

— Sprytny samuraj.

— A myślisz, że wróciłby tu, gdyby nie miał tegoż przeświadczenia, co ja, że laboratoria „Edisona Nr. 2” mogą prędzej czy później wyświadczyć wielką przysługę naszym ojczyznom.

— Mądra słuszność promienieje z każdego pańskiego słowa... — dał się słyszeć cichy głos od progu.

Niemcy obejrzeni się zaskoczeni. U drzwi stał Japończyk, Hozsimura.

Drobny, lecz o zwęższej budowie, smagłej cerze, dość wydatnych mięśniach i czarnych paciorkach oczu, które krył przyzymkaniem jakby opuchłych powiek, Hozsimura na pierwszy rzut robił wrażenie meksykańskiego mieszkańca, dopiero ozdobność wymowy przy powściągliwych ruchach zdradzała w nim człowieka wschodu.

Dual wstał i wznosił sztywno rękę kabotyńskim gestem hitlerowca.

— Heil!

Podniósł się i Max, naśladując Duala:

— Banzaj!

Odwzajemnił się im Hozsimura ceremonialnym ukłonem, opierając dłonie na zgiętych kolanach.

— Rad jestem, że pogląd mój znalazł potwierdzenie w słowach pana, panie majorze Hozsimura. Profesor Max, jak pan słyszał, jest nie nazbyt zorientowany w sytuacji, pomimo iż pracował przez cały czas przy Murphy’em, podczas gdy pan niedawno wrócił na swe stanowisko.

— Ja zaś cieszę się stokroć więcej, że wróciwszy mogę przydać się panom swą skromną osobą.

— Nie nam, majorze, lecz wspólnemu celowi wszystkich nas.

— Potok krzepiącej nadziei płynie z ust pana.

— Siadajmy tedy, by zastanowić się nad sprawą merytoryczną. Jak pan sądzi? Na czym polega istota A. R. 7?

— Raz jeszcze powtarzam, — wtrącił się Max — że Wiszatron poniosła hinduska wyobraźnia i napłół. Reporter uczynił z tego sensację, a prasa z radiem wieżę Babel!

— Żałuję, że mimo pańskiej przenikliwej analizy, tak plastycznie obrazującej psychologię hinduską i amerykańską, z ostatecznymi wywodami pana zgodzić się, niestety, nie mogę, ponieważ przeczą im pewne fakty.

— Słyszysz Max? Major już jest w posiadaniu faktów.

— Ciekaw jestem jakich?

— Pozwoliłem sobie na własną rękę przeprowadzić mały wywiad na zasadzie rozmowy z Wiszatronem i według jego wskazówek.

— Ocenimy je, gdy on tu przyjdzie.

— On tu nie przyjdzie, o czym polecił mi zakomunikować panom.

— To niedobrze, — skrzywił się Dual.

— Wiszatron jest jak ów hinduski kiplingowski kot, lubiący chodzić własnymi drogami, — próbował tłumaczyć Hioszimura.

— Dlatego właśnie niedobrze. Nie po to jesteśmy sojusznikami, by każdy działał według własnego widzimisię.

— „Einsam marschieren, zusammen schlagen!” Zasada naszego wielkiego Fryca święci tryumfy nawet w taktyce ludów wschodnich, — ironizował Max.

— Jeżeli uwziąłeś się, by mnie zirytować, to wkrótce dopniesz celu. Lecz nie wiem, czy będziesz temu rad? — zawarczał Dual.

— Pozwolę sobie zauważyć, o ile by panowie zechcieli się ze mną zgodzić, — próbował Hioszimura łagodzić naprężenie wzrastając wśród niemieckich przyjaciół — że moglibyśmy, nie tracąc drogiego czasu, na razie omówić sprawę nawet bez Wiszatronem.

— Słusznie, — zgodził się Dual, — słuchamy tedy z uwagą pańskiego sądu, majorze.

— Dziękuję. Mój skromny pogląd ściąga się do przeświadczenia zgodnego z rewelacją Wiszatronem, że A. R. 7 istnieje. Zgodnie zaś z moimi próbami wywiadu, wygląda na to, że profesor Murphy wynalazł coś, co jest jakby naturalną ewolucją procesu bomby atomowej, ewolucją idącą od punktu spontanicznego rozładowania między atomowej energii w kierunku opanowania jej w sposób planowy dla celów... mniejsza o to jakich... powiedzmy — użytkowych.

— Nonsens! — nie wstrzymał Max.

— Maul halten! — wrzasnął Dual, — nie przerywaj majorowi!

— Kiedy ja już skończyłem i proszę, — zwrócił się do Maxa, — by pan poddał mój błahy pogląd swej fachowej a wnikliwej krytyce, bo należy mniemać, że posiada pan ważkie przeciwargumenty.

— Tak jest. Posiadam.

— Wysłucham ich z należyty atencją tym bardziej, że mój aż nazbyt powierzchowny pogląd traktuję właściwie jako hipotezę roboczą.

— Właśnie. A ja przeciwstawię jej moje obiektywne dane.

— Wywalaj więc twe dane, byle prędko! — niecierpliwł się Dual.

— Czy pan wie dokładnie, panie majorze, — zaczął Max, — czym Big Ben interesował się najbardziej przez cały przeciąg ostatniego roku?

— O ile wiem, interesował się paroma zagadnieniami, które, zgodnie z jego taktyką, fragmentarycznie opracowywały poszczególne laboratoria. Najwięcej może poświęcał uwagi promieniom kosmicznym.

— O! o! właśnie! Otóż pan jest chemik. Ja zaś — astrofizyk. Proszę mi tedy powiedzieć, jakie znamy w nauce, jak dotąd, zastosowanie promieni kosmicznych? No?

— Jak dotąd, zdaje się, nie znamy żadnego.

— Nie „zdaje się”, lecz istotnie za-dne-go! Więc jakże mógł Big Ben wyczynić jakiś rewelacyjny wynalazek, jeżeli zajmował się głównie promieniami kosmicznymi, a takowe są, jak dotąd, li tylko przedmiotem badań czystej nauki. Kiedy znalazł czas na ów „epokowy wynalazek”? Czekam na odpowiedź.

I Max tryumfalnie potoczył po obecnych swymi naoliwionymi oczami.

— Przypuszczam, — zauważył cicho po chwili namysłu Hoshimura — że można by uważać za niewykluczona możliwość, iż profesor Murphy, absorbując panów odpowiednimi eksperymentami nad promieniami kosmicznymi, był w stanie osobiście wyciągnąć z nich pewne efekty we własnym laboratorium i tą drogą znaleźć zastosowanie omawianych promieni. Tu może leży klucz i sedno wynalazku A. R. 7.

— Brawo! majorze, brawo! — zawołał Dual.

— To jest dla mnie więcej niż nieprawdopodobne, — opowiedział Max.

— Ale bezwzględnie wykluczać tego nie należałoby, — replikował spokojnie Hoszimura.

— Cóż nam jednak daje to fantastyczne przypuszczenie?

— Daje chociażby bodźca do dalszych poszukiwań.

— Beznadziejnych! — machnął ręką Max. — Poszukiwać?.. Ale jak znaleźć? Włamać się do osobistej laborki Big Bena? O ile stamtąd wyjdziemy, będziemy tak samo modrzy, jak przedtem. A jeżeli nas nakryją wylecimy jak Wiszatron z tą ekstra-premią, że w objęcia policji...

Zapanowało przykre milczenie. Nawet Dual z lekka speszo-ny niepewnie zerkał na Hoszimurę.

— Ja jednak ośmielę się zauważyć, — podjął znów Hoszimura, — z zastrzeżeniem, że w tej chwili tylko, ot tak, głośno myślę, iż skoro A. R. 7 istnieje, w co wierzę, to opisy metod, obliczenia i t. d. muszą być sporządzone i muszą się gdzieś znajdować.

— Nie kijem go, to pałą! — odparł szorstko Max, jeżeli „istnieje”, to „musi gdzieś być”! Ale gdzie? Teraz już nie ma nawet przeświadczenia, gdzie się włamywać.

— Cóż ty ciągle bredzisz o włamaniu, jak tajemniczy Dzems z kryminalnej ramoty. Nie stać twej inwencji na coś lepszego?

— Nie widzę żadnej drogi, poza tym ryzykownym absurdem.

— Może by się jednak dał zastosować pewien inny środek, zmierzający do naszego celu, — znowu zaszemrał Hoszimura.

— Jaki?

— Moglibyśmy (znów tylko głośno myślę) bezpośrednio spytać o A. R. 7 profesora Murphy’ego.

Max zrazu wybałuszył oczy na Hoszimurę, lecz po chwili wybuchnął śmiechem.

— Ha-ha-ha! Kolosalne! Udać się delegacją do Big Bena? Najlepiej wprost do jego „kabiny pilota”. Przepędzić się przez elektrycznie zamknięte drzwi i wprost „spytać” o dokładne wyjaśnienie istoty A. R. 7. Nie wątpię, że nasz czarodziejski wyczyn tak zdumieje faceta, że wszystko nam od razu wyłoży na stół. Wobec kapitalnego projektu składam broń.

— Przedwcześnie poddaje się pan, kolego, — dziwnie sykliwie odparł japończyk, — możemy zainterpelować profesora Murphy’ego o A. R. 7 chociażby tu.

Max znów zdumiał, lecz po chwili znów ironicznie spytał.

— Czy on aby „tu” przyjdzie?

— Można by profesora przecież tu przywieźć — półgłosem zauważył Hoszimura.

Max zgłupiał po raz trzeci.

— Rozumiem i dziękuję! — uroczyście rzekł Dual i wstał, — zawieszam posiedzenie na trzy dni, by każdy z nas przemyślał do gruntu genialny pomysł majora Hoszimury. Zwłaszcza ty — Max! Jako amator - włamywacz powinieneś mieć i aspiracja kidnappera.

POWRÓT MARNOTRAWNEGO SYNA

Na potrójny dźwięk klaksonu Hannibal, powiadomiony już przez Gladys o możliwości przybycia Stanleya do pieleszy domowych, wybiegł sam osobiście na podjazd i otworzył drzwiczki taxi.

— Ra. Hannibal ante portas! — przywitał go Stanley, wyskakując z auta — jak się masz zacny, stary przyjacielu?

— Dobrze, dzięki Opatrzności, sir! — odparł Hannibal, niosąc z godnością za Stanleyem jego walizkę.

W holu na przywitanie młodego pana ustawił się szeregiem cały personel służby domowej, nie wyłączając kucharza i boya od windy.

— Dla mnie-ż ta rewia pełnego garnizonu? A może to in corpore rada załogowa? Prawda, wv tu o tym nie macie pojęcia, — rzekł Stanley i spostrzegłszy dwie nowe pokojówki, szepnął poufnie do Hannibala, — widzę, żeś, korzystając z mojej nieobecności, zwiększył swój harem, patriarcho.

Hannibal w niemym proteście wznosił tylko oczy do góry, jak gdyby wzywał niebo na świadka tak sromotnie oszkalowanej swej niewinności.

— Hallo. Witam was, wiara! — zwrócił się Stanley do służby — wszystko o key?

— Tak jest, sir — odpowiedział mu chór.

— No, to rozejść się! — zakończył ceremonię Stanley i wszedł do windy z Hannibalem.

— Panie kapitanie, melduję... — zaczął w windzie Hannibal.

— Poruczniku! — poprawił go Stanley — nie odróżniasz szarż, cywilu.

— Panie poruczniku, pokoje przygotowane. Miss Gladys oczekuje pana w bibliotece. Obiad za kwadrans.

— A ojciec?

— Będzie na obiedzie.

W bibliotece nie było nikogo.

— Nie bardzo mnie tu pomimo wszystko oczekują, — pomyślał z zawodem Stanley i uczuł, że radość powrotu pierzcha i maleje, jak gdyby wchłaniała ja w siebie chłodna atmosfera bibliotecznej sali. Nie chcąc ulec temu wrażeniu, jał szukać oczyma owego pamiętnego miejsca, gdzie żegnając się z Gladys przeżył chwilę rozpaczliwego szczęścia. I rozglądając się, zobaczył ja na progu.

Stała oparta dłonią o oddrzewia, jakby szukając podtrzymania. Patrzała na niego blada, z nikłym uśmiechem, w którym здавало się taić cierpienie. Powieki miała zaróżowione. Czyżby płakała? Bo oczy... te oczy o niewypowiedzianej żadnym zachwytem piękności, oczy o miękkiej głębi brązowego aksamitu przesłaniały mat mgły.

— Hallo, Gladys! — podbiegł, lecz mimo woli coś powstrzymało go tuż przed nią.

— Stanley! Stanley! — powtarzała jakby nie wierząc, że go widzi i chwiejnie wyciągnęła doń rękę. W jej drżącym dotyku wyczuł lęk.

— Pozwolisz, że cię pocałuję?...

Aura rumieńca przewionęła po jej twarzy, lecz przychyliła policzka.

— A teraz w rączkę. I, po polsku, w druga.

— Nie, raczej nie! — bronila się.

— Co ci, Gladys?

— Czuję się dziś nie nazbyt dobrze.

— Więc chodź, usiądźmy. Skoro jednak czujesz się niepewnie, lepiej by było może, byś poszła do siebie i położyła się.

— Nie, nie! Nie chcę! Nie znoszę tych roztkliwiań się nad sobą. Przejdzie. Siadajmy i mów mi o sobie.... Wszystko... Nic a nic nie zmieniłeś.

Lecz oczy Gladys skarżyły mu się na coś, czego nie mógł odgadnąć. A gdy pytał o to wzrokiem, uciekały trwożnie, kryjąc się pod cień długich rzęs.

— Zewnętrznie może się i nie zmieniłem. Ty natomiast wydajesz mi się jakaś inna. Jakaś... daleka, mimo że przy tobie.

— Jesteś w błędzie, Stany!... Nie zdajesz sobie sprawy z tego, jak mi dobrze, że wróciłeś. Że będziesz przy mnie. Bo ja... widzisz, choć może wydają ci się nie taka, jak czuję, żebyś tego pragnął... Nie zważaj na to. Prędzej czy później dojdę do siebie... Sama nie wiem doprawdy, jak ci to powiedzieć, ale wierzaj mi... To wszystko przejdzie, bo... musi przejść...

— Gładys, na Boga, co to znaczy? Zrazu myślałem, że jakieś chwilowe niedomaganie. Lecz — nie! Coś ci się stało!

— Ależ nic podobnego. Mylisz się. Jestem po prostu pracowana...

— Tego tylko brakowało, żeby nasze perpetum mobile orało w ciebie jak w swoich laborantów.

— Stanley! Jakże możesz tak się wyrażać o własnym ojcu? O człowieku, którego geniusz poważa cały świat.

— Ja też jestem z całym uznaniem dla jego geniuszu. Dla człowieka mam już mniej uznania. A dla ojca — konieczne minimum. Ale — ale — a propos geniuszu. Co to za „epokowy” wynalazek, o którym tak trąbią w waszej prasie? Jakies A. R. 7. Tyś powinna o tym wiedzieć najlepiej

— Skądże ja?... Mieliśmy mówić o tobie.

— Co ci znów?

— Nic. Przejdzie. Jeżeli cię istotnie interesuje A. R. 7, spytaj najlepiej o to profesora osobiście. Ja i nie lubię mówić o tych rzeczach, i nie znam się na nich. I tak mam tej naukowosci dosyć...

— To dobrze. Tym łatwiej ciśniesz cały młyn.

— Nie — nie. Niestety, nie mogę. W tej chwili w żaden sposób.

— A pocóż ja tu przyjechałem? Przecież po ciebie. Otrzymałaś mój ostatni list?

— Tak jest, ale... na razie to niepodobieństwo. Stanley! Błagam, nie męcz mnie i siebie! Musimy poczekać.

— Tak... Znaczy się, jest jakaś kabała. Ale ja rozplączę ten supełek. A jeżeli nie znajdę innej rady, to się zabawię w Aleksandra Macedońskiego i rozetnę... Gładys, na Boga, ty płaczesz? Jeżeli cię dotknąłem jakim nieopatrzonym słowem, to przepraszam po stokroć! Po tysiakkroć! Widzisz, na wojnie to się dostaje takiej niewyparzonej gęby. Ale ja cofam! Cofam wszystko, co powiedziałem od chwili przyjazdu. Tylko nie płacz! Bo łatwiej byłoby mi wytrzymać dywanowy nalot bombowców niż te twoje łzy!... Kochana...

— Och, Stanley, gdybym ja ci mogła wszystko powiedzieć...
Lecz zrozum, nie mogę! Nie mogę!...

— Dobrze. Zrozumiałem. Wszystko rozumiałem. Nic mi nie mów. Już nie trzeba. Do wszystkiego dojdę sam. Przestałaś płakać, dzięki Bogu.

— Przestałam. Przepraszam cię za ten wybryk. Doprawdy nie wiem, skąd mi się na płacz zebrało. W moim wieku...

— Ba. To się zdarza nawet dzieciom. Powiedz mi, kochana, czy tu u was pracuje jeszcze laborant Kania?

— Kania... Kania... Zaraz. Pomyślę.

— Z pochodzenia Polak. Nazwisko — Kania.

— Ach, Boże! Tak — tak. Przecież to dziś on uległ wypadkowi.

— Nie może być!

— Niestety. Ale profesor powiedział, że będzie żył. Zresztą, nic więcej nie wiem.

— Wystarczy. Przewiem się.

— Mówimy o wszystkim z wyjątkiem tego, co dla mnie najważniejsze. Nic mi właściwie do tej pory nie powiedziałeś o sobie. Nie byłeś ranny?

— Ani razu, choć na okazji mi nie zbywało. W Polsce się mówi: zła siekiera nie utonie. A że wojak ze mnie nieświatny, więc wyszedłem fizycznie cało. Za to w tym piekle diabli wzięli mój przedwojenny światopogląd. I wyobraź sobie, że owa strata jest moją najważniejszą zdobyczą wojenną.

— Zawsze byłeś pełen paradoksów. A któryż to światopogląd utraciłeś? Miałeś ich tyle...

— Ten ostatni, będący stopem kilku poprzednich. Zginął nieborak bezpowrotnie.

Na progu biblioteki stanęła hieratyczna postać Hannibala.

— Podano do stołu. Pan profesor już znajduje się w jadalni.

— Hallo, młody wojowniku! jakże się masz? — przywitał Stanleya w jadalni z ostentacyjną jowialnością profesor i klepnął z lekka w plecy. Jednak oczy Murphy'ego były badawcze i chłodne.

— Dziękuję, ojcze. Mam się doskonale, — odparł Stanley, ściskając dłoń rodzica.

— Ilu wrogów oskalpowałeś? jakie trofea przywozisz?

— Trudno ich było skalpować, bo w pewnej chwili, zrozumiałwszy naszą przewagę, całkiem potracili głowy. A trofea? Owszem, przywiozłem.

— Pochlubisz się więc nimi później, a tymczasem siadajmy do stołu za przykładem Gładys.

— Usiadłam, bom zmęczona, ojcze.

— Prosiłem cię już, byś mnie nie postarzała tym, fikcyjnym zresztą, tytułem: „ojcze ... Przywykłeś zapewne, Stanleyu w Europie do aperitifów? Hannibalu...

— Wróć, potomku Barkasów! — wstrzymał Stanley majordomusa, kwapiącego się doń z butelką — w Europie właśnie odwykłem od alkoholu.

— Czyżby tam teraz wprowadzono prohibicję? — spytała Gładys, chcąc jakkolwiek zaznaczyć swój udział w rozmowie.

— Nie, kochana. Tam nie znają prohibicji. Tam ludzie zalewają się legalnie, a powszechnie. I to wywarło na mnie wpływ propagandowy.

— Jak to?

— Odwrotny. Propaganda zazwyczaj wywołuje sugestie przeciwne tym, do jakich zmierza. Więc przestałem pić i to jest jeden z mych trofeów wojennych. Zresztą nie najważniejszy.

— Hm-hm... Powinszować! — zauważył profesor. — a wolno wiedzieć, które z twych trofeów uważasz za najważniejsze?

— Kilka. Przede wszystkim zdobyłem i wywoziłem stamtąd doświadczenie, że wojna zdrapuje z ludzi cienki pokost tak zwanej kultury, a wydobywa na zewnątrz najdziksze instynkty zwierzęce: hieny, tygrysa, świni, rekina, żmii, małpy i t. d. i t. d. Następnie, że typ (wytworzony zresztą przez Niemców) dzisiejszej wojny t.zw. totalnej jest największą zbrodnią przeciwko ludzkości! i najokropniejszym nieszczęściem, miazdzącym wszystkich, znajdujących się w ramach jego zasięgu.

— No — not Po prostu nie podobna nie zgodzić się z każdym twoim słowem. Brawo! Lecz przepraszam, żem ci przerwał. Pouczaj nas dalej.

— Przyznam się, że mi jakoś nieskładnie perorować w atmosferze tego tu luksusu o bezdennej nędzy człowieczej, jaką „wyprodukowała” wojna tam, w środkowej Europie. Trzeba to widzieć na własne oczy. Dotknąć własnymi rękoma tych ropiejących ran... Dajmy lepiej teraz temu pokój, zwłaszcza, że Hannibal tyle rostbeftu nałożył mi na talerz. Hannibalu! to Frisco, nie Kapua! Będziemy mieli zresztą jeszcze nieraz sposobność macerować ten temat.

— „Nieraz”, powiadasz? Więc przyjechałeś na stałe? Zarzuciłeś zamiar pozostania w Polsce? W zmienności swych poglądów i projektów pozostałeś niezmienny.

— I w tym jestem bardzo podobny do twego ideału.

— Jakiego?

— Czyżbyś miał ich teraz więcej? Ja bo znam tylko jeden twój ideał: naukę. Zresztą mego projektu co do Polski bynajmniej nie zarzuciłem. Mój sentyment do niej tylko wzrósł przy bliższym poznaniu, lecz afekt ten obecnie łączy się z...

— A które z miast polskich najbardziej ci się spodobało? — przerwała mu Gladys.

— Widziałem kilka i każde mi się na swój sposób spodobało. Lecz jedno z nich nawet zaimponowało mi: Warszawa.

— Przecież zniszczona...

— Za słabe słowo, kochana. Warszawa jest wypalona, pomiądzona, rozszarpana w kawały, jakby piekło pastwiło się nad nią! Ale w tych storturowanych szczątkach miasta żyje duch i życie jego bije już tętnem pół miliona serc. Są tam oczywiście całe połacie zburzone do fundamentów, głuche, cmentarne, zarosnięte jak stopy dzikimi chwastami. Są dzielnice o straszliwych ruinach rozbebeszonych domów, o turniach zmasakrowanych gmachów, z gnatami belek żelaznych, sterczącymi hen w górze, jakby nieba na pomstę wzywały tak, że groza dantejska mrozi serce. Ale są i ulice tętniące szalonym zgiełkiem, rojące się cizbą ludzkich mrówek, rozpędzone nurtem aut, tramwajów, motocyklów i szarżami ciężarówek, wałących jak stada spłoszonych mastodontów, że... co tu gadać. To trzeba widzieć. Zobaczysz to, Gladys.

— Istotnie, ciekawe byłoby zobaczyć taki dziki nieuregulowany ruch uliczny, na jaki nie pozwoliłoby sobie żadne szanujące się amerykańskie miasto, — zauważył ze spokojną ironią profesor, — lecz wątpię, czy Gladys to zobaczy, bo do kina chodzi niechętnie a przy tym nie słyszałem, by jakakolwiek z filmowych firm hollywoodzkich wybierała się na zdjęcia do Warszawy.

— Nie myślałem, mówiąc o Warszawie, by Gladys miała ją oglądać jedynie na filmie.

— Ja przepraszam, że wstaję, — podniosła się Gladys — lecz obiad już właściwie skończony. Kawy i tak bym nie piła, a mam pewne sprawy... Przepraszam.

I Gladys szybko wyszła z jadalni. Obaj mężczyźni też wstali.

— Pora i na mnie,—rzekł profesor.—A ty, Stanleyu, idź odpocząć po podróży.

— A czy nie mógłbyś udzielić mi kilku jeszcze minut swego czasu?

Murphy spojrział na zegarek.

— Dobrze. Dziesięć minut. Przejdźmy do palarni. Hannibalu ! Przyniesiesz nam tam kawę.

W palarni profesor, wybrawszy cygaro, podsunął szkatułkę Stanleyowi.

— Dziękuję, lecz przywykłem do innego paliwa. — odparł Stanley, wyjąwszy z kieszeni fajkę i paczuszkę tytoniu

— Więc słucham, — rozsiadł się Murphy w fotelu.

— Co się dzieje z Gładys? — spytał Stanley.

— Nie rozumiem pytania.

— A ja jej stanu. Dawniej też była nadmiernie nerwowa i wrażliwa. Łatwo poddawała się zarówno radosnej egzaltacji jak i depresji, ale dziś wygląda i zachowuje się, jakby ją spotkało jakieś nieszczęście.

— Nic o tym nie wiem, więc i powiedzieć ci nie mogę. Lecz czy nie byłoby prostsze, zamiast mnie indagować, zapytać wprost ją samą.

— Ja właśnie na zasadzie rozmowy z nią doszedłem do mego wniosku, lecz realnego powodu swego obecnego przygnębienia Gładys nie chciała mi wyjawić.

— Widocznie ufność, jaką poprzednio żywiła do ciebie, zmalała.

— O, nie. Co to, to — nie ja i Gładys wyczuwamy się, jak dwa rezonatory, reagujące na tenże ton. To raczej ty, ojcie, twój wspinały aparat mózgowy, mimo jego szalonej rozpiętości, nie umiesz nastawić na odpowiedni odbiór wibracji psychologicznych, jakie zachodzą w nas młodych.

— Twoje bardzo ładne literackie metafory naukowo niewiele zawierają sensu.

— Być może, że zbyt pochopnie zagalopowałem się w nieodpowiednie dla mnie dziedziny.

— Właśnie. Mów więc po prostu. O co ci chodzi?

— O Gładys. Kocham ją. I ona mnie.

Murphy milczał przez długą chwilę, badając obrączkę na cygarze. Wreszcie orzekł:

— Zdawałem sobie z tego sprawę od dawna.

— I przyjechałem, żeby ją zabrać ze sobą do Polski. Tymczasem...

— Ona nie chce?

— Wnioskując z jej słów, raczej nie może. Ale dlaczego nie może? W żaden sposób nie byłem w stanie wydobyć z niej tego powodu. Dlatego to pozwalam sobie zwrócić się do ciebie. Ty chyba możesz wiedzieć najlepiej. Gładys jest przy tobie, pod

twoją opieką. Współpracuje z tobą, jakżeś tego sam chciał przed moim wyjazdem. Posiadasz więc chyba najwięcej danych, mogących rozświetlić tę fatalną dla mnie sytuację. Zwracam się tedy do ciebie, jak do ojca. Pomóż mi!

— Po raz pierwszy w życiu zwracasz się do mnie w ten sposób. Szkoda, że tak późno. I obawiam się, czy nie za późno.

— Jak to. Nie zechciałbyś?..

— Owszem. Odpłacę ci za szczerą szczerością. Nie wiem tylko, czy będziesz z tego zadowolony, tak zresztą, jak ja nie byłem dotąd zadowolony z ciebie.

— Z tego zdaję sobie sprawę, ale wojna odmieniła mnie gruntownie. Wierzaj.

— Oby.

— Więc słucham cię, ojcie. Mów.

— Chwilowo musimy w milczeniu przeczekać najazd Hannibala z kawą.

Po ceremonii kawowej i uroczystym wycofaniu się Hannibala, Murphy podjął tonem wykładu:

— Sprawa, co do wyjaśnienia której zwracasz się o pomoc do mnie, wydaje mi się niezbyt prosta, ponieważ posiada kilka dość niezależnych od siebie aspektów. Jedne są natury subiektywnej, które mogę oświetlić jedynie z własnego punktu widzenia. Drugie — natury rzeczowej, dotyczące się faktów, które postaram ci się odsłonić, acz tylko w pewnej mierze.

— Dlaczego?

— Ponieważ są one związane ze sprawą wielkiej wagi, o której mówić teraz — byłoby jeszcze przedwcześnie.

— I Gładys jest osobiście związana z tą sprawą wielkiej wagi?

— Tak jest. Lecz nie przerywaj mi ustawicznie, bo już mam niewiele czasu. Więc rzecz pierwsza: twoja miłość do Gładys. Uważam to za nieszczęście dla niej.

— Ależ ona wzajemnie...

— Tym gorzej. Miłość istoty takiej, jak Gładys, do człowieka twego typu, im mocniej się rozplomieni, tym snadniej zniszczy ją, jak ogień motyla. Gładys z natury wątła, o woli słabej, przewrażliwiona, egzaltowana, i że użyję tego wytartego acz tu trafnego wyrażenia, jest cieplarnianym kwiatem przedziwnej piękności, wymagającym wielkich starań hodowlanych, by nie zwiądł przed czasem. A ty, natura niesforna, nieobliczalna i w gruncie rzeczy nieproduktywna. Cóż ty możesz jej dać z łaski twojej miłości? Szarpaninę wewnętrzną i niedolę materialną.

— O, przepraszam!

— Nie przerywaj. Przecież nie liczysz na mnie finansowo, skoro nie pytając mego zdania, zamierzasz ją zabrać stąd, wywać z jedynie odpowiedniej gleby, po to, by zanurzyć w polską powojenną *nędzę*, w obce zupełnie dla niej środowisko, w chaos warunków twardych, nieuregulowanych. Czwś zastanowił się nad tym, zanim powzięłaś swą dziką decyzję? Przecież ty nawet tam nie dasz sobie rady, nie umiejąc praktycznie nic.

— Tam jest teraz olbrzymie pole pracy. Każda para rąk jest potrzebna.

— W to nie wątpię. Lecz z pracy rąk nie utrzymasz na należytej stopie życiowej nie tylko Gladys, ale nawet siebie. Zresztą przypuśćmy, że polskie pionierskie życie przy twym chwilowym entuzjazmie zahartowałoby cię i utrzymało jakoś na powierzchni. Ale — Gladys? A mnie chodzi o Gladys, bom wziął na siebie przed umierającym przyjacielem obowiązek opieki nad nią. I obowiązku tego dotrzymać muszę.

— Czy dlatego Gladys nie może teraz wyjechać ze mną do Polski ?

— Gdyby chciała, mogłaby. Nawet wbrew mej chęci i motywom, które przytoczyłem, jeżeli nie może, to dla powodów innych. Faktycznych, jak to już powiedziałem. Ale czy ci nie wystarcza podane już argumenty, byś zaniechał szalonego projektu zabierania Gladys tam gdzieś do antypodów.

— Teoretycznie może i masz, ojczy, rację. Ale praktycznie— mylisz się. Widać, żeś już zapomniał, co to jest młodość i jakie cuda może czynić spotęgowana miłością.

— Moja młodość poczęła czynić właściwe cuda dopiero wtedy, gdy została porzucona przez miłość.

Murphy zamilkł, opuścił głowę i spode łba chmurnie patrzył na syna.

— Ty, ojczy, masz wyjątkowo stalowy charakter i geniusz do pracy.

— Właśnie. Tylko praca tworzy cuda. Jedź do Polski. Pracuj. Zdobądź stanowisko. Duże stanowisko. Wtedy będziesz może miał prawo do miłości Gladys.

— Rozumiem. Chodzi ci o stuprocentowe wypełnienie w stosunku do Gladys twych obowiązków opiekuna. Więc teraz rozważ taką możliwość, jeżeli przyjechałem tu do U.S.A. z pewną, powiedzmy, misją nie misją, ale instrukcjami, po wykonaniu których mam zapewniony w Polsce taki zakres działania, który by

pokrywał się z twym pojęciem o „dużym stanowisku”. To — co wtedy ?

— Polityka? Po zdradliwych wodach chcesz żeglować, mój synu.

— Polityka nie jest dokładnym ujęciem tego, o czym mówię. Są to raczej sprawy o charakterze społecznym. A przyznasz, że te sprawy interesowały mnie zawsze i że orientuję się w nich.

— Od anarchizmu przez teozofię do synarchii. Wieża Babel.

— Szkołać się, należy studiować jak najszerzej. Więc miałbym już większe prawo do Gładys? I do zabrania jej.

— W tej chwili nic ci na to odpowiedzieć nie mogę. W każdym razie upierasz się, jak gdybyś zapomniał o powodach natury faktycznej, dla których Gładys przez pewien okres czasu wyjechać stąd bezwzględnie nie będzie mogła.

— Przez jaki okres?

— Trudno określić. Rok. Może dłużej.

— A zechcesz mi teraz, jak obiecałeś, rzucić nieco światła na owe powody natury faktycznej?

Murphy długo milczał. Widać było, że zмага się z sobą. Wreszcie rzekł niechętnie:

— Gładys podjęła się pewnego... posłannictwa w sprawie bardzo ważnej.

— Czy nie nadużyję twej cierpliwości, jeżeli spytam w jakiej?

— Nadużyjesz. Mimo to odpowiem ci, żądając w zamian bezwzględnej dyskrecji.

— Czy słowo dżentelmena wystarczy?

— Pamiętaj! Jest to sprawa bez przesady ważna dla całej ludzkości.

Przez mózg Stanleya przemknęła błyskawica.

— A. R. 7?

— A ty skąd?...

— Nie wiem... Intuicja... Drą się o tym megafony. Piszą gazety, oświadczając, zaprzeczając. Nikt nie wie w gruncie rzeczy, o co chodzi, tyle tylko, żeś wynalazł coś epokowego. A że Gładys pracuje przy tobie, więc... A.R. 7? Ale cóż to jest A.R. 7?

— Za wiele żądasz. Zbyt przekraczasz granice mej „cierpliwości”. Wystarczy, gdy ci powiem, że A. R. 7, czyli atom-robot będzie w stanie zmienić do gruntu przyszłość ludzkości.

— I w takiej sprawie „posłannictwo” tyś włożył na barki Gładys? Taka wagą obarczyłeś ów „cieplarniany kwiat”? Ojczy! Cóż ty uczynił?

Murphy odpowiedział błyskiem oczów i długim „pomnikowym” milczeniem.

— Zapewne jakieś niesłychanie ważne powody zmusiły cię do tak ryzykownego kroku. Nie mogłeś poczekać na mnie? — podjął znów indagację Stanley.

— Na ciebie? Ze wszystkich najfantastyczniejszych możliwości tę chyba najmniej mogłem brać pod uwagę!

— Lecz kłaść na wątle barki Gladys ciężar, jak je określasz, „ważnego posłannictwa”?

— Sam sobie już odpowiedziałeś na ten zarzut. A zasadniczo: zadanie, które podjęła się spełnić Gladys, będąc ważnym, nie jest bynajmniej trudne. Wymaga tylko w pewnych warunkach jej koniecznej obecności tu dla wykonania pewnych łatwych funkcji. Oto wszystko. Bądź zdrow.

Murphy wstał, zamierzając wyjść. Stanley zaszedł mu drogę.

— Jeszcze chwilę, ojczu. A czy ja, będąc teraz tu na miejscu, nie mógłbym zastąpić Gladys?

— Nie.

— Nie ufasz mi?

— Z jakiejże racji mam ci nagle ufać? Sprawa polega na bezwzględnym zaufaniu, a takie mam jedynie do Gladys.

— A mogę-ż się starać, byś i do mnie nabrał ufności?

— Tego ci zabronić nie mam prawa, lecz w skutek bardzo wątpię.

— Zapewniam cię, że wojna przeorała mnie i zmieniła gruntownie. Testem teraz innym człowiekiem. Wiem, czego chcę.

— Zawsze wiedziałeś, czego chcesz. Tylko, że chciałeś coraz to czegoś innego.

— Szukałem, aż znalazłem. Sam zresztą zgadzałeś się dziś z moimi poglądami.

— Z niektórymi. Nie zatrzymuj mnie dłużej, bo istotnie nie mam czasu. Praca na mnie czeka. — I Murphy wyszedł.

— Na mnie też — myślał Stanley, zmierzając do siebie.

ATAK FRONTALNY

Dwa razy na tydzień, w poniedziałki i czwartki od godziny 11 do 12.30 profesor Murphy oficjalnie przyjmował interesantów. Długi spis osób, meldujących się uprzednio u generalnego sekretarza Fletchera, był przewencyjnie indagowany przez niego co do charakteru sprawy, którą interesant zamierzał przedstawić Murphy'emu i, po ocenie celowości, otrzymywał pisemną odpowiedź, bądź odmawiającą mu posłuchania u profesora, bądź wyznaczającą dzień i dokładną godzinę audiencji ze ścisłym określeniem ilości minut jej trwania.

Wyjątek stanowiły delegacje towarzystw naukowych, związków i stowarzyszeń o charakterze społecznym, poszczególni uczeni, zwłaszcza cudzoziemscy i wszelkiego autoramentu wynalazcy, którym zasadniczo nie odmawiano przyjęcia, wyznaczając jedynie możliwie najbliższy termin i najkrótszy czas.

Nazajutrz po przyjeździe Stanleya wypadł właśnie czwartek i Murphy w specjalnym gabinecie, przeznaczonym dla przyjęć, na kilka minut przed jedenastą przeglądał listę reflektantów, przygotowaną dlań przez Fletchera. Na samym jej początku figurowała delegacja, złożona z trzech osób: pułkownika H. M. Fleeta oraz pp. D. Browna i P. Blackforda.

— Cóż to za delegacja? — spytał Murphy.

— Prezydium subkomisji informacyjnej do spraw badań atomowych z waszyngtońskiego White House'u — odparł Fletcher.

— A oni po co? — mruknął niechętnie profesor.

— Oznajmili mi tylko, że przybyli w sprawie poufnie urzę-

dowej, więc uważałem, że rozpytywać ich dokładniej po wylegitymowaniu się tych panów, nie miałem prawa. Przylecieli wczoraj z Waszyngtonu, wyznaczyłem ich na dziś numerem pierwszym, a nie śmiałem określać trwania rozmowy. Nie wiem teraz, jak czasowo rozsegregować pozostałych.

— Nie będę się z tą delegacją bawił dłużej nad kwadrans.

— Rozumiem. Czy mam być obecny jak zwykle?

— Oczywiście, o ile sam pana nie odeślę. Jedenasta. Niech ich pan prosi. Listę pozostałych przejrzę potem.

Za chwilę do gabinetu wkroczyło trzech dżentelemenów. Murphy wstał zza biurka i wyszedł im naprzeciw. Wymieniając uścisk dłoni, połączone z sakramentalnym — „how do you do” — Murphy witając trzeciego delegata spytał:

— Mister Blackford, nieprawdaż?

— Tak jest.

— Myśmy się już raz spotkali. Przed dziewięciu laty w Sacramento. Należał pan do grona przedstawicieli Trustu Miliardków. Proponowaliście mi wówczas zmianę nazwy mych zakładów „Murphy’s Laboratory” na „Koncern Murphy”, na co się nie chciałem zgodzić. Straszylście mnie wówczas smętnymi skutkami, jakie miały wyniknąć z mej odmowy. Mimo to jakoś dotąd dają sobie radę.

— Posiada pan zdumiewającą pamięć, profesorze Murphy. Lecz ja już nie mam nic wspólnego z T. M. Od paru lat należę do „trustu mózgow”, utworzonego jeszcze przez ś. p. prezydenta Roosevelta.

— Należysz bratku i tu i tam — pomyślał Murphy, a głośno rzekł, wskazując na marmurowy stół, otoczony stylowymi fotelami, — zechciejcie panowie zająć miejsca. Oto cygara. Czym mogę służyć?

— Przybyliśmy tu w misji poufnej, — zabrał głos pułkownik Fleet i zerknąwszy w stronę Fletchera, skromnie stojącego w głębi gabinetu przy biurku, zniżonym głosem dodał, — i pragnęlibyśmy pomówić w ścisłym gronie.

— Mister Fletcher jako generalny sekretarz należy do najbliższego grona moich zaufanych. Zresztą obecność jego uważam za potrzebną, gdyż u mnie obowiązuje zasada robienia stenograficznych protokołów z każdej ważnej konferencji, chociażby najpoufniejszej. Dokument protokolarny rozstrzyga w przyszłości ewentualne nieporozumienia bądź niejasności, jakjeby mogły powstać na skutek niedokładnej pamięci konferujących.

— Jako przedstawiciel sztabu nie wiem, czy nie przekroczę

swych pełnomocnictw, zgadzając się na zasadę pańską, mister Murphy — odparł pułkownik Fleet.

— Ponieważ ja jednak od zasady swej nie odstępuję nigdy, pozostawiam panom chwilę do narady, jak uzgodnić wynikłą kontrowersję,—rzekł sucho Murphy, wstał i podszedł do Fletchera, dysponując półgłosem:

— Niech pan siada przy stenograficznym stoliku.

— Może się jednak nie zgodzą? — spytał zakłopotanym szepem Fletcher.

— Zgodzą się. W przeciwnym razie odlecą sobie z powrotem.

Niedługo jednak trwała narada przy marmurowym stole.

— Mister Murphy, — oznajmił pułkownik Fleet, — delegacja przychyliła się do zasady pana z tym jednak zastrzeżeniem, by sprawdzona kopia stenogramu wręczona była delegacji.

— Macie panowie do tego słuszne prawo, — zgodził się Murphy i zasiadłszy przy stole przed delegatami, rzucił przez ramię instrukcję Fletcherowi — niech pan stenografuje, — zaś do pułkownika Fleeta przemówił z chłodną kurtuazją, — cały zamieniam się w słuch.

— Miarodajne czynniki państwowe — podjął ozdobnie acz oficjalnie Fleet — w zakres obowiązków których wchodzi treska o rozwój zarówno nauki czystej, jak praktycznych rezultatów, jakie z rozwoju tego wypływają, stawiając nas — Amerykanów na przodującym miejscu w pochodzie kultury świata, — dowiedziały się ku wielkiej swej radości, że pan, chluba naszego kraju, znów przyczynił się do kulturalnego dorobku, tym razem w skali światowej, darząc ludzkość epokowym wynalazkiem, który pan nazwał mianem A. R. 7. Wynalazek ten, jak jednomyślnie twierdzi prasa i rozgłośnie radiowe, jest darem prometejskim, gdyż podobnie jak ongi, tytan Prometeusz, wykradłszy bogom ogień, ofiarował go nędznym wówczas antropoidom, wydźwigując ich ze stanu zwierzęcości na poziom człowieka, — tak pan przez swój A. R. 7. ma wznieść ludzkość na wyżynę nadczłowieczeństwa, obdarzając ją nieprzebranymi bogactwami energii, które geniusz pański wydarł naturze. Miarodajne czynniki, wysoce ceniąc w panu jego dostojną samodzielność i niezależność, nieoglądając się na żadne postronne pomoce, jeno na własną samowystarczalność, która jak dotąd wykuwała sama wszystkie pańskie dzieła - wynalazki, tym razem jednak uważają, iż realizacja A. R. 7 może przekraczać i z pewnością przekracza możliwości, jakimi pan osobiście rozporządza. Chcą więc przyjść panu z po-

mocą w jak najszerszym zakresie. Dlatego też proponuje się panu utworzenie „Koncernu A. R. 7” o kapitale, jaki pan uzna za potrzebny. Jednocześnie prosi się pana o udzielenie odpowiedniemu kolegium fachowców wskazówek o istocie i metodzie produkowania A. R. 7 w masztapie, uznanym przez pana za celowy. Oczywiście tajemnica wynalazku zostanie święcie zakonspirowana tylko dla odpowiednich sfer powstałego koncernu. Skończyłem.

— To znaczy — spytał Murphy, — mniej więcej tak, jak to się ma obecnie z tajemnicą bomby atomowej.

— Tak jest, — odparł Fleet.

— To znaczy, że A. R. 7. będzie własnością jedynie „Koncernu A. R. 7”, jak bomba atomowa jest wyłączną własnością trzech koncernów, o ile się nie mylę.

— Tak jest, — znów przytaknął Fleet.

— To znaczy, że „Koncern A. R. 7 mając monopol na mój „epokowy” wynalazek, ma zamiar czerpać z niego równie „epokowe” zyski?

— W których pan, panie profesorze, będzie partycypował w stopniu, jaki zostanie wypośrodkowany na zasadzie porozumienia się pańskiego z Zarządem Koncernu.

— To znaczy, że ja będę miał monopol na „Prometeusza Nr. 2”, jak dziś mam na „Edisona Nr. 2”, a koncern będzie miał monopol na zyski, łaskawie dopuszczając i mnie do takowych.

— Może z nazbyt sceptycznym przerostem humoru obrazuje pan przyszlą rzeczywistość A. R. 7, lecz...

— ...Lecz prosiłbym o jeszcze jedno wyjaśnienie dla całkowitego zorientowania się: czy obecność pańska, pułkowniku Fleet, w charakterze bodaj przewodniczącego delegacji oznacza, że i władze wojskowe interesują się A. R. 7?

— A dlaczegożby wojsko nie miało się interesować epokowym wynalazkiem kultury?

— jak na przykład bombą atomową?

— Czy zbrojne ramię wojska wzmocnione bombą atomową nie jest najlepszym protektorem kultury swego kraju i narodu?

— Teraz już zrozumiałem wszystko, — zakonkludował Murphy.

— Czekamy tedy na odpowiedź i tuszemy sobie, że będzie pozytywną.

— Niestety, nie mogę panom udzielić żadnej odpowiedzi.

— To znaczy?.. Czemu?..

— Bo wynalazek A. R. 7. jeszcze nie istnieje.

Fletcherowi ołówek sam wyskoczył z ręki. Blackfordowi

z nagle otwartych ust wypadło cygaro. Twarz pułkownika Fleeta skaził straszliwy nerwowy tick, przytrafiający mu się jedynie w chwilach raptownego zaskoczenia.

Delegacja odruchowo jak na komendę wstała.

— Nie wiem, dopraw^dy, jak mam rozumieć słowa pańskie, panie profesorze? — ochłonął pierwszy mister D. Brown — A. R. 7. nie istnieje?

— A skądże powstała sama nazwa A. R. 7? Rzeczy nieistniejące nie mogą posiadać nazwy! — wtrącił swe logiczne spostrzeżenie mister P. Blackford.

— I czemuż pan w takim razie indagował nas tak drobiazgowo o warunki swego udziału w zyskach „Koncernu A. R. 7?” — odzyskał wreszcie głos pułkownik Fleet.

— A jakim prawem laborant pański Wisztru wprowadza w błąd opinie społeczeństwa i czynników miarodajnych wysaną ze swego hinduskiego palca legenda o jakimś A. R. 7? — doszedł z kolejności do głosu mister D. Brown.

— Taka mistyfikacja przekracza wszelkie granice! — podniósł już nawet głos mister P. Blackford.

Profesor Kurpy siedząc zwracał kolejno swój ciężki wzrok na interpelantów, wreszcie i sam wstał.

— Czy panowie skończyli już ze swym gradem zarzutów? Bo jeżeli nie, to proszę mi je spisać, gdyż pamięć moja nie będzie w stanie odpowiedzieć na nie wszystkie, a nie chciałbym pozostawić je bez należytych wyjaśnień.

— Nam też właśnie chodzi o pańskie wyjaśnienie, — rzekł pułkownik.

— Więc proszę siadać.

Delegacja usiadła. Murphy po chwili podjął, wciąż stojąc.

— Powiedziałem, że wynalazek A. R. 7. jeszcze nie istnieje. Podkreślałem to słowo „jeszcze”, którego panowie zupełnie nie wzięli pod uwagę, jakby go nie słysząc. Kiedy wynalazek „już” istnieje? Gdy jest doprowadzony do swego stadium ostatecznego i gdy jest dostatecznie wypróbowany, zrealizowany. Otóż A. R. 7 w tym istotnym sensie „jeszcze” nie istnieje. Zrozumieli panować teraz?

I Murphy usiadł. Delegacja patrzyła po sobie, nie wiedząc, co powiedzieć.

— Więc jednak bądź co bądź A. R. 7. istnieje? — zdobył się wreszcie pułkownik Fleet na dalsze podjęcie konferencji.

— „Bądź co bądź” istnieje tak, jak istniało A. R. 1, 2, 3, 4

itd, lecz nie jest jeszcze w tym stadium, które mógłbym uważać za ostateczne — jakby niechętnie potwierdził Murphy.

— Więc po cóż Hindus Wiszratu?..

— Ba. Po cóż? Nie wiem. Wiem tylko, że go za to usunął.

— A dlaczego pan nie uważał za wskazane sprostować enuncjacji Hindusa?

— Bo mi życie miłe, a praca jeszcze bardziej.

— Nie rozumiem.

— A rozumie pan pułkownik, co by było, gdybym wniósł jakiegokolwiek sprostowanie do rewelacji Hindusa? To by dopiero przydarzyła się gratka dla prasy, by podnieść jeszcze większy gwałt dookoła A. R. 7. Z wywiadami nie byłoby końca, a ja muszę pracować w spokoju, bym wreszcie mógł powiedzieć światu, że A. R. 7. już istnieje.

— A na kiedy pan profesor przewiduje możliwość takiej chwili?

— Trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Może za rok. To zależy..

— Od czego?

— Od przeprowadzenia odpowiedniej ilości prób.

— W terenie, czy w laboratoriach? — podchwytliwie spytał D. Brown.

— Zgadł pan, — odpowiedział Murphy.

Na twarzy Browna nie było widać, że wie, co zgadł. Murphy się uśmiechnął.

— Zbudowałem na jednej ze skalistych wysepek kalifornijskiego pobrzeża, to znaczy w terenie, — ulitował się wreszcie Murphy nad Brownem, — kompleks laboratoriów, gdzie przeprowadzam próby finalizujące A. R. 7. Test więc teren i laboratoria.

— A czy nie moglibyśmy przyjść panu z należyty materialny pomocy, która by była w stanie zwiększyć tempo prób, a tym samym skrócić okres oddzielający nas od ostatecznego finału? — spytał pułkownik.

— Dziękuję, ponieważ na brak środków materialnych uskarżać się nie mogę, — odparł Murphy i znacząco spojrzał na zegarek.

— Pojmujemy, że czas pański jest drogi, — zrozumiał aluzję pułkownik, — lecz nie chcielibyśmy wracać do Waszyngtonu bez jakichkolwiek pozytywnych rezultatów.

— A czyż na wszystkie pytania panów nie odpowiadam pozytywnie?

— Na pytania — tak, lecz nie na propozycje.

— A czy przyjęcie przeze mnie propozycji panów, t. j. organizowania „Koncernu A. R. 7.” wraz z organicznie połączonymi z tym pertraktacjami, targami, naradami i t. d. posunęłoby o jeden włos sprawę realizacji A. R. 7.? Nic a nic. Byłoby więc bezcelowe.

Delegaci bezradni znów spojrzeli po sobie. Przerwywając ich milczenie, Murphy wstał.

— Sądzę tedy, żeśmy omówili gruntownie całą rzecz, więc...

— Jeszcze chwilę, — rzekł również wstając pułkownik — jeszcze jedno tylko pytanie.

— Słucham.

— Czy moglibyśmy choć w ogólnym zarysie, chociaż w jednym przez pana powiedzianym, więc autorytatywnym zdaniu, zorientować się, na czym w rzeczywistości polega istota A.R.7.?

— O, właśnie! Właśnie, — wstał również D. Brown.

— Bo prasa i radio, — podchwycił, przyłączając się do przedmówców P. Blackford, — tak różnorodnie, a częstokroć sprzeczenie naświetlają meritum problemu.

— Więc możeby pan nam zechciał...

— Jako wiatyk na drogę...

— Zdefiniować, co to jest A. R. 7.?

— Dobrze. Co to jest 7 już powiedziałem. Zaś A. R. to jest atom - robot.

Delegacja znów spoirzała po sobie bezradnie.

— O tym nie tylko my, ale i wszyscy wiedzą, — zauważył wreszcie Brown.

— Doskonale. Więc wszyscy powinni być zadowoleni.

— My jednak tego o sobie, jeżeli mamy być szczerzy, powiedzieć nie możemy.

— To smutne, ale cóż ja na to poradzę? Żegnam panów.

— Zatem atom-robot, to atom-robot, — z krzywym uśmiechem ściskając dłoń Murphy'emu rzekł pułkownik.

— Tak jest, atom - robot, — rzekł Murphy, — to nie jest atom - artysta, ani atom - rentier, ani atom - wojak, tylko i jedynie atom - robot. Robotnik.

— A nie bierze pan profesor pod uwagę — zareplikował nagle Fleet, zwracając się już od progu, — że i robotnicy też w pewnych okolicznościach mogą, a nawet muszą być wojakami.

— Owszem, — odparł profesor, — ale już ja w tym, że mój robotnik mój robot pozostanie na zawsze tylko i wyłącznie robotem.

Delegacja w milczeniu gęsiego wyszła. Za nimi wysunął się Fletcher.

W poczekalni pułkownik Fleet odwołał na bok Fletchera.

— Czego pan nam głowę zawrócił? — wpadł na niego obces, — cała historia jest jeszcze grubo przedwczesna i w ogóle diabli wiedzą, czy z tego kiedy co będzie!

— Ależ, panie pułkowniku, przecież... — próbował się tłumaczyć Fletcher.

— Złożę raport w Waszyngtonie, że nie stoi pan na wysokości zadania. Skończyłem.

I pułkownik Fleet wydefilował z poczekalni.

— Zakuty sztabowy łeb — mruknął za nim Fletcher.

SEKRETARZ W OBIEŻY

Mruknięcie Fletchera o „zakutym łbie” pod adresem pułkownika Fleet a pociągnęło za sobą bardzo niemiłe konsekwencje. Usłyszał je mister Blackford, zmierzający w ślad swego przewodniczącego, gdyż zatrzymał się i z ostrzegawczo podniesionym palcem podszedł do generalnego sekretarza.

— Lekkomysłne insynuowanie uwłaczających zarzutów mści się często na ich autorach. Dlatego też radzę poważnie wziąć pod uwagę możliwość, że Trust M. zacznie myśleć podobną kategorią o panu.

— Nie rozumiem doprawdy, mister Blackford, o co... — jął zaskoczony Fletcher, gdy ostry trzykrotny dzwonek z gabinetu przyjęć targnął nim i zmusił do raptownego nadrabiania straconego czasu.

— Kto z państwa ma szton Nr 2, proszę za mną! — zainterpelował petentów.

W gabinecie przyjął go Murphy lodowatą uwagą:

— Co się z panem dzieje? Przypuszczałem już, że pan wyszedł na spacer. Czekam od trzech minut.

— Przepraszam najmocniej, lecz ci panowie zażądali ode mnie pewnych uzupełniających wyjaśnień, więc musiałem...

— Jakich wyjaśnień?

W ciągu sekundy dziewięć kłamstw przeniknęło przez mózg Fletchera, dopóki szalonym wysiłkiem nie wyrwał z siebie dziesiątego najprawdopodobniejszego, które oznajmił:

— W sprawie stenogramu.

— Niech go pan zabierze, od razu sam odszyfruje i prześle im kopię. W poczekalni na dziś zastąpi pana siostrzeniec. A pan w sprawie?... zwrócił się Murphy do interesanta.

Zmierzając do sekretariatu ze stenogramem w ręce i roztrząsając szereg niesympatycznych wrażeń z okresu paru ostatnich minut, Fletcher raptownie przystanął.

— Na Boga! Skąd Big Ben wie, że Bob jest moim siostrzeńcem?... Tego mi jeszcze brakowało do kompletnego szczęścia! — i pobiegł truchtem.

Lecz zanim mógł się przedostać do pokoju, osaczyła go falanga reporterów.

— Stary, zasuszony, tajemniczy śledziu! — pierwszy nań napadł najbardziej wygadany sprawozdawca z „Sun’a”, Willy, — to, gdy u was wyczyniają się sensacyjno - interesujące jak na kaniukę wypadki...

— Ty słówkiem nie piśniesz przez tubkę do nas?... — wołał reporter miejscowej mutacji „New York American’a”.

— Tak się postępuje z przyjaciółmi? — darł się trzeci z „S. Francisco Ledger’a”.

— Wędzony śledziu z „Murphy’s Laboratory”!

— Chłopcy kochani! O co wam chodzi? Nic nie rozumiem... — udawał zdumionego Fletcher, szybko składając stenogram w ósemkę i pakując go w kieszeń.

— A może powiesz, że nie wiesz, czy do twego starego przyjechała delegacja z Waszyngtonu?

— A coś w tej chwili wtrynął w kieszeń?

— To moja rzecz, — z urazą oszkalowanego odparł Fletcher, wyjmując z kieszeni rękę wraz z chustką do nosa i nieznacznie lawirując do drzwi sekretariatu.

— A to stary magik! Włożył papier, wyjął chustkę!

— A!e z delegacją sztuczka mu się nie uda.

— Chłopcy najdrożsi! Puśćcie mnie, bo nie mam chwili czasu.

— Nie ma mowy o „puśćcie”. Przyznaj się od razu dobrowolnie bez bicia, po co przyjechali ci dżentelmeni ze wschodu?

-- Będę na wasze rozkazy za kwadrans, lecz w tej chwili mam tak nagłe dyspozycje do wykonania, że błagam, nie narażajcie mnie na gniew profesora!

— Jak facet błaga, to może go istotnie nie narażać?

— Zwłaszcza, że „Edison Nr. 2” to groźny mąż.

— Cieszy mnie, że tak w lot orientujecie się w sytuacji.

— Bujać to — my, a nie — nas! Ale za kwadrans...

— Nóżki na stół!

— Daję słowo, że za kwadrans powiem wszystko, co tylko będę mógł, — zapewniał solennie reporterów Fletcher, aż dotarł do drzwi i zniknął za nimi jak duch, zasuważąc dla pewności ci-chutko zatrzask.

— Serce mi się raduje, żeś jeszcze żywy, bo słyszałem, jak trzeszczałeś pod prasą. Dużoś farby z siebie wypuścił? — powitał flegmatycznie Fletchera kończący właśnie przed lusterkiem swą koafiurę Bob.

— Żebyś ja ciebie stąd nie wypuścił i to przez okno!

— Przerażasz mnie, okrutny wuju, twymi krwiożerczymi za-mysły...

— Ty zaś, idiotyczny siostrzeńcze, doprowadzasz mnie do utraty posady twym długim ozorem. Komu naplotłeś o naszym pokrewieństwie, co? Big Ben już wie o nim.

— Stanowczo genialny facet. O wszystkim wie. Mimo, żeś nic nikomu nie plótł.

— I bardzo źle widzi wszelkie protekcje rodzinne.

— Widocznie na własne przymyka oczy.

— Gdyby nie twoja matka, a moja jedyna siostra... — lecz w tej chwali zaturkotał telefon, przerywając Fletcherowi gorzki wylew uczuć rodzinnych. Chwycił słuchawkę.

— Tak jest, panie profesorze. Ależ nie, panie profesorze! Uległem katastrofie nalotu reporterów... Ledwie mnie na wpół żywego przed chwilą wypuścili. O, nie — oczywiście, że nie. Ani słówka... Ale zapowiedzieli, że wrócą tu za kwadrans w większej ilości... Sam mam odwieźć kopię? Dziękuję, panie profesorze... To mi ułatwi wyjście z trudnego położenia. Słucham... Tuż idzie! — i rzucając słuchawkę, Fletcher zasyczał na Boba, — w tej chwili pędź, do poczekalni przy gabinecie przyjąć. Zastąpisz mnie. A zbłaźnij się!..

— Spróbuję — odparł witając Bob i zmierzając do drzwi.

— Zaprzestaniesz wreszcie tych oślich dowcipów?

— Spróbuję zastąpić ciebie. Gdzie tu dowcip?

— Po drodze przyslij mi zaraz miss Kitty. Już cię nie ma!

Po wyjściu Boba Fletcher mamrocząc pod nosem wcale do-borową litanię przekleństw, których poduczyć by się od niego mogli najwytrawniejsi marynarze, jął wygrywać konferencyjny stenogram na Underwoodzie jak koncertant. Maszyna pod błyskawicznymi ruchami jego palców dygotała w takt pasji, miota-jących samopoczuciem generalnego sekretarza.

Weszła miss Kitty, pracowite stare pannisko.

— Mam dokończyć to przepisywanie za pana, mister Fletcher? — spytała z wypróchniałym wdziękiem, podchodząc do stolika.

— Dokończy pani własnej roboty za siebie.

— Oczywiście — godziła się Kitty, zmierzając do odejścia, — ale po cóż mister Robert wezwał mnie do pana w pilnej, jak mówił, sprawie. Rozumiem. To jeszcze jeden żart tego młodego człowieka. Ale czy właściwy?

— Kiedyś przy okazji łącznie zastanowimy się nad tym. Tymczasem proszę pójść do siebie, wyjąć swe przepisywanie z maszyny i przynieść je tu.

— Kiedy, po pierwsze, jeszcze nie skończone, po drugie nieskorygowane.

— Po trzecie, tu będzie skończone, a po czwarte proszę mi nie przeszkadzać swoim gadulstwem. Rozumie pani?

— Rozumiem. Omylił się pan. Przepraszam.—I Kitty wyszła.

— A niech to wszyscy diabli! Naprawdę się omyliłem!.. — żuł Fletcher nową serię przekleństw, kończąc wściekłą rumbę odpisu.

Kitty wróciła ze swymi papierami, gdy generalny sekretarz pakował już kopię do teki.

— Maszynę ma pani wolną. Proszę siadać i kończyć swą pracę.

— Musi to być coś niesłychanie ważnego, skoro aż we własnym gabinecie każe mi ją pan kończyć.

— Oczywiście. A co pani przepisuje?

— Polecenie do naszego magazynu, zawierające dopełnienie spisu lekarstw do podręcznej apteczki naszego piętra. To chyba nie jest takie ważne?

— Niesłychanie. Spis lekarstw to szyfr, więc każda omyłka może pociągnąć za sobą katastrofę.

— O jej! A jak skończę co mam z tym zrobić?

— Nadać sprawie tok urzędowy. A potem proszę sobie na bloku zanotować: siedzieć tu, dopóki nie przyjdą przedstawiciele prasy i powiadomić ich, że musiałem wyjechać na miasto na skutek dyspozycji profesora i że dziś już nie zdążę wrócić do biura z nimi na romans. Ma pani „romans”?

— Panną jestem, mister Fletcher.

— Może się jeszcze nieba nad panią ulitują. A odejdzie pani do pukaniny u siebie, gdy tu wróci mister Robert.

I zabierając tekę z odpisem stenogramu, generalny sekretarz wymknął się bocznym wyjściem.

W westibulu Fletcherowi zastąpił drogę Dual.

— Jakże się cieszę, że zdążył pana złapać przed wyjściem.

— Cieszę się nie mniej od pana, mister Dual, ale jeszcze bardziej się spieszę, wobec czego...

— ... pozwoli pan, że mu będę towarzyszył — nie dał się zbić z tropu Dual, wychodząc z Fletcherem na ulicę.

— Za kwadrans powracam. Obiecałem to chłopcom z prasy. Niech więc pan poczeka. Urządzi się zbiorowy wywiad. W tej chwili absolutnie nie mam czasu, bo muszę jechać.

— Zupełnie tak jak ja. Ale na wszystko jest sposób. Pogadamy sobie w drodze. Otóż i auto.

Dual, otworzywszy szybko drzwiczki, prawie natrętnie podsadził Fletchera do limuzyny, rączo wskoczył za nim i maszyna poderwała z miejsca.

— Czego walcie oślepić przed siebie, skoro nie wiecie, dokąd mamy jechać? — zawołał przez tubę Fletcher do szofera.

— Niech się pan nie denerwuje. On wie, dokąd ma jechać, — zauważył spokojnie Dual, wyjmując tubę z ręki Fletchera.

Szofer Murzyn obejrzał się od kierownicy pokazując w uśmiechu wszystkie zęby i dodał gazu.

— To nie nasz szofer! I maszyna, widzę, nie nasza! Co to wszystko znaczy?

— Drobną z mej strony towarzyską usługą. To jest moje auto.

— Ale pan przecież nie wie, dokąd mnie odwieźć?

— W tej chwili to nie ma żadnego znaczenia. Będzie ono aktualne dopiero po naszej rozmowie.

Rzuciwszy okiem przez szybę, Fletcher zawołał.

— Jedziemy za miasto?!

— Cóż to szkodzi? Nie wątpię, że ta mała przejażdżka odświeży pana i odpręży nerwy. Nie należy się tak przeciążać pracą, zwłaszcza na parę frontów. Przepraszam, powiedziałem nonsens.

— Dobrze chociaż, że się pan do niego przyznaje.

— Właśnie, bo robię panu zarzut, że pan służy kilku bossom wtedy, gdy sam mam zamiar rozszerzyć zasięg pańskich usług.

— Nic nie rozumiem.

— Szkoda. Generalny sekretarz Murphy'ego, a równocześnie mąż zaufania Trustu M., ponadto zaś funkcjonariusz warszyngtońskiego wywiadu powinien posiadać umysł bardziej lotny.

— Pan mnie obraża!

— Czym? Że znam źródła pańskich dochodów i pragnę je powiększyć?

— Kto pan jest właściwie, panie redaktorze Dual?

— Redaktorem Dual. A czy przemawiam do pana w imieniu masonerii, czy Ku-Klux-Klanu, co panu za różnica z chwilą, gdy nie chce od pana niczego darmo.

— A czego pan chce właściwie?

— Dokładnych danych o A. R. 7.

— Zapewniam pana, że nie mam żadnych.

— Też nieprawda. A co pan piastuje w tece?

Fletcher mimo woli ścisnął tekę mocniej pod pachą.

— Widzi pan, że nawet nad odruchami panuje pan słabo. A co dziś odpowiedział Murphy delegacji z Waszyngtonu? Cóż pan ciągle gra zdziwionego? Czy mam się wreszcie zniecierpliwic i być nieprzyjemny?

Auto stanęło przed jakąś willą, której dach wyzierał z gąszczy drzew.

— Lepiej by było — ciągnął Dual — byśmy nie wysiadali i załatwili sprawę w wozie. Pan ma mało czasu, ja też niewiele. Więc? A warunki niech będą takie, jak z Waszyngtonem. Znam je. Tedy słucham.

— Wiem tyle o A. R. 7. — wydusił z siebie wreszcie Fletcher, ile zawiera ten stenogram.

— Proszę mi go dać do przejrzenia. Chce pan cygaro?

— Dziękuję.

Dual zagłębił się w czytanie, a Fletcher w rozmyślanie nad niespodziankami życia. Wreszcie oddając stenogram Dual zakonkludował:

— Merytorycznie niewiele. Ubocznie coś niecoś jest. W każdym razie A. R. 7. istnieje i nie miał racji ten uczoney bałwan.

— Który? Tylu ich jest w „Murphy's Laboratory”.

— Ten, o którym mowa, pragnie zachować swoje incognito, więc niechże pan nie będzie niedyskretny.

— Spytałem jedynie w związku z powstałą w tak oryginalny sposób kollaborację pomiędzy nami.

— Co do której radziłbym, by się pan nie starał lekce ją sobie ważyć.

— W zobowiązaniach mych przestrzegam zawsze zasady lojalności.

--- Stąd też widocznie wypływa powodzenie, jakim się pan cieszy u przedstawicieli różnych obozów.

— Tak jest. Choćby dzień dzisiejszy jest najlepszym dowodem, jak bywam rozchwytywany.

— Sadząc ze stenogramu, który panu niniejszym zwracam, ma pan zapewne zamiar wręczyć go lojalnie delegacji waszyn-gtońskiej?

— Nic się nie ukryje przed pańską przenikliwością.

— Tak jest. I raz jeszcze radzę o tym nie zapominać. Ponieważ dojeżdżamy do miasta, gdzie pana podrzucić?

— Pod „St. Francis Hotel”.

— Doskonale. — Dual przez tubę podał adres szoferowi, wysadzając zaś Fletchera rzekł na pożegnanie: — sądzę, że już nie będę panu potrzebny dzisiaj podczas wywiadu z prasą, nieprawdaż?

— Na pewno rozeszli się od dawna, złorzeczając mi.

— Bardzo współczuję. Będę jednak zmuszony zaniepokoić pana w najbliższym czasie prośbą o pewne wskazówki i wręczeniem odpowiedniej dotacji.

— Na litość! Byle nie w biurze! Proszę mi przysłać depezę, gdzie i kiedy? Oczywiście poza godzinami urzędowymi.

— Zastosuję się. Żegnam.

W hotelu powiadomiono Fletchera, że trzej panowie przyjezdni już odjechali na lotnisko. Pędząc za nimi taksówka, generalny sekretarz Murphy’ego gorączkowo robił bilans zdarzeń dnia dzisiejszego i bilans ten wypadł ze wszechmiar fatalnie. Mało, że naraził się Fleetowi i skompromitował się wobec Blackforda, ale uwaga profesora o Bobie zdawała się wskazywać na to, że Big Ben może wiedzieć znacznie więcej, niżby to było pożądane. Skąd? I — co wie? W każdym razie profilaktycznie należy zastosować jak największe ostrożności. A tu tymczasem wypłynęła przerażająca komplikacja z tym Dualiem. Straszliwy gość! Kidnapper i szantażysta... I znów diabli wiedzą, skąd wie o wiele za wiele. Jakże się wyzuć z tej łowczej obieży? Makabra!

Na lotnisku pokazano Fletcherowi hen w niebie malejącą z każdą chwilą ważkę-samolot, którym delegacja mknęła z powrotem do Waszyngtonu.

— Teraz zupełnie leżę! — pomyślał zrozpaczony, spojrzawszy na zegarek, jakże ho wytłumaczę się profesorowi, że na piętnastominutową trasę autem zużyłem z górą dwie godziny? Einsteinowską teorią względności czasu?

Nagie genialna myśl olśniła go, jak błyskawica.

— Powiem prawdę!... O Dualu?... No, nie! Z całego szeregu względów — nie o Dualu. O jakimś tajemniczym nieznanym nieznanym. Powiem taką względną prawdę. Bo prawda dopiero wtedy wzbudza u ludzi największe zaufanie, gdy jest mądrze przybrana odpowiednim fałszem.

KWADRATURA TRÓJKĄTA

Stanley rozważając i analizując niespodziewaną dlań sytuację, jaką zastał w domu po powrocie z Europy, doszedł w swych rozmyślaniach do pewnych rezultatów, które skryształizowały się w dwa zasadnicze problemy.

Problem pierwszy, kluczowy. Co powodowało ojcem, że poświęcał Gladys w ofierze (jak ongi Agamemnon Ifigenję) na ołtarzu „posłannictwa w sprawie bardzo ważnej?” Bo nie wątpił, że Gladys wzięła na siebie owo posłannictwo pod naciskiem woli profesora i pod wagą jego wpływu na nią. Dowodem tego oczywistym był jej stan obecny, stan nacechowany, można by rzec, fatalistyczną ciężką melancholią. Stan ów wzbudzał w Stanleyu coraz głębszy żal do ojca, żal przechodzący w niechęć, a nawet stopniowo w pasję. Stanley wyczuwał instynktownie, że poza formalnym powodem zaufania kryło się jeszcze w tym postępku profesora coś istotniejszego, głębszego, czego na razie zdefiniować nie był w stanie. Wrócił do Gladys istotnie psychicznie „przeorany” wojną. Wrócił rzeczywiście przemieniony, gotów do znalezienia wspólnego języka i synowskiego kontaktu z ojcem, którego surowe życie i ciężkie prace z perspektywy niszczącej dzikości wojny zarysowały mu się dopiero w całej powadze prawdziwego twórczego człowieczeństwa. Wrócił z najlepszymi chęciami, a zastał zimny i ironiczny odpór, w powodach którego gubił się na razie bezradnie. Coś ciemnego się tai za murą nieufności, który go odgradzał od wszelkiego bliższego kontaktu z ojcem. Ale — co?

Problem drugi — istota posłannictwa Gladys musi się wią-

zać z trzecim, z istoty A. R. 7. Posłannictwo ma być jakoby łatwe, lecz hamuje ono na razie wszelkie projekty Stanleya, połączone z jego nowym życiem w Polsce przy boku Gladys. Lecz epokowość A. R. 7. nie bardzo harmonizuje z łatwością posłannictwa. Jak znaleźć nić przewodnią w tym labiryncie? Nie da mu jej ojciec. Nie może dać Gladys. Chyba, że jak na wojnie... By osiągnąć cel, należy go zdobyć. Czołowy atak nie pomógł. Ani z ojcem Ani z Gladys. Cóż pozostaje? Manewry oskrzydłujące i poprzedzające je wywiady.

Ciężka i trudna rzecz myśleć o ojcu kategoriami walki z nieprzyjacielem, gdy chciałoby się mieć w nim sprzymierzeńca.

Jeszcze może cięższa — zniewalać miłość Gladys dla zdobycia wiadomości, których inną drogą uzyskać nie podobna.

W każdym razie należy penetrować na wszystkie strony. Pierwszy, który przyszedł na myśl Stanleyowi jako rzeczowy informator co do A. R. 7., był kolega jego uniwersytecki, Tadeusz Kania. Syn kalifornijskiego górnika, wychodźcy z Polski. Taddy — jak go zdrobniale nazywali koledzy, pracował od kilku lat w „Murphy’s Laboratory”. Wspólne polskie pochodzenie zbliżyło młodych ludzi i wytworzyło pomiędzy nimi przyjaźń.

— Taddy z pewnością udzieli mi jakichś danych o wynalazku, — myślał Stanley, udając się do zakładowego szpitala.

Niestety, lekarz nie dopuścił go do chorego.

— Mister Kania bardzo cierpi i niewiele może na to pomóc dzisiejsza medycyna. Liczymy raczej na naturalny odpór organizmu. W każdym razie jakikolwiek kontakt osób trzecich z chorym jest wykluczony. Może za tydzień, który, o ile pacjent przetrzyma...

— Co mu właściwie się stało?

— Uległ bombardowaniu neutronów. Silne porażenia wewnętrzne.

— Nie potrzebował chłop jeździć na wojnę, by go zbombardowano, — myślał Stanley, wychodząc ze szpitala, — w każdym razie to źródło wyszło mi na pewien, czas. Nie ma rady. Trzeba nękać starego i niepokoić Gladys.

Lecz Gladys przez parę dni była dlań nieuchwytna. Professor stale trzymał ją przy swym boku, absorbując ciągłymi zajęciami. Zabierał nawet ze sobą, gdy wyjeżdżał na inspekcję prac, prowadzonych w jakichś nowych laboratoriach, pobudowanych na jednej z okolicznych skalistych wysepek pobraża. Razem wracali na obiad; Murphy, przypominając chodzący posąg Komandora, a Gladys jak gdyby zahypnotyzowana. Ku ser-

decznej udęce Stanleya uroda jej wysubtelniała wiotkim, chorośliwym wdziękiem orchidei. Ciemno głęboki brąz źrenic, niewymownej ślicznoty owal twarzy w mglistym otoku bladych włosów i ten płatek ust, na którego zarys Stanley nie mógł spojrzeć bez wewnętrznego dreszczu zachwycenia, — tchnęły zaziemskością muzyki. Ona nie ma twarzy, widziało się Stanleyowi, lecz — oblicze. Oblicze nokturnu szopenowskiego... I jak tu przeprowadzić wywiad z nokturnem?

Toteż całą taktykę swych manewrów nieszczęsny strateg koncentrował wokół profesora. Jak dotąd — z mizernym skutkiem. I teraz:

— Przepraszam za niedyskrecję — zagadnął ojca — czy te tam wyspiarskie ekskursje państwa dotyczą prac związanych z A. R. 7.?

— Proroczno trafiłeś w sedno, — lakonicznie potwierdził profesor.

— A czy państwo słyszeli, — znów po chwili milczenia zaczął swe podchody Stanley, — jaka wrzaskliwa kukaracza rozgrywa się teraz w prasie całego kraju na temat A. R. 7.

— Owszem, wspomiano mi o tym, — rzekła Gladys, — ale ja nie czytuję gazet.

— „Pokukaraczą” sobie i przestaną — orzekł Murphy.

— Nie jestem tego tak pewny, bo do jazgotliwego zgiełku brukowców przyłączyły się bardziej serjo głosy tygodników i magazynów. Niektóre z nich dość zasadniczo, a nawet z sensem podchodzą do problemu wynalazków naukowych z punktu widzenia społecznej celowości.

— I cóż oni tam gawędzą? — spytał profesor, — zreferuj.

— Spróbuję, jeżeli sobie tego życzysz, chociaż za ścisłą dokładność nie ręczę. Otóż widza oni pomiędzy poziomem intelektualnym dzisiejszego człowieka a jego poziomem moralnym tak wielką przepaść, że może ona grozić ludzkości nawet zagładą.

— Proszę, proszę, jakież to Jeremiasz tak straszy świat? — ironizował Murphy.

— Jeremiasz nie Jeremiasz. W każdym razie H. G. Wells, na autorytet którego powołują się właśnie autorzy artykułów, o których mówię.

— Autorytet literacki, dajmy na to. Ale na jakiej zasadzie literat może pouczać naukowców, co mają robić? — przyznam się, że nie wiem.

— Uważasz, że tylko nauka wszystko wie?

— W każdym razie tylko nauka naprawdę coś wie. Ona zatem może jedynie uratować ludzkość od zguby .

— Za pomocą bomby atomowej?

— Może za pomocą A. R. 7.

— Muszę ci wierzyć na słowo, bo nie wiem, co to jest A. R. 7.

— Dowiesz się w swoim czasie.

— Jednak póki nie wiem, mogę operować tylko danymi, które znam. A one mówią mi, że dzisiejszy człowiek pod względem rozwoju wewnętrznego niedaleko odbiegł (a może i wcale) od swoich przaszczurów asyryjskich czy rzymskich. Nawet dwa tysiące lat chrześcijaństwa niewiele go uszlachetniło. Takież sam egoizm jest motorem prawie wszystkich jego czynów. Toteż jeżeli najwyższa technika wojenna dawnego asyryjczyka pozwalała mu wywijać procę i młócić tasakiem, to ilu tak zwanych wrogów mógł utłuc? Stu, może dwustu, póki dwóchsetny pierwszy jego nie utłukł. A dzisiejsza nauka, dając do łapy dzisiejszemu asyryjczykowi bombę atomową, daje mu okazję do zamienienia w proszek ilu wrogów? Dwieście tysięcy! A że bardzo trafnie zauważył pewien dawny polski poeta, że:

Jeden tysiące zabić może ręką srogą,

Lecz urodzić jednego ledwo dwoje mogą...

Więc wobec takiego stosunku przyczynowego urodzin do śmierci, dzisiejszy wspaniały rozwój nauki ukoronuje swą działalność totalnym chemicznym procesem przemiany całej ludzkości w gaz! I widzi się, że zmierzamy ku temu galopem. Jeszcze tylko kilka „epokowych wynalazków” i finał gotów!

— Bardzo ładnie uplastyczyłeś sobie filmowo całą historię. Rozumowo gorzej. Niektóre zaś przesłanki w ogóle szwankują.

— Na przykład?

— Do przemiany całej ludzkości w gaz nawet przy tysiącach bomb atomowych (które zresztą wyrabiać wcale nie tak łatwo) droga jeszcze daleka. Ale co najważniejsze: skąd ta pewność, że nauka i nadal będzie „dawać do łapy dzisiejszemu asyryjczykowi” i dalsze „epokowe wynalazki”? A jeżeli, widząc co się dzieje, nie zechce dawać?

— To ją zmuszą.

— Kto?

— Podziwiam twój daltonizm. Ze swej „kabiny pilota.” widzisz świat na różowo. Przecież nauka w naszym ustroju jest uzależniona przede wszystkim od kapitału, a następnie od racji stanu.

— Nauka jest niezależna. Nikt nie panuje nad moim umysłem!

— Nawet nad Twoją pracą, o ile jest w toku. Ale nad jej już gotowymi rezultatami? Płodzić ci wolno, ale spłodzone dziecko zawsze ci zabiorą, odpowiednio wykształcą i każą mu pracować dla swoich celów!

— Ojczy, Stanley ma rację! — odezwała się milcząca dotąd Gladys.

— W jednym zdaniu dwa nonsensy, — szorstko odparł Murphy — nie jestem twoim ojcem i Stanley nie ma racji.

Gladys zarumieniła się, lecz odparła z wyjątkową jak na nią stanowczością:

— Daruj, lecz trudno mi uważać za nonsens takie o tobie pojęcie, z jakim zrosłam się od dziecka.

— Pora jednak byś wyrosła z tej dziecinady, tym bardziej, iż zwracałem ci już uwagę, że jeżeli ciebie to odmładza, to mnie postarza.

Pozorna ironia tych słów nagle przeszła świadomość Stanleya chłodem sztychu. Przemknęło wspomnienie sprzed wojny, jak przy takimże obiedzie sarkastycznie żonglował parabolą o Borgiach z myślą o Gladys i o sobie. Na Boga! Czyżby fatalny renesansowy trójkąt — Cezar, Lukrecja, Aleksander — po wiekach znowu odradzał się w trójkącie — Stanley, Gladys... Murphy?!

I stając do walki z wyłaniającym się koszmarem zaatakował ojca waząc każde słowo przed rzuceniem go jak granat.

— Widzę ojczy, że wszystko traktujesz ściśle naukowo. Nawet własny stosunek do Gladys. Bo tylko w nauce nazywamy jakiś przeżyty pewnik aż nonsensem, gdy powstanie inny, aktualnie bardziej dla nas odpowiedni.

Murphy zrozumiał. Pasja go ogarnęła, że się ujawnił tak niezręcznie i przedwcześnie. Przymknął powieki i zastygł. Należało zmylić ślady. Zmógł więc w sobie piorun gniewu, nie dał mu wybuchnąć i po dłuższej chwili ciężkiego milczenia rzekł:

— Nie odbiegajmy od głównego tematu dla spraw ubocznych i nieistotnych. Mówiło się o nauce i obecnej jej roli w świecie i dla świata. Ty uważasz, że nauka jest i pozostanie niewolnicą kapitału i państwa. Oczywiście, jako ignorant, nie masz racji i nie dziwię się temu. Ale, że Gladys, która jednak coś nie coś ode mnie wie, mimo to podziela twe zdanie, to złożyć mogę tylko na karb typowo niewieściej niekonsekwencji.

— Niesłusznie nazywasz niekonsekwencją zmianę zapatrywania, która może mieć miejsce pod wrażeniem nowopoznanych argumentów.

— Otóż to. Pod „wrażeniem” argumentów, a nie na skutek logiki faktów.

— Może się źle wyraziłam, — broniła się Gladys, — nie roszczę sobie pretensji do umiejętności prowadzenia sporów.

— Po cóż więc zajmujesz w nich tak zdecydowane stanowisko?

— Jakkolwiek określić i ocenić zmiany, którym podlegają poglądy Gladys, — podążył jej z odsieczą Stanley, — rozmowa o tym znów nas odsuwa od tematu głównego.

— Tym razem wyjątkowo muszę ci przyznać rację.

— Przyznasz mi ją i później, gdy samo życie przekona cię, że ja mam słuszość. Amoralność kapitału i racji stanu nie cofa się przed niczym, byleby osiągnąć swe władcze cele.

— Wiem o tym, lecz wiem też, że tylko i jedynie nauka może powstrzymać te dzikie apetyty. Kto złamał monopol na cukier, kauczuk, benzynę, jak nie nauka? Skoro się nie da człowieka poprawić, należy go umieć poskromić.

— Romantyczną rolę wyznaczasz nauce: pogromcy w klatce z tygrysami.

— Żał mi cię, jeżeli nie widzisz wyników tej tresury.

— Mnie bardziej żał pogromcy, który po szeregu efektywnych numerów w rezultacie zawsze pada ofiarą bestii.

— Taki już los, że każdy Prometeusz musi cierpieć na wątrobę, — zironizował Murphy.

— Tak było dawniej. Dziś Prometeusza mogą diabli wziąć razem z całym Kaukazem!

— Nazwano mnie tu niedawno Prometeuszem Nr. 2. Ładną mi tedy przyszłość wróżysz, mój synu.

— A któż ci wzbrania jej uniknąć?

— W jaki magiczny sposób?

— Zniszcz A. R. 7!

— Co takiego?

— leżeli w nim tkwi jakakolwiek możliwość, by bestia ludzka ukuła z niej nową broń, zniszcz A. R. 7! Nie zostaniesz za to wprawdzie Prometeuszem, lecz ocalisz miliony.

— Wśród nich ciebie z Gladys!

W ponurym milczeniu jakie nagle spadło, ojciec z synem sprzęgli się oczyma. Gladys patrzyła na obu z bezradnym przerażeniem. Wreszcie profesor wzruszywszy ramionami podniósł się ociężale i rzekł do Stanleya.

— Nie przypuszczałem, że piastujesz w sobie zadatki na dramaturga. Bardzo efektownie udało ci się skomponować ten epizod. Spróbuj to ułożyć na film. Na mnie pora do pracy innego rodzaju, jutro jak zwykle, Gladys, wyjedziemy o ósmej.

Odchodząc dorzucił do Gladys:

— I radziłbym ci otrząsnąć się spod „wrażenia” stanleyowych argumentów, bo przecież wiesz więcej od niego.

Po wyjściu profesora Stanley rzekł do Gladys.

— Chodź do biblioteki, do naszego kąta. Musimy ze sobą pomówić.

— Dobrze, kochany.

Było w bibliotece coś w rodzaju wykusza, obrzeżone półkolistą kanapą ze stolikiem pośrodku, gdzie lubili wysiadywać jeszcze za swych bardzo młodych lat, nazywając je swoim kątem. Tu pracowali, tu dzielili się wrażeniami z przeczytanych książek, tu słuchali razem radiowych koncertów. Tu nachodziły ich pierwsze onieśmielenia, aż jęli unikać „swego kąta”. Idąc teraz w to miejsce wspomnień Gladys nagle stanęła. Powstrzymała ją przerażająca myśl. Może i tam Murphy ma swój telewizyjny wgląd. To byłoby okropne!

— Czemu stanęłaś? Zapomniałaś czego w jadalni?

— Nie — nie... Ale my tam pójść nie możemy!

— Nie rozumiem dlaczego?

— A ja ci znów powiedzieć nie mogę, lecz... obawiam się, że my tu może nigdzie szczerze porozmawiać nie będziemy w stanie.

— Cóż u licha! Wszędzie podsłuch?

— Cicho, na Boga! A ty skąd wiesz?

— Domyśliłem się z twych słów. Staruszek sobie w międzyczasie urządził czarnoksięski pałac. Nie ma jak wynalazki.

— Mów szeptem! Błagam! Jeżeli mnie kochasz..

— Tak cię kocham, że gotów jestem mówić szeptem. Nawet do ucha! — i Stanley przytulił Gladys i jął szeptać jej do ucha, — kocham cię! najdroższa! jedyna! nie opieraj się... raz wreszcie chciej mnie wysłuchać, ty... melodio mego szczęścia!...

Nagle uczuł, że Gladys wiotczeje mu w ramionach.

— Opanuj się, jeżeli chcesz, bym ja był w stanie panować nad sobą! Chodź do windy... w auto... i w nieznane! Musimy pomówić o wszystkim! I nikt nic nie usłyszy, ani zobaczy, choć cały świat będzie nasz!

Sami nie wiedzieli, jak to było, że się znaleźli w aucie i za miastem.

Droga stała się miękką taśmą, drzewa powitalnie chwiały gałęzmi i świat z rozwartymi ramionami horyzontu biegł ku nim radośnie.

STUGĘBNA FAMA

Swingowy jazzband prasy na temat A. R. 7 grzmiał coraz donośniej. Ogarnął stopniowo U.S.A., Kanadę, wreszcie i lątyńską Amerykę. Przerzucił się przez Atlantyk na szpalty pism europejskich.

Trzeszczał perkusją ankiet, gęgał saksofonami uczonych fachowców, krzyczał wniebogłoso trąbkami sensacyjnych rewelacji, huczał gongiem reklamy i blachą krytyki.

Lecz im gwałtowniejszy wytwarzał się harmider wokół A.R.7, tym bardziej nie wiadomo było, o co chodzi. Większość publikacji piała harmonijnym chórem rewellersów, że wynalazek profesora Murphy'ego jest bezwzględnie epokowy, ale już na punkcie samej istoty jego epokowości każdy organ opinii twierdził zgoła co innego.

Wychodząc z założenia, że klucza należy szukać w kryptogramie A. R. i opierając się na samym źródle wiadomości — niedyskrecji laboranta Wiszatronu — a potem na potwierdzeniu nieiako tej pogłoski przez samego profesora Murphy'ego do tajnej delegacji waszyngtońskiej, tajność której wyszła na jaw prędzej, niż delegaci zdążyli wrócić z S. Francisco do stolicy, — wykładano A. R. jako atom-robot. Ale jaką robotę miał robić ów atom-robot, zdania prasy różniły się diametralnie. Jedni twierdzili, że już sama litera R. oznaczała nie tylko robota, lecz i pewne jego funkcje, również zaczynające się na literę R.. Więc miał to być Atom Reakcjonista, to jest wytwarzający nowe, a nieznanne dotąd reakcje chemiczno-fizyczne. Tak twierdziła grupa pism kon-

serwatywnych, reprezentujących kapitał, bądź kler. Natomiast pisma lewicowe, zgadzając się w zasadzie na powyższą rolę wynalezionego atomu, uważały, że właśnie dlatego A. R. tłumaczyłoby się jako Atom Rewolucjonista.

Odlam prasy poświęcający się zagadnieniom ekonomiczno-handlowym odrzucał w ogóle oba powyższe twierdzenia, stawiając własne, a nowe, iż A. R. oznacza nie żaden atom robot, lecz Atom Rabat, t. j. — atom dający wielką ekonomię energii, czyli rabat. Ale w jakim sensie i zakresie ów rabat miałby się realizować, tego pisma owe nie chciały ujawnić przed czasem. Nie jest wykluczona trafność złośliwego przypuszczenia pism innych, że źródło nieujawnienia tkwiło po prostu w niewiedzy.

Czasopisma fachowe, poświęcone technice, mechanice i technologii, doszedłszy w dłuższej dyskusji do wspólnego wniosku, że A. R. 7 nie ma nic wspólnego z atomem ani z robotem w jakimkolwiek zastosowaniu do funkcji rozpoczynających się na literę R, — były zdania, że pod pseudonimem A. R. profesor Murphy kryje wynalazek Auto-Rakiety, czyli przyrządu telekomunikacyjnego. Przy czym trzeźwiejsze głosy mówiły tylko o komunikacji międzyplanetarnej w naszym systemie słonecznym, bardziej zaś rzutkie — o podrózach w obrębie na razie drogi mlecznej, podrózach, których kształcący wpływ mógłby się okazać dla naszej ziemi omal epokowym.

Na zupełnie swoistym i odrębnym stanowisku stały czasopisma wiedzy wojskowej.

Podkreślając wyjątkowe zasługi, jakie dla nauki położył „Edison Nr. 2”, organy powyższe opierały się na jedynej słusznej, zdaniem swoim, postawie iż tak wielki uczony może się zajmować li tylko problemami mającymi dla ludzkości najpoważniejsze znaczenie.

„Czymże więc” — pisał jeden z wybitnych strategików, gen. A. M. Burckley „taki tytan wiedzy, jak profesor Murphy mógłby absorbować swój umysł w obecnym okresie powszechnego pokoju, jak nie pracą nad najnowszą i najcelowszą bronią”. „Chcesz pokoju, szykuj się do wojny” — mówili mądrzy rzymscy wodzowie i politycy. Słusznie. Przechodząc do współczesności, wiadomo powszechnie, że główny wysiłek ludzi nauki w zakresie tworzenia nowej broni dąży do tego, by każda najbliższa wojna mogła się odbyć w sposób jak najbardziej humanitarny, to znaczy zmierzający do zniszczenia przeciwnika w najkrótszym czasie, najzupełniej i w trybie jak najmniej bolesnym.

Dlatego też nie tylko przypuszczamy, lecz raczej nie wątpimy, że geniusz naszego „Edisona Nr. 2” pracuje w imię powyższego ideału.

Czymże tedy może być A. R. 7, jeżeli nie Atomowym Rewolwerem? Broń taka, rażąca nieprzyjaciela jedynie atomami, otwiera nam nowe, a rozległe horyzonty co do stylu najbliższej wojny.

1- o. Atomowa amunicja z natury rzeczy będzie: a) tania, b) łatwa w transporcie, c) zajmująca nawet w maksymalnych ilościach minimum miejsca w rynsztunku żołnierza.

2- o. Produkcja jej nie będzie wymagała takiego rozbudowania wojennego przemysłu, jak to musiało mieć miejsce w czasie ostatniej wojny.

3- o. Broń ta będzie humanitarniejsza nawet od bomby atomowej, gdyż będzie funkcjonować niewątpliwie bez huków, dymu i podmuchu. A co najważniejsze, będzie likwidować przeciwnika bezboleśnie, niedostrzegalnie, a natychmiastowo, a więc — jak najhumanitarniej. Nie zadając widocznych ran, da oszczędność na szpitalach i rentach inwalidzkich. Jednym słowem, wynalazek to rzeczywiście epokowy. Realność powyższych naszych twierdzeń bazuje liczba 7, która jest ponad wszelką wątpliwość odpowiednikiem siedmiu typów tej idealnej broni. Typy te noszą z pewnością nazwy, zaczynające się od litery R. Mogą to więc być: 1) rozpylacz, 2) rulownik, 3) ryczałtowiec, 4) realizator, 5) rykoszetnik, 6) rymgowłeb i 7) raznazawszer.

Nazw tych nawet laikom wyjaśniać nie trzeba, gdyż mówią one same za siebie.

Po cóż tedy błędzić po fantastycznych manowcach problemu A. R. 7, jak to czyni ogół naszej prasy, gdy jedyne (tj. nasze) słuszne rozwiązanie tego zagadnienia nasuwa się samo przez się”.

Ścisłość kronikarska nakazuje jednak stwierdzić, że powyższe pokłosie poglądów prasowych na A. R. 7 mimo wszechstronność chaotycznego ujęcia nie wyczerpało bynajmniej tematu.

W jazzbandowym zgiełku rewelacyjnych przypuszczeń odzywały też się, acz rzadko, głosy technice powagą i logiką muzyki klasycznej. Były to głosy społeczników i myślicieli, nie wysilające się na takie lub inne techniczne odgadywanie wynalazków A. R. 7, lecz rozważające zjawisko z lat ostatnich nawału wynalazków i odkryć jako takich z punktu widzenia ich ogromu i potęgi w stosunku do etycznej mizerności współczesnego świata.

Oto sens owych rozważań.

Zniewolona geniuszem ludzkim natura oddaje stopniowo w ręce człowieka swe straszliwe siły. Czy człowiek będzie umiał skorzystać z nich godnie? Czy nie nadużyje ich z krzywdy dla ogółu, mając na względzie jedynie własny doraźna korzyść? Czy w swej ślepej pogoni za potęgą osobista nie obróci ich na tym większy ucisk swych braci, aż nie padnie wreszcie i sam ofiarą własnego zaślepienia...

Jakim echem odbiły się te głosy w świadomości czytelników, trudno przesadzać. Faktem jest, że doprowadziły ubocznie do niesamowitego odkrycia, którego dokonał Stanley, znalazłszy dzięki dyskusji nad nimi we własnym ojcu rywala.

WIECZÓR ZAMIARÓW I POSTANOWIEŃ

Siedzieli wtuleni w siebie na nadbrzeżnym urwisku. Ocean na dole mienił się morą szerokich rozlewisk, napływających z bezkresnych oddali. Rozżarzony purpurą dysk słońca zapadał za horyzont w morską otchłań. Bezmiar oddychał głębokimi westchnieniami wód walących swe falangi fal na skalne wybrzeże.

Choć nareszcie pierwszy raz w życiu tyle mieli sobie do powiedzenia, słowa idące od dna serc marły z zachwyty wobec oceanicznych wspaniałości zachodu i tego misterium kochania, które celebrowali w sobie.

Na dłoń Stanleya spadła łza Gladys.

— Płaczesz?

— Ze szczęścia! Nie wyobrażałam sobie, że można być aż tak szczęśliwą. Całe dotychczasowe moje życie wydaje mi się teraz ciężkim snem, z którego oto przebudziłam się. Jawą jesteś ty i ten cud przed nami. Spójrz!

— Widzę, lecz to, co w innym sensie jest „przed nami”, nie zakrawa na cudowną jawę.

— Szkoda, że już o tym mówisz.

— Niestety. Nie ja mówię, lecz mus:
„Umrzej marzenie! Byłoby za pięknie,
Gdybyś ty żyło. Pamięć pozostanie...”

— Jakie to ładne, choć takie smutne. Pewnie jakiegoś twego polskiego poety?

— Właśnie. Wzywa nas przez poezję do rzeczywistości.
Gladys westchnęła.

— Pociesz się, kochana, że gdy wybrniemy z tej rzeczywistości, znów nam wszędzie słońce. Ale już tam, w Polsce.

— Kiedy?...

— To tylko od nas zależy. Lecz musimy coś postanowić.

— Nic nie pomogą postanowienia, o ile nie przyjdą nam z pomocy wypadki niezależne od nas.

— Błagam cię, Gladys, przestań wreszcie mówić do mnie szaradami. Przecież zasadniczo już wiem, o co chodzi. „Posłannictwo” ważne dla panów i pań, nie wyłączając dzieci. Prometeusz Nr. 2, A. R.-7. Trzy po trzy!

— Stanley! Jakże można w ten sposób!...

— Można. Nawet trzeba. Wplątano cię w historię, która może się doskonale bez ciebie obejść.

— Niestety, nie.

— Na szczęście, tak. I znam powód, dla którego cię wplątano.

— Gdybyś go znalazł, nie mówiłbyś w ten sposób...

— Widocznie mówimy o dwóch różnych powodach.

— Ten, który mnie podano, był tak ważny, że nie mogłam nie wziąć na siebie zobowiązania, które teraz muszę wykonać, o ile zajdzie tego potrzeba.

— A jeżeli nie zajdzie?

— I to jest możliwe. Lecz wymaga czasu.

— Ile?

— Powiedziano mi rok. Może dłużej.

— Rozumiem. A teraz powiedz mi, co mogłoby cię zwolnić od tego zobowiązania teraz. Od razu.

— Profesor.

— W porządku. To ja już postaram się, by to zrobić.

— Lecz jeżeli nie uczyni tego z własnej nieprzymuszonej woli, a ze względu na ciebie, wówczas ja nie będę się czuła w porządku ze sobą..

— Ty jednak masz charakter.

— Powinieneś być z tego zadowolony.

— Oczywiście. Lecz równocześnie jestem wściekły. Ma się rozumieć nie na ciebie! Lecz na... mniejsza z tym.

— Widzisz więc teraz sam, że tylko czas i okoliczności mogą nam pomóc.

— Widzę, ale może da się pomóc i okolicznościom.

— Stanley! Znów?...

— Dobrze już, dobrze. Moja ty księżniczko niezłomna! Twarda i trudna jest służba błędnego rycerza przy takiej pani.

— Nie żartuj sobie ze mnie, najdroższy. Spójrz. Już gwiazdy na niebie. Musimy wracać. Hannibal będzie zgorszony.

— Że mąż z żoną wraca z wieczornej przejażdżki?

— Mąż z żoną? Nie przypominam sobie, żebyśmy brali...

— Prawda. Zapomniałem ci powiedzieć, że... wobec tego nieba, gwiazd i oceanu biorę sobie ciebie za żonę i przysięgam — tu głos Stanleya zabrzmiał powagą, — że nie opuszczę cię aż do śmierci!

— Że nie opuszczę cię aż do śmierci ! — powtórzyła jak echo Gladys.

Wracali do domu jak od ślubu. I — o dziwo! — Hannibal nie był bynajmniej zgorszony ich późnym powrotem, bo od dawna już spał „snem sprawiedliwego”.

Pozostawiwszy młodych w jadalni Murphy szedł do siebie w fatalnym samopoczuciu. Pierwszy raz w życiu zdarzyło mu się w jego stosunkach z ludźmi, że przegrał na wszystkich frontach.

Żuł w sobie gorycz klęski.

Umysłem nawykłym do ścisłej analizy rozpamiętywał kolejno porażki, których doznał. Jednego tylko nie mógł zrozumieć. Jakie fatum powodowało jego wolą, że popełnił tyle błędów taktycznych, że sam niejako pozwalał wciągać się w naiwne zasadzki manewrów Stanleya, że pozostawiał mu stale inicjatywę ataku i robił to, czego chciał przeciwnik.

Prawda! Zaskoczyło go nagle opozycyjne stanowisko Gladys, gdy wypowiedziała się po stronie racji Stanleya. Gladys, która stale dotąd ulegała jego woli, nie śmiać się jej przeciwstawić. Nie spodzianka ta wytrąciła go z równowagi i wpędziła w ślepy zaułek gołosłownych twierdzeń, a raczej przeczeń wszystkiemu, co mówił Stanley.

A przecież ten smarkacz pod wieloma względami miał rację. Lecz raz zacząwszy mu przeczyć, nie było powrotu. Broniąc pozycji nie do obronienia tracił, czuł to, że dalej tracił swój dotychczasowy autorytet w oczach Gladys. To go denerwowało coraz bardziej, aż doprowadziło do popełnienia najfatalniejszego błędu...

Zdradził się z najskrytszą swą tajemnicą: z uczuciem miłości do Gladys. Zdradził się właśnie przed Stanleyem, bo Gladys w swej prostolinijności nie robiła wrażenia zorientowanej, co jest

jedynym bodaj jaśniejszym momentem w całej tej ponurej sprawie.

Lepiej by już było przejeździć się z tajemnicę, wynalazku, niż obnażyć przed synem srom najwstydlivszego uczucia.

Przecież dlatego nie wykorzystał lat nieobecności Stanleya, że wstydził się ujawnić swą miłość nawet przed Gladys. Myślał, że może jakoś w naturalny sposób, samorzutnie nawiązą się między nimi serdeczne nici. Bał się obudzić w zbyt nagły sposób swe uległe medium. Liczył na szczęśliwy przypadek. Zresztą w surowości swego pracowitego życia nie stykał się z tajnikami strategii miłosnej. Od czasu śmierci Wandy trwał w celibacie, a nawet małżeństwo ich powstało na podłożu właściwie przyjaźni i wspólnej pracy.

Prawdziwa miłość, miłość do Gladys, wykwitła w nim jak jesienny kwiat, pierwsza i ostatnia — spóźniona. I jakże zagaśniała się przez współzawodnictwo z synem ta miłość do wychowawcy, jakby córki. Prawnie — bez zarzutu. Moralnie — omal, że kazirodcza. Od dnia dzisiejszego — beznadziejnie skomplikowana.

Zaskoczony nagłym przyjazdem syna, gdy liczył na jego pozostanie w Polsce, powziął szybko dobrą zdawałoby się myśl wciągnięcia Gladys w orbitę sprawy A. R.-7 dla tym mocniejszego trzymania jej przy swym boku w możliwej izolacji od Stanleya. Zwierając jej tajemnicę wynalazku przypuszczał, że jego epokowość i wspaniałość horyzontów olśni Gladys, otoczy nimbem uroku wynalazcę, a tym samym osłabi efekt powrotu Stanleya. Nie znalazłszy jednak normalnie kobiecego snobizmu w Gladys, usiłował związać ją ze sobą powagą „posłannictwa”, w którego możliwość zresztą nie nazbyt wierzył, acz zabezpieczył wynalazek na wszelki wypadek i na skutek porozumienia się z grupą ideowych przyjaciół — uczonych.

Wzięcie na siebie „posłannictwa” przez Gladys uważał za dostatecznie na razie zneutralizowanie wpływu Stanleya i liczył, że ów przy słowiańskim rozwichrzeniu zrazi się wrychle nadmiernym czekaniem i znów wyjedzie do swej Polski, tym razem na zawsze. Lecz pierwsza rozmowa z synem wykazała całą nikłość powyższego zamysłu. Uparta miłość Stanleya zaszachowała go. I teraz gorzko czuł, w jak dwuznacznej sytuacji znalazł się ujawniając przed synem uczucie własne i demaskując się jako rywal.

Wszedłszy do gabinetu prac teoretycznych zastał na biurku wieczorną pocztę przesortowaną już uprzednio przez Fletchera. Wśród listów znajdowała się depesza od jednego z wyżej wymie-

nionych ideowych przyjaciół, profesora C. Lurie - Malliot, pracującego w zakładach atomowych w Pasco. Przyjaciel powiadamiał Murphy'ego, że jadąc z Pasco do Los Angeles zatrzyma się jutro w Stockton w hotelu „Diaz”, by porozumieć się w sprawie bardzo ważnej. Osobiście być w San Francisco nie może.

Zastanawiając się nad depeszą; Murphy zrazu przypuszczał, że chodzi o A. R.-7, lecz po chwili spostrzegł się, że Lurie - Malliot umieściłby wówczas w depeszy umówiony szyfr „tor” oznaczający, że chodzi o wynalazek. W takim razie coś mogłoby być tak ważną sprawą, żeby przyjaciel odrywał go na pół dnia od pracy? Przemknęła myśl, czy depesza nie jest mistyfikacyjnym trikiem któregoś z dziennikarzy. „Trzeba sprawdzić” — mruknął i udał się do „kabiny pilota” do własnej radiotelegraficznej stacji nadawczej.

— Cóż za dureń ze mnie, — spostrzegł się już w windzie, — co się dziś ze mną dzieje? Jakże sprawdzę, skoro Malliot już jest w drodze!

Niemniej przeto nie zawrócił z drogi. Coś go ciągnęło do swej „kabiny”. Czuł podświadomie, że tylko tam uspokoi się wewnętrznie i zaliże swe rany jak pokiereszowany wilk, któremu się udało ująć do swej nory przed obławy.

U progu wyłączył tok elektryczny, którym co wieczór z urzędu Hannibal zabezpieczał stalowe drzwi „kabiny” przed wtargnięciem do niej nieproszonego świadka. Wielki pokój tonął w mroku. Murphy stanął przed szklaną ścianą i długo patrzył na majestatyczny obraz widniejący za nią. Droga mleczna wspaniałym srebrnym lukiem wyżyła się nad oceanem, miastem i zatoką. Własną galaktyką światła ulicznych, okiennych i portowych iskrzyło się w dole San Francisco.

— Człowiek dorasta do tego, iż sam tworzy własną przyrodę i przerabia świat zewnętrzny, — myślał Murphy, — kiedyż wreszcie dorośnie do zrozumienia, że powinien przerabiać i samego siebie.

Nazajutrz wyjeżdżając rano autem do Stockton w ostatniej chwili Murphy włożył do papierošnicy jeszcze jedno cygaro znacznie ciemniejsze od pozostałych i umieścił w wewnętrznej kieszeni palta metalowe płaskie pudełeczko z gumową rurką, której wylot kończył się żetonem, przymocowanym do dziurki w klapie palta.

Tegoż wieczoru w zielonym gabinecie klubu „Miłośników wędki” miała miejsce walna narada, w której prócz Duala, Maxa i Hoszimury, uczestniczył i Hindus Wiszatr, wysoki chudy madrasczyk o wielkich płomiennych oczach, sępiim nosie i prawie sinych, zaciętych ustach.

— Ponieważ spodziewam się, że jutro będziemy konferowali z profesorem Murphy, — zagaił zebranie Dual — więc pozwoliłem sobie zaprosić panów dziś na naradę, byśmy wspólnymi siłami zastanowili się i ustalili najbardziej celowa metodę, jak uzyskać od Murphy’ego interesujące nas dane co do A. R. 7. Nie wiem czy wyraziłem się dość jasno i czy panowie rozumieją, co chciałem powiedzieć? Zwłaszcza pan, profesorze Wiszatr, gdyż nie uczestniczył pan na naszych ostatnich konferencjach.

— Wprawdzie jestem w ogólnych zarysach zorientowany, dzięki informacjom udzielonym mi przez kolegę Hoszimurę, lecz nim pozwolę sobie zabrać głos w materii przez pana poruszonej, chciałbym zapytać uprzednio, czy panowie mają pewność, że konferencja z mister Murphy’em odbędzie się jutro?

— O, tak, — zapewnił Dual, — poczyniliśmy wszystkie odpowiednie kroki, by konferencja ta mogła jutro mieć miejsce.

— Ewentualnie pojutrze, — dorzucił Max.

— Mylisz się, — kategorycznie zaprzeczył Dual, — jutro, albo... nie wiadomo kiedy.

— A czy mógłbym jeszcze spytać, na czym pan opiera fakultatywność swego twierdzenia?

— Kolego Wiszatr, — wtrącił się Hoszimura. — wszak pozwoliłem sobie przedstawić wam techniczną stronę doprowadzenia konferencji do skutku.

— Tak. Lecz mój hinduski sposób myślenia jest powodem, że podtrzymuje zapytanie.

„Kot chodzący własnymi drogami”, pomyślał Dual, a głośno rzekł:

— Fakultatywność wyniku naszego planu opieram na psychologii. Albo Murphy uwierzy w autentyczność depeszy i wyjedzie do Stockton, wtedy będziemy z nim rozmawiać jutro, lub nie uwierzy i wtedy trzeba wymyślić coś innego.

— A jeżeli wyjedzie koleją? — znów wtrącił się Max.

— Żeby uzależnić swój powrót ze Stockton od rozkładu jazdy i ewentualnie zmarnować bez sensu kilka godzin? Zanim coś powiesz, przemyśl przed tym.

— Czy wyklucza pan możliwość, że Big Ben uwierzy w autentyczność depeszy, a jednak nie wyjedzie? — spytał Duala Wiszatra.

— Wykluczam. Fletcher podał mi nazwisko takiej osoby...

— Fletcher? Winszuję. Nazwisko brzmi?..

— Lurie - Malliot.

— Wyjedzie.

— Cieszy mnie pańska kontrasygnata.

— Gdzie się ma odbyć rozmowa?

— W okolicach Moraga. W willi człowieka, za którego ręczę. Zawieziemy pana. Możemy już przystąpić do meritum, czy jeszcze ktoś życzy sobie... Nie? Doskonale. Zanim jednak poproszę panów o wypowiedzenie się metodologicznie, pozwolę sobie jeszcze jako niefachowiec spytać panów jako świątłych mężów nauki, czy ewentualnie na zasadzie słownych danych uzyskanych od Murphy'ego panowie będą mogli uświadomić sobie w pełni tajemnicę wynalazku A. R.-7?

— Trudno jest odpowiedzieć na to pozytywnie, — orzekł po namyśle Max.

— Nie zaskoczyłeś mnie swą odpowiedzią, — z ironią odparł Dual, — na szczęście wierzę w bardziej optymistyczne wypowiedzi majora Hoszimury i profesora Wiszatra. Nieprawdaż panowie?

— Cieszę się, że mogę podzielić pański optymizm, lecz dokładniej sprecyzuje mój pogląd po autorytatywnym orzeczeniu kolegi profesora Wiszatra, który posiada tę wyższość nade mną, iż pierwszy zorientował się w powadze wynalazku A. R. 7, czego dał dowód sygnalizując go opinii, — rzekł Hoszimura.

— Czekamy wobec tego na pańskie orzeczenie, — zwrócił się Dual do Wiszatra.

— Ja myślę, — rzekł z namysłem Hindus, — że reprezentując trzy różne specjalności z zakresu fizyko - chemii, będziemy w stanie uporać się z trudnościami zadania. Lecz jak wydobyć te dane od Murphy'ego?

— Zbliżamy się w ten sposób do technicznej strony problemu, która, jak sądzę, nie będzie przedstawiała nadmiernych komplikacji.

— Teraz się z tobą zgadzam, — przytaknął Max, — jeżeli Big - Ben dobrowolnie nie zechce nam udzielić wyczerpujących

wyjaśnień, zmuszeni będziemy rezygnując z dyplomacji zastosować środki, że tak powiem, wojenne...

— Pogardzam tym człowiekiem,—rzekł Hindus,—ze względu na jego brutalne postępowanie z ludźmi, ale jestem przeciwny, postawie profesora Maxa.

— *Dążąc* do osiągnięcia użytecznego celu, nie ma się prawa przebierać w środkach, — zapalczywie odparł Max.

— Ja też uważam, — poparł go Dual, — że narody nasze tyle haniebnych krzywd doznały od tak zwanych zwycięzców, a obecnie ciemiężycieli, że mogąc zdobyć środek, który by im odpłacił pięknym za nadobne, nie wolno nam cofać się przed niczym.

— Jeżeli panowie pozwolą zabrać mi teraz głos, — odezwał się Hozsimura, — to może skromny mój pogląd osiągnąć zaszczyt pogodzenia wyłaniających się z dyskusji przeciwieństw.

— Prosimy, prosimy! — zawołał Dual, — głęboko wierzę w pański kolosalny talent syntezy. Słuchamy.

— Uważam tedy, że nie sięgając do arsenału środków „wojennych” dałoby się w łatwy a bezbolesny sposób skłonić profesora Murphy’ego do jak najdokładniejszych wyjaśnień, ujawniających stuprocentowo tajemnicę A. R.-7.

— Słuchajcie, słuchajcie! — znów zawołał Dual.

— Tako chemik, — ciągnął coraz łagodniejszym tonem Hozsimura, — znam pewien preparat, którego zwykły zastrzyk pozbawia pacjenta, bądź to — badanego, najzupełniej poczucia woli i wpływa na stuprocentową prawdomówność i przyznanie się do najbardziej śmiertelnego grzechu...

— Wiem! Znam! — przerwał Max, — jest to nasz niemiecki wynalazek zastosowany swego czasu przez Hermana Goeringa w słynnym procesie o spalenie Reichstagu. Ze też mi to od razu nie przyszło do głowy!

— Właśnie, — kończył swoje Hozsimura, — proponowałbym tedy zastosowanie tego niewinnego preparatu w naszej sprawie. Wypadkowo posiadam parę ampulek .

Niemcy z aprobatą kiwali głowami. Wiszatron milczał.

— Chyba na taki... manewr może pan wyrazić swą aprobatę, — spytał go Dual.

— W skrajnej ostateczności, — niechętnie mruknął Wiszatron.

— Oczywiście! Oczywiście, — przytaknął Dual, — zatem

możemy uważać porządek dzienny naszej narady Za wyczerpany. Nasuwają się wprawdzie pewne dalsze ewentualności, ale o tym zdecydujemy po rozmowie z Big Benem, jutro między szóstą a szóstą trzydzieści pozbieram panów autem z mieszkań i ruszymy jak argonauci po złote runo — skarb Kolchidy!

— Ja się zjawię jutro sam o szóstej pod klubem, — rzekł odchodząc Wisztru.

— Pozwoli kolega, że wyjdziemy razem, — pogonił za nim Hozimura.

— Azja poszła, Europa może sprawę opić! — rzekł wesoło Max do Duala.

ZNIKNIĘCIE MURPHY'EGO

Gladys obudziwszy się z przerażeniem skonstatowała, że elektryczny zegar, wkomponowany na ścianie w płaskorzeźbę przedstawiającą antycznego Chronosa, wskazywał godzinę ósmą minut siedemnaście.

Zaspała, przemarzywszy prawie całą noc, rozkołysana nadmiarem wrażeń wczorajszego wieczoru.

Zaspała! A przecież profesor zapowiedział, że dziś wyjedzie z nią o ósmej rano na inspekcję. Skandal!

W pośpiechu narzucając szlafroczek dzwoniła gorączkowo na pokojówkę.

— Bój się Boga, Daisy! Czemuś mnie nie obudziła jak zwykle, o siódmej? — spytała z wyrzutem wbiegającą żywą jak skra kwarteronkę.

— Panienska nie zostawiła mi wczoraj wieczorem żadnych dyspozycji, więc myślałam... — tłumaczyła się Daisy rozsuwając sztory u okien, — zaglądałam tu już zresztą dwukrotnie, lecz panienska tak smacznie spała, że nie miałam sumienia jej budzić.

I skompromitowałam mnie wobec profesora. Czy kąpiel gotowa?

— Tak jest.

Gladys szybko wybiegła do sąsiadującego z sypialnią swego gabineciku pracy, gdzie na biurku stał wewnętrzny aparat telefoniczny z całą klawiaturą połączeń. Na próżno jednak dzwoniła na wszystkie strony. Wreszcie z pokoju Fletchera jakiś głos poinformował ją, że znalazł telefonogram powiadamiający general-

nego sekretarza, że profesor wyjeżdża dziś o szóstej autem do Stockton i spodziewa się powrócić około południa.

— Dzięki łasce niebios jestem ocalona! — pomyślała z ulgą i już w najlepszym humorze pospieszyła do łazienki.

W pół godziny później dzwoniła do Stanleya.

— Halo, Stany! Dzień dobry...

— Kto śmie w tak poufały sposób budzić mnie skoro świt?

— Zapomniałeś w Europie mego głosu przez telefon? To ja.—

Gladys.

— Kto śmie mistyfikować mnie na czczo, podszywając się pod uroczy głos miss Gladys O'Connor, która, jak mi poufnie wiadomo, żegluje w tej chwili po Pacyfiku jako przyboczny adiutant profesora Beniamina Murphy.

— Nic ci nie wiadomo, bo profesor Benjamin Murphy wyjechał solo o szóstej rano do Stockton zmieniawszy uświęcony tradycją porządek dnia.

— Świat do góry nogami! Wobec tego, hip—hip hurra! Za kwadrans jemy razem śniadanie. U mnie, czy u ciebie?

— Stany! Cóż by na to powiedział Hannibal?

— Cóż by mógł powiedzieć nieszczęsny kartagińczyk, skoro za pierwszym słowem zaniemówiłby pod wrażeniem mego knock-outu!

— Najdroższy, nie szalej! To nie Europa.

— Lecz i nie Afryka, by czarny śmiał nam narzucać swój biesiadny rytuał.

— Nie — nie. Jeść będziemy w jadalni.

— Kiedy mam ci powiedzieć coś tak bardzo ważnego a poufnego...

— Powiesz po śniadaniu. W bibliotece. W naszym kątku.

— Już się nie boisz?

— Od wczoraj wieczorem — nikogo i niczego! Więc za kwadrans.

Śniadanie odbyło się w atmosferze tak słonecznego wesela obojga młodych, że dostojny Hannibal nie pamiętając nigdy czegoś podobnego w przybytku uroczystego konsumowania witamin i tłuszczowych kalorii, nie wiedział, czy ma się jawnie gorszyć, czy udać, iż nie dostrzega naruszeń protokołu. W końcu jednak musiał wyjść z rezerwy, nazbyt już jawnie sprowokowany przez Stanleya.

— Hannibal!

— Tak jest, sir.

— Przyznaj się, czy nie naśladujesz skrycie przy twej po-

rannej konsumpcji imiennika swego Hannibala, który tak rządził Kartaginą jak ty naszym domem.

— A cóż jadał ów dżentelmen, o którym zresztą nic nie wiem, gdyż nie figuruje on nigdzie w tekście Biblii?

— Mimo to istniał i uskarżał się na artretyzm podobnie jak ty, nieprawdaż?

— O, tak — sir.

— Otóż z porady lekarzy punickich Hannibal codziennie zjadał na śniadanie serce jednego ze swych wrogów — Rzymian.

— Jaż bym miał?.. serce papisty?!.. O, sir!.. — i skry protestu załśniły w wywróconych oczach gorliwego kalwina Hannibala.

— Stany! Jak można!... — z wyrzutem szepnęła Gladys.

— Jak nie można, to nie można, — zgodził się Stanley i pospieszył zatuszować gafę popełnioną z nadmiaru fantazji, — przepraszam cię, stary! — zwrócił się do Hannibala, — i proszę, nie bierz zbytnio tego rzymskiego serca do serca.

— Tak jest, sir! — uspokoił się Hannibal.

A po śniadaniu, gdy się znaleźli w zaciszu bibliotecznego „kącika” Gladys spytała:

— I cóż tak ważnego miałeś mi powiedzieć?

— Przede wszystkim, że kocham cię nad... i nie patrz tak na mnie tą parą kasztanów, bo mnie poniesie.

„Kasztany” skryły się w cieniach rzęs, rozchyliły się natomiast płatki warg jak niewypowiedzianego piękna kwiat orchidei. I stał się cud. Kwiat westchnął.

— A potem co... miałeś mi jeszcze powiedzieć?... szepnął kwiat.

— Czekaj, bo... niech zbiorę zmysły do kupy... Aha! Że ów wczorajszy ślub pod gwiazdami musi czym prędzej znaleźć swą astrologiczną koniunkcję w księgach stanu cywilnego sławetnego miasta San Francisco.

„Kasztany” stanęły dęba!

— Stany! Przecież ja teraz jeszcze nie mogę!

— A cóż ma „posłannictwo” do małżeństwa?

— Właściwie... Lecz uważam, że powinnam powiadomić o tym profesora.

— Powiadomimy go oboje. Post factum.

— Nie, nie, — kręciła główką, — daj mi parę dni do namysłu.

— Parę dni? Toż to wieki!

— Nie postarzęją nas zbytnio. A ja muszę być zawsze w po-

rządka z samą sobą. Cóż robić, najdroższy. Taka już jestem. I taka już musisz mnie wziąć.

— W każdym razie, pozwolisz, że się zajmę przez ten czas przygotowawczymi formalnościami.

— Dobrze. A teraz pora mi iść do pracy. Spotkamy się przy obiedzie. Ty przez ten czas co będziesz robił?

— Mało to ja mam do myślenia o tobie?

— Oh, Stany! Niepoprawny Stany! Więc... myśl o mnie. So long!

— „Umówiłem się z nią na dziewiątą, Tak mi bez niej tęskno już... śpiewał Stanley piosenkę zasłyszaną w Warszawie ścigając zachwyconym wzrokiem odchodzącą Gładys.

— A teraz chyba się powieszę do obiadu, — dodał prozą idąc do swoich pokojów.

Maska lekkoducha opadła z twarzy Stanleya, gdy znalazłszy się u siebie począł rozmyślać nad wytworzoną sytuacją. Przez noc wczorajszą i dzisiejszy ranek w atmosferze upajania się miłością Gładys odpychał od siebie wszelkie myśli o ojcu, przesączające się natrętnie i uporczywie. Czuł jednak, że musi dopuścić tych intruzów przez próg świadomości, by się z nimi należycie rozprawić. Musi stanąć twarzą w twarz z tymi widmami, przeniknąć ich zamiary i siły, przemóc je i zwalczyć przede wszystkim w sobie. Gdy wychyły doń z oczów ojca wczoraj, ogarnęła go zgroza, jak w chwilach najsroźszych nawałnic bitewnych, gdy śmierć czyhała nań ze wszech stron. Lecz podobnie jak przewalały się w popłochach nieprzyjaciela straszliwości starc, tak i one widma zapadły się z odejściem ojca. A potem była gloria zwycięstwa, była miłość Gładys, która poniosła go na obłokach oczarowań, z zachwyty w zachwyty, w nieba płonące zachodami nad oceanicznym bezmiarem szczęścia.

I choć nad dałą horyzontów snuły się widmowe chmurne pasma, dostrzegł je tylko on — Stanley. Gładys ani ich widziała, ani wiedziała o nich.

A teraz chodzi o to, by nigdy nie dostrzegła, jaki upiorny myślowy korowód kłębi się wokół ojca i syna, jaka ponura walka o nią zacznie się pomiędzy nimi rozgrywać.

Ojciec wszystko robi planowo i celowo. Jeżeli mimowolnie zdradził się wczoraj, mógł to być tylko wyjątkowy przypadek. Na powtórzenie się podobnej przypadkowości liczyć już nie można.

Czym tedy wytłumaczyć jego wczorajsze opuszczenie placu boju?

A zwłaszcza — co znaczy dzisiejszy poranny nagły wyjazd z wyraźnym pominięciem Gladys?

W żaden przecie sposób nie można tego wytłumaczyć rezygnacją

Murphy, tytan, woli i — rezygnacja? Nonsens.

Jednak uczyniwszy powyższe dwa potknięcia, rzucił Gladys w jego Stanleyowskie ramiona. Czyż mógł nie brać pod uwagę podobnej ewentualności? Zagadka na zagadce.

Musi w tym tkwić jakiś celowy podstęp. Ale jaki?

Strategiczne rozważania przerwał telefon.

— Hallo, Stanley?

— Nie. To nie ja.

— A dlaczego ty nie jesteś ty?

— Bom się bez reszty zatracił w tobie.

— Najdroższy!... Wyobraź sobie, profesor do tej pory nie wrócił. Zapowiedział powrót na dwunastą, a już trzecia. Nie wiem, co o tym myśleć?

— Zaliczyć do kategorii cudów. Chociaż można ten cud wytłumaczyć w sposób naturalny: kicha nawaliła, albo mu zegarek stanął, albo go coś specjalnie zatrzymało. W każdym razie nie obwieszczaj jeszcze świata o tym historycznym fakcie.

— Jednak jest to pierwszy wypadek od szeregu lat, że...

— Wiele wypadków zdarza się po raz pierwszy od szeregu lat. Wczoraj na przykład po kolacji pewna sympatyczna para po raz pierwszy od szeregu lat...

— Będziesz ty cicho! Cóż to za plotkarz!...

— W każdej plotce tkwi trochę prawdy.

— To jeszcze nie powód, by trąbić o tym.

— Ja tylko po cichutku w słuchawkę.

— Przestań! Sprawiasz mi przykrość. Wszystko obracasz w żart.

— Daruj i nie gniewaj się. Już nie będę .

— Pamiętaj. Jednak niespokojna jestem.

— Moim zdaniem nie ma powodu do niepokoju. Z pewnością do wieczora wróci.

— Tylko nie sprzecaj się już z nim podczas kolacji.

— Rozkaz.

Ostatnie zdanie Gladys ubodło nieco Stanleya. Pewność swej przewagi, jaką czuł do tej pory poczęła się chwiać. Zazdrośnie

sumował oznaki przyjaznej życzliwości u Gladys w stosunku do profesora.

Jedyne doraźne zahamowanie tych niepożądanych dlań oznak począł widzieć w jak najszybszym zawarciu małżeństwa z Gladys. Pod naporem tej myśli chwycił wreszcie za kapelusz i wybiegł na miasto, by załatwić formalności ślubne.

Wróciwszy pod wieczór zastał w domu jawny już niepokój z powodu nieobecności Murphy'ego. Boy w windzie robił wrażenie, jakby się chciał o coś zapytać, czego Stanley ostentacyjnie nie chciał zauważyć. Pokojówka zameldowała mu, że w bibliotece czeka mister Fletcher.

— Na kogo? — spytał opryskliwie Stanley.

— Na pana.

— A czegoż on chce ode mnie?

— W sprawie profesora.

— Jakąż sprawę ma profesor i z kim?

— W sprawie dotychczasowej nieobecności profesora.

W bibliotece Stanley zastał Fletchera na cichej, lecz żywej dyskusji z Hannibalem. Na widok Stanleya Hannibal z niewiarogodnym pośpiechem wsiąkł w najbliższe drzwi, Fletcher natomiast stanął przed Stanleyem rozkładając ręce.

— Pan do mnie? Słucham, — przywitał go oziębnie Stanley.

— Godzina ósma dwanaście i nic! — oświadczył smętnie Fletcher spojrzawszy uprzednio na zegarek.

— A co miało się stać o godzinie ósmej dwanaście?

— Nie ma profesora, mimo iż zapowiadał swój powrót na dwunastą w południe.

— Zatem spóźnił się o osiem godzin i dwanaście minut.

— To nie może być opóźnienie.

— A co?

W tym momencie do biblioteki weszła Gladys.

— Wypadek.

— Wypadek? Jaki?! — zawołała Gladys.

— A pan skąd wie, że wypadek? — z zimną pasją spytał Fletchera Stanley, bo okrzyk Gladys wywołał w nim paroksyzm zazdrości.

— Nic innego być nie może! — kategorycznie odpowiedział Fletcher.

— Ani spóźnienie? Ani zmiana decyzji powrotu? Nic? Tylko wypadek?

— Od dziesięciu lat jestem generalnym sekretarzem...

— Trzeba coś postanowić! Trzeba dać znać... — denerwo-
wała się Gladys.

— Do policji?! — przerwał jej Stanley, — wywołać skanda-
liczną sensację na całe miasto, gdy ojciec może lada chwila wró-
cić! Gladys, opamiętaj się!

— Lecz jeżeli to wypadek? Stany, zrozum!

— Rozumiem, ale co my możemy na to poradzić? leżeli się
coś stało, przypuścmy, to już kilka godzin temu. Więc dano by
o tym już nam znać. Są telefony, telegraf. Tymczasem nikt nie
dał znikąd żadnej wiadomości.

— Może i racja, — po chwili rzekł Fletcher.

— To ładnie, że pan też zaczyna logicznie rozumować.
Chodźmy na kolację.

— Ja nie będę jadła. Dobranoc, Stany. Daruj, ale pójdę. Je-
stem bardzo zmęczona.

— I ja muszę do domu, bo siostra czeka.

— Do widzenia, Stany. Może jeszcze zadzwonię do ciebie.

— Zadzwon w nagrodę, że wieczrę spożyje samowtór
z Hannibalem.

Po kolacji wchłoniętej w napoleońskim tempie Stanley szybko
powrócił do siebie mruczając coś w rodzaju melodii. Jednak ogólny
niepokój domowników nie pozostał na nim bez wrażenia.

— Czyżbym się mylił? — pomyślał, — i staruszkowi rze-
czywiście przytrafił się jaki casus? Lecz wtedy dano by już nam
skądkolwiek znać... Nie przypuszczałem jednak, że Gladys jest
pod takim jego wpływem. Niepokoi się prawie tak, jakbym to
ja przepadł bez wieści. Znajdzie się zguba, znajdzie! — zamru-
czał zezując na aparat telefoniczny, — tylko... odezwij się
wreszcie!

Lecz aparat milczał jak wyłączony.

— No to nie! — odwrócił się odeń zirytowany i jął się
rozbierać.

Nagle z rozwiązaniem krawatem w ręce pospieszył do tele-
fonu i szybko nastawiał numer tłumacząc się sam przed sobą:

— Może i jej się co stało?.. Hallo! to ty Gladys?

— Ja, najdroższy. Czy są jakie wiadomości?

— Owszem... że cię kocham i bardzo przepraszam.

— Jakiś ty dobry. Dziękuję ci.

— Jak się czujesz?

— Jak przed burzą. Głowa mnie boli.

— Zaraz wezwę lekarza.

— Nie — nie! Nie trzeba, Wezmę coś na sen i położę się.
— Zapewniam cię, że się wszystko skończy jak najnormalniej.

— Oby. Dobranoc, Stany!

— Dobranoc kwiecie różany!

Znów westchnienie i ciche stuknięcie położonej słuchawki.

Tej nocy i Stanley spał źle.

O siódmej rano obudziło go pukanie.

— Jeżeli mężczyzna, niech wejdzie!

Na progu przed zdziwionymi oczyma Stanleya ukazał się sam Hannibal ze służącym boyem w odwodzie.

— Znów Hannibal antę portas! Zły omen. Mów!

— Niema pana profesora! Przychodzę po rozkazy, co robić?

— Wezwać Fletchera. Nie budzić miss Gladys.

— Panienska już wstała. Mister Fletcher czeka w bibliotece.

— Za pięć minut przyjdę. I ty też bądź. Boy! bielizna, ubranie, buty!

— Tak jest, sir.

W bibliotece prócz wartującego u drzwi Hannibala Stanley zastał Gladys, Fletchera i jeszcze jakiegoś opasłego dżentelmena z miną boksera.

— Nasz prywatny detektyw, człowiek pewny, — przedstawił go Fletcher Stanleyowi, — mister Darley.

— A cóż się stało z Tanny'm?

— Ustąpił przed trzema laty.

— Aha. Przepraszam panów. Tak się czujesz, Gladys? Może byś lepiej...

— Dobrze się czuję i chcę być przy naradzie.

— Rozkaz, kochana. Siadajmy i zastanówmy się, co robić?

— Powinniśmy bezwzględnie dać znać policji, — zaczęła Gladys.

— Zaraz, skarbie. Zawiadamiając policję należy im dostarczyć jakichś danych. Ustalmy więc stan faktyczny. Ojciec wyjechał wczoraj o szóstej rano do Stockton. Tak, panie Fletcher?

— Taki przynajmniej telefonogram zastałem na biurku.

— Profesor Murphy wyjechał, jak sprawdziłem, czarnym Packardem. Numer wozu mam zanotowany. Szofer nazwiskiem Adams. Personalia jego też mam, — wtrącił od siebie detektyw.

— W porządku. Czy mógłby pan, mister Fletcher, poinformować nas w jakim celu, zdaniem pana, ojciec mój mógł pojechać do Stockton?

— Niestety, nic w tej mierze powiedzieć bym nie mógł, — odpowiedział po chwili namysłu Fletcher.

— Szkoda. A nie wie pan, czy nie mamy w Stockton jakiej firmy, z którą „Murphy’s Laboratory” ma stosunki?

— Nie wiem, lecz zbadam tę sprawę.

— A może ojciec ma tam jakiego znajomego, przyjaciela? Jak myślisz Gladys?

— Nie przypominam sobie, ale sprawdzę moje archiwum i korespondencję.

— Jednym słowem, wiemy tylko tyle, że wyjechał do Stockton Packardem, numer taki a taki... Niewiele. Nasuwa się teraz pytanie: dojechał do Stockton, czy nie dojechał? jeżeli dojechał, musiano go tam widzieć, jeżeli nie...

— Jedną i drugą możliwość może wyjaśnić tylko policyjne śledztwo, — zauważył detektyw.

— Słusznie.

— Trzeba więc już powiadomić policję, — wstając rzekła Gladys.

— Jeszcze chwilę. Usiądź, błagam. Nasuwa się jeszcze jedno niepozbowione swej wagi zagadnienie, które musimy zdecydować zaraz. Chodzi o to, czy nadać śledztwu charakter zwykły, jawny? Czy też uzgodnić z władzami, by tok śledztwa, przynajmniej na razie, był zakonspirowany zwłaszcza przed prasą. Co panowie o tym myślą?

— I jeden i drugi charakter śledztwa ma swoje strony dodatnie i ujemne, — odpowiedział Fletcher, — doprawdy trudno jest w tej chwili ocenić przewagę jednych nad drugimi.

— ja jednak skłaniałbym się raczej do niejawnego śledztwa. Bo pomyślcie tylko państwo, jakie piekło zacznie się w prasie na wiadomość, że zginął profesor Murphy, „Edison Nr. 2” i t. d. i t. d. A jeżeli się okaże, co najprawdopodobniejsze, że pozorne zaginięcie powstało na skutek powodów zupełnie normalnych, jakąż groteskowa sytuacja wywiąże się wówczas, jaki żer dla pism humorystycznych! Ośmieszymy się na całą Amerykę.

— Możeby tryb śledztwa pozostawić do uznania policji? — spytał detektyw.

— Naturalnie. Niech zrobią, jak zechcą, byleby szukali i znaleźli, — powiedziała Gladys i znów wstała, — Stany, błagam cię nie zwlekaj dłużej! A ośmieszenia ja się nie obawiam.

— Ha! Niech się dzieje wola nieba, — zgodził się Stanley wstając, — dzwoń pan po policję, panie generalny sekretarzu.

— Ja pozwolę sobie jednak zauważyć, że lepiej byłoby, gdybyśmy sami pojechali do prezydium policji i porozumieli się z jej zwierzchnią władzą. Co głowa, to nie ręce.

— Słuszne. Jedźmy, — zgodził się Stanley.

— Zaraz będę gotowa, — rzekła Gladys zmierzając do wyjścia.

— Nie, najdroższa. Ty zostaniesz w domu. Proszę cię o to.

— Przecież ja mogę się przydać.

— Przydasz się bez afiszowania. Będziesz badana w domu. Wierź mi, że wiem, co mówię. Bądź tak dobra i posłuchaj mnie.

Gladys bez słowa wyszła z biblioteki.

— A my w drogę, — rzekł Stanley do Fletchera i detektywa, — Hannibalu, powierzam ci opiekę nad panienką. Głową mi odpowiesz za nią!

PRAWO PIĘŚCI I DŻIJU - DŻITSU

Do Stockton jak najbliższy drogą! — rzucił szoferowi rozkaz Murphy.

— Tak jest sir. Przez Oakland, — odpowiedział służbowo szofer i wielki Packard ruszył miękko z Telegraph Hill, wzgórze wyżące się nad amfiteatralnie rozłożonym miastem.

Powietrze sanfranciskańskiego wybrzeża nasycił dziwnie życiodajny fluid, który sprawia, że wstawszy rankiem czuje się człowiek wyjątkowo rzeźko. Wpadając przez opuszczone szyby limuzyny fluid ten zwiewał z pamięci Murphy'ego ponure opary wczorajszych przeżyć i przenikał na wskroś jego jestestwo skoncentrowanym ekstraktem siły i ochoczej prężności do życia i czynu.

Wpadli na wiszący most do Oakland. Zdawało się, że suną w powietrzu, w pajęczynie przeseł, wprost we wschodzące słońce. Hen w dole po zatoce sunęły statki, okręty i promy z tej wysokości wyglądając jak zabawki dziecinne.

Przesunęli się tunelami ulic przez Oakland i znowu na autostradzie oblał ich zalew słoneczny. Maszyna jak kolebka kołysała się na wiaduktach mijając archipelagi will tonące w bukietach drzew.

Za nimi jak cień sunęło drugie auto.

Za miejscowością Canyon równina rozfalowała się coraz wyższymi wzgórkami zbiegającymi coraz bliżej ku drodze.

Krajobraz pustynniał i dziczał, jał się piętrzyć parowami nagich skał i wić ostrymi zakrętami. Z prawa wyżyło się Monte Diablo.

Nagle zza wirażu, zza nawisłego zbocza wyłoniła się bariera przegradzająca w poprzek drogę i grupa robotników sygnałami i machaniem rak wstrzymująca auto.

Packard gwizdząc wszystkimi hamulcami wpadł w środek robotników i stanął przed samą barierą.

W tejże chwili z obu stron auta błysnęły lufy rewolwerowe skierowane na szofera i Murphy'ego.

Nim zaskoczony profesor zdążył cośkolwiek przedsięwziąć, już był uchwycony pod ręce i wysadzony z auta. Szoferowi również kazano wysiąść. Jednocześnie prawie nadjechało auto dążące za Packardem.

Wyskoczył zeń jakiś barczysty typ, który zdawał się kierować całym napadem. Typ dzierżąc rewolwer w garści podszedł do profesora i rzucił napastnikom krótki rozkaz:

— Zrewidować!

Murphy w pasji spróbował wyrwać swe ręce, lecz skręcono mu je natychmiast z katowską wprawą, podczas, gdy dwaj inni z niemniejszą wprawą przeprowadzali rewizję.

— Proszę nie denerwować się bez potrzeby, panie profesorze, — zauważył typ prawie że uprzejmie — i nie zmuszać nas, byśmy byli nieprzyjemni.

Podczas rewizji zabrano Murphy'emu wszystkie drobne przedmioty, jakie miał przy sobie, pozostawiając jedynie chustkę do nosa. Na widok metalowego pudełka z rurką przeprowadzoną do żetonu w klapie typ gwizdnął i spytał:

— Co to ma być?

Murphy milczał z pogardliwie odwróconą głową.

Schowawszy wszystkie drobiazgi profesorskie do kieszeni swego palta, herszt oznajmił Murphy'emu, wskazując auto stojące z tyłu:

— A teraz proszę do nas. I nie radzę próbować oporu, bo zaniemiemy.

Ucisk kleszców na rękach zelżał. Prowadzono jednak profesora prawie że niosąc go pod ramiona. Z auta wysunęły się nowe ręce wciągając go do wewnątrz na tylne siedzenie pomiędzy dwóch tkwiących już tam opiekunów. Typ wcisnął się za nim i usiadł na wprost zasunawszy uprzednio zasłonki zarówno na szyby boczne jak i przednie oddzielające wnętrze od szofera. Po czym uchylił drzwiczek i krzyknął:

— W drogę!

Zza skały wyjechało ciężarowe auto zabierając bariery i część „robotników”. Inni z szoferem zajęli miejsca w Pac-

kardzie, który zawrócił z powrotem do Oakland wraz z ciężarowym autem. Maszyna z profesorem ruszyła w kierunku Stockton.

Siedząc wciśnięty między eskortujących go drabów i nie mogąc z powodu zasłoniętych szyb zorientować się, dokąd go wiozą, Murphy nie wątpił, że porwano go w związku z A. R. 7. Brał przecież pod uwagę możliwość takiego wypadku, lecz brał raczej teoretycznie. Nie było to niemożliwe, lecz wielce nieprawdopodobne. A jednak...

— Prawo serii, — pomyślał z goryczą, lecz gorycz ta miała inny posmak niż wczorajsza. Było i podobieństwo, że znów dał się wziąć na naiwny w gruncie rzeczy i szablonowy, tym razem kidnapperski, manewr. Dał się wziąć tym głupiej, że asekurował się w razie napadu swym zabranym w ostatniej chwili pudełkiem. Lecz dlaczego wykluczył możliwość, że mogą mu je od razu odebrać?... Zaiste zagadkowe są motywy i zawile są drogi nawet własnego rozumowania. Jedno za to w tej chwili jest jasne i proste a nawet osładzające gorycz sytuacji. Poczucie, że pada ofiarą dzikiej i podlej przemocy, z którą ma prawo i obowiązek walczyć wszystkimi siłami i sposobami. Konflikt ze Stanleyem miał w sobie coś paraliżującego walkę. Zderzenie się z dzisiejszą zgrają podnieca do walki. Zwycięstwo w niej da satysfakcję, a nawet klęska — dumne poczucie nieugiętości.

Auto zwolniło biegu, skręciło, zakołowało i stanęło. Typ otworzył drzwiczki. Wsiadłszy Murphy znalazł się wewnątrz sporej z wierzchu oszklonej hali. Przywódca zniknął za jakimiś drzwiami. Eskorta stanęła po obu bokach profesora. Po upływie kilku minut typ wrócił i mruknął:

— Idziemy, — i ruszył pierwszy.

Przeszli do długiego korytarza, na końcu którego przewodnik uchyliwszy drzwi rzekł do Murphy'ego:

— Proszę wejść.

Murphy wszedł do dużego holu, w środku którego stał okrągły stół. Za stołem siedzieli Max, Hoszamura i Wiszatr. Obok stołu stał Dual. Murphy podszedł do stołu i spytał:

— Co ma oznaczać ta groteska?

— Profesorze Beniaminie Murphy, — odparł z powagą Dual, — stoi pan przed kolegium przedstawicieli trzech wielkich narodów pogiębionych i uciemienionych.

Murphy omiółł swym ciężkim wzrokiem Maxa, Hoszaturę i Wiszatra a zatrzymując go na Dualu rzekł:

— Nie bardzo rozumiem, co ma wspólnego trzech moich

laborantów z jakimś „kolegium wielkich narodów”, a już zupełnie nie pojmuje związku między „kolegium”, a bandą gangsterów, która napadła mnie na publicznej drodze i dostawiła tu gwałtem.

— Ludzie, którzy przywieźli pana są naszymi organami wykonawczymi.

— Zrozumiałem. „Kolegium” jest zwierzchnią władzą bandytów.

— Panie profesorze, nie bawmy się w szermierki słowne, tym bardziej, że pan operuje archaicznymi pojęciami, które dziś zupełnie utraciły swą rację bytu, my zaś jesteśmy ludzie na wskroś nowocześni, to jest, dążący do zrealizowania swych zamiarów środkami celowymi. Naszym zamiarem było porozumienie się z panem. Dzięki zastosowaniu celowych środków widzimy pana w swoim gronie i możemy przystąpić do konferencji. Proszę, niech pan siada.

— Żądam, by mnie stąd natychmiast wypuszczono!

— Pańskiemu życzeniu stanie się zadość, skoro tylko dojdziemy do porozumienia.

— Nie ma mowy o jakimkolwiek porozumieniu! — odparł szorstko profesor i skierował się ku drzwiom, lecz zanim do nich doszedł, rozległ się rozkaz Duala:

— Kurt!

Na progu wyrósł typ dowodzący napadem.

— Poproś pana profesora, by usiadł z nami przy stole. Jeżeli nie wysłucha twej prośby, wezwij ludzi, by posadzili pana profesora.

— Rozkaz, — odpowiedział służbowo Kurt i zwrócił się do Murphy’ego wskazując ręką na fotel, — proszę pana profesora, by zechciał usiąść. W przeciwnym razie...

— Dość! — przerwał mu Dual.

Profesor stał przez chwilę z pochyloną głową i zmarszczonymi brwiami. Wreszcie, jakby powziąwszy postanowienie, zawrócił do stołu i usiadł.

— Możesz odejść, — rzucił Dual Kurtowi, po czym po zniknięciu typy sam też usiadł i z chłodną kurtuazją rzekł do Murphy’ego, — i ot widzi pan profesor, że jakoś pierwsze lody zostały przełamane.

— Winę za to ponosi moja empiryczna ciekawość. Chcę się przekonać, jak daleko sięga bezczelność pańska i pańskich towarzyszków. Słucham.

— Dziękuję za wyjaśnienie i umotywowanie pańskiego

obecnego stanowiska, — odparł Dual, — lecz nim przejdziemy do meritum konferencji, pozwolę sobie zwrócić uwagę pana profesora, że gdy z naszej strony dotąd nie padło ani jedno słowo uwłaczające panu pod jakimkolwiek względem, pan ze swojej strony nadużywa tego repertuaru pod naszym adresem.

— I nadal będę nazywał rzeczy po imieniu!

— Zgoda. Zatem ustalamy następującą metodykę konferencji: pan profesor będzie mówił według swego uznania, my zaś będziemy postępowali zgodnie z naszymi poglądami i celem.

— Uważam, że nic innego, jak dotąd, pan nie robi.

— Każdy ma własny punkt widzenia.

— Tylko nie każdy z niego coś widzi.

— Właśnie. Zatem przechodzimy do porządku dziennego naszej konferencji. Kto z panów zechce zabrać głos pierwszy?

Laboranci porozumiewali się przez chwilę spojrzaniem, po czym Wiszatr i Max głowami wskazali Dualowi na Hoszimurę.

— Panie majorze Hoszimura, — uroczyście oznajmił Dual, — Kolegium udziela panu głosu, jako przedstawicielowi wielkiego narodu japońskiego.

— Odkąd to pan jest majorem, panie Hoszimura? — spytał Murphy.

— W tej chwili głos ma major Hoszimura, panie profesore, — z naciskiem podkreślił Dual.

— Dziękuję panom za wysoki zaszczyt udzielenia mi pierwszemu głosu, lecz zanim zabiorę go merytorycznie, pośpieszę uprzednio odpowiedzieć na zapytanie pana profesora Murphy, — miodopłynnie zaczął Hoszimura. — Pomimo mych lichych zasług miałem honor i szczęście być istotnie mianowany majorem przy generalnym sztabie jego Cesarskiej Mości...

— W Meksyku?

— W Hokodacie.

— Aha.

— Przechodząc do porządku dziennego teraz ja z kolei mam honor zwrócić się do pana profesora z prośbą o odpowiedź, czy rzeczywiście, jak to przed paru dniami pan, profesor oznajmił delegacji waszyngtońskiej, „A. R. 7 jeszcze nie istnieje?”

— Uchylam pytanie, — tonem sędziego sucho odparł Murphy.

— Szkoda. Pozytywna odpowiedź ułatwiłaby mi znalezienie wspólny punkt wyjścia. Niemniej przeto opierając się na własnym głębokim przeświadczeniu, że AR 7 już istnieje, pozwalam sobie zaznaczyć, że do ostatecznego ukształtowania się wynalaz-

ku, poza geniuszem pańskim, panie profesorze, przyczyniły się i kilkuletnie ciężkie prace i badania pańskich laborantów, a więc kolegi Wiszatron, kolegi Maxa, wreszcie i moje mizerne osiągnięcia. Nie podchodzimy więc do tej sprawy jako natrętne intruzy chcące wykorzystać pański plon, lecz jako współpracownicy w mozole, a więc posiadający własne prawo i do jego rezultatów.

— Więc o to panom chodzi! O udział w zyskach z eksploatacji wynalazku? Konsorcjum handlowe pod firmą „Kolegium narodów uciemiężonych?”

— Niezupełnie. Nam chodzi o coś więcej. Sądząc z konspiracji, jaką pan otacza wyjątkowo ten wynalazek, my chcemy działać właśnie w imieniu narodów pogwałconych i uciemiężonych i sądzę, że mamy prawo nie dopuścić bez nas do utworzenia z AR 7 nowej broni, na pewno stokroć potężniejszej od bomby atomowej, która przygotowana w tajemnicy zgniotła i sponiewierała moją wielką ojczyznę!

— Dlatego żądamy od pana ujawnienia nam istoty A. R. 7, — wyrwał się Max.

— By skończyć nareszcie z przemocą państw wtajemniczonych i w niegodziwy sposób wyzyskujących swą przewagę, — dodał Wiszatron.

— Teraz pojął pan dlaczego musiała dojść do skutku nasza konferencja? — zakończył Dual.

— Owszem, — odparł Murphy, — nie pojmuję tylko "głębokiego przeświadczenia" panów, że A. R. 7 jest wynalazkiem bojowym.

— A jakim? — spytał Dual.

— Nawskroś pokojowym, — ważko rzekł Murphy.

Po krótkiej chwili konsternacji odezwał się Hoszamura.

— Lecz atom-robot, jak wskazuje nazwa, jest oparty na zużycowaniu energii?

— Zapytanie dobre dla laika.

— Zatem wszystko w porządku. Można go będzie przystosować do celów wojennych.

— I dlatego nigdy wam nie ujawnię jego tajemnicy! — odparł Murphy uderzając pięścią w stół.

Ostra odprawa Murphy'ego poparta uderzeniem pięści w stół osiągnęła swój efekt. „Kolegium przedstawicieli narodów uciemiężonych" zostało wytrącone z dotychczasowej równowagi. W oczach Duala zamigotały złowrogie błyski, Hoszamura sprężony jak do skoku stracił swój miódowy uśmiech, Max porwał

się z fotela, tylko Wisztru szeroko rozłożył ręce, jakby pragnął powstrzymać reakcję „Kolegium”.

— Proszę zebranych o spokój, — przemówił Hindus, — gdyż teraz ja pragnąłbym zabrać głos.

— Udzielam go panu, — oznajmił Dual.

Max usiadł.

— Profesorze Beniaminie Murphy, — zaczął Wisztru, — ja będę mówił do pana również nazywając rzeczy po imieniu, lecz bez zamiaru prowokowania go, jaki zdawał się leżeć w pańskich intencjach. Podaję więc panu do wiadomości, że uznając pański rozum i zdolności, brzydzę się pańskim ustosunkowaniem do ludzi i jego brutalnością. Mówię to nie dlatego, że pan mnie wyrzucił ze swego przedsiębiorstwa, korzystając z luk w prawodawstwie socjalnym tego kraju, lecz że pan wyzyskuje i eksploatuje zdolności swych pracowników dla własnych czysto egoistycznych korzyści. Traktuje pan swych laborantów, ludzi może i mniej zdolnych od pana, lecz tegoż co i pan pokroju i aspiracji, jak robotów, nie dając im prócz uposażenia żadnej satysfakcji moralnej. Poniża pan w ten sposób naukę, co jest niegodne uczonego, i zagarnia rezultaty prac cudzych jako własną w opinii świata zasługę, co jest niegodne uczciwego człowieka. A teraz, mając jedyną bodaj w swym życiu szansę rehabilitacji, pan ją odrzuca z oburzeniem? Nie chce pan w ślepotcie swej zrozumieć, że i tak musi się pan podzielić owocami swego wynalazku z możliwymi tego świata.

— Z nikim się nie podzielę! — twardo odparł Murphy, — ani z nimi, ani z wami!

— Przyjmujemy do wiadomości pańskie oświadczenie, — odpowiedział Dual, — i zgadzamy się na pierwszą jego część. Trust Miliarderów i rządy alianckich zwycięzców będą wyłączone z dobrodziejstw wykorzystania A. R. 7. Korzystać z niego będą tylko narody uciemiężone.

— Dosyć tej arlekinady! — zawołał Murphy wstając.

— Tak jest. Dosyć, — odparł Dual, — zarządzam przerwę. Kurt!

Kurt wpadł do holu i sprężył się na progu.

— Zaopiekuj się panem profesorem podczas przerwy.

— Rozkaz.

Zamieć myśli kłębiła się w mózgu Murphy’ego, zanim w ciągu kilku sekund nie powziął ostatecznego postanowienia:

— O, moja prawdo „przepotworzona w zasadzkę!..”, z której nie ma wyjścia!..

I z tą. ostatnią myślą rzucił się na Kurta. Lecz w tej że chwili miazdzący cios knock-outu w szczękę obalił go na ziemię i pozbawił przytomności.

— Zawołać ludzi! — zakomenderował Dual, — wynieść go i wykonać instrukcję. Wszystko gotowe?

— Tak jest — raportował Kurt, — doktor, chloroform, zastrzyk.

Po wyniesieniu zemdłonego profesora Dual zwrócił się do Wisztru.

— Mam wrażenie, żeśmy lojalnie spełnili pańskie życzenie i nic już chyba nie ma pan nam ani sobie do wyrzucenia?

— Tak jest.

— Zajmijmy się więc korzystając z przerwy ostateczną redakcją spisu pytań.

„Kolegium” zasiadło do pracy.

— Budzi się. Uważać!

Słowa te dobiegły do świadomości Murphy'ego, jakby je sam główno pomyślał. Przymknął znów oczy, bo raziło go światło słoneczne, padające mu prosto na twarz.

— Nie trzeba już spać. Otworzyć oczy.

Ktoś wziął go za rękę niżej kiści, jakby badał puls. Posłusznie otworzył oczy. Nie trzeba już spać... Tylko, że głowa tak boli. I broda boli.

— Trzeba usiąść.

Usiadł, jął się rozglądać. Skąd on się wziął w tym pokoju? Zresztą, to obojętne. A ci ludzie wkoło niego? Oprócz tego w białym fartuchu, pozostali to przecież mu się niedawno śnili. Śnili się, a teraz tu stoją i patrzą na niego. Draby. Śnili mu się, że napadli na niego, zatrzymali samochód. Zupełnie jak w filmie. Ale w gruncie rzeczy to wszystko jest obojętne. Lepiej by spać. W głowie tak pusto, a równocześnie ciężko, jakby ją wypełniono ołowiem. Ołowiem czy uranem? Wszystko jedno. Chociaż nie. leżeliby głowę napełnić izotopem uranu 235, to głowa miałaby szanse zostać bombą atomową. Zabawne, ale w gruncie rzeczy obojętne.

— Może pan wstać?

— Czy mogę wstać? Nie wiem.

— Trzeba wstać.

— Jak trzeba, to mogę.

Murphy wstał, lecz zatoczył się. Podchwycony pod pachy

i posadzony z powrotem, jął tłumaczyć się człowiekowi w białym fartuchu:

— Widzi pan, że mogę, lecz mi się w głowie kręci. Czy pan pozwoli, że położę się i zasnę?

— Nie. Nie pozwolę.

— To dobrze. Będę się starał nie zasnąć.

Otworzyły się drzwi. Wszedł Dual. Draby rozstąpiły się. Dual odszedł na bok z człowiekiem w białym fartuchu. Jakie to wszystko nudne. Ale spać nie pozwalają. Dual podszedł.

— Jak się pan czuje panie profesorze? Dobrze, nieprawdaż?

— A dobrze.

— Chce się pana o coś zapytać.

— Niech pan pyta.

Dual dał znak drabom i temu w fartuchu. Wyszli.

— Co pan zrobił z depeszy, którą pan dostał od profesora Lurie - Malliot?

— Co zrobiłem z depeszą? Śniła mi się taka depesza wzywająca mnie do Stockton.

— I co pan z nią zrobił? Wrzucił do kosza?

— Zaraz powiem. Głowa mnie boli. Zaraz. Nie wrzuciłem. Zabrałem ze sobą do kabiny pilota. Leży tam pewnie na biurku. Oh... ta głowa.

Znów pokój pełen ludzi.

— Musimy jechać, — powiada Dual.

— Dokąd?

— A co to pana obchodzi?

— Racja. Co mnie to obchodzi?

Siedli do auta. Znów te zasłonięte szyby, co się śniły.

— Jak przyjedziemy, prześpi się pan. Nawet teraz może pan usnąć.

— Ach, jak to dobrze, — i usnął.

NA ROZDROŻACH POSZUKIWAŃ

W prezydium policji, dokąd udał się Stanley z Fletcherem i detektywem Darley'em, okazało się, iż wcale nie tak łatwo przeniknąć do sanktuarium wyższej władzy bezpieczeństwa. Interesanci, jak ich poinformowano w odnośnym sekretariacie, przybyli w nieodpowiedni dzień, gdy władza nie udzielała posłuchań osobom postronnym. Ponadto w danej chwili odbywała się właśnie odprawa inspektorów, której kres był trudny do przewidzenia.

Przybysze odbyli małą naradę, w jaki sposób pomimo komplikacji dałoby się zrealizować swe zamiary.

— Nie mogąc dotrzeć do samej głowy spróbujmy się skomunikować z jakąś kompetencją zastępującą ów organ — zaproponował podirytowany Stanley.

Okazało się, że organ zastępczy korzysta w tym czasie ze zdrowotnego urlopu.

— Może panowie poczekają przez chwilę, — zaproponował Flechter, — a ja, że mam tu pewne znajomości, spróbuję się przewidzieć, czy przypadkiem nieobecnego organu zastępczego nie zastępuje jaki zastępca?

Po upływie dobrego kwadransa, kiedy Darley już po raz trzeci powstrzymywał zniecierpliwionego Stanleya od niewłaściwego zachowywania się i głośnych krytycznych uwag w miejscu urzędowym, Fletcher wrócił zadowolony z wyniku swej wycieczki.

— Chodźmy, — rzekł, — przyjmie nas podinspektor Archbałd, bardzo roztropny i bystry urzędnik policyjny.

— A nie odeśle dalej do wszystkich diabłów? — spytał Stanley.

— Nie — nie. Bardzo się zainteresował sprawą i na pewno nada jej bieg; właściwy.

Archbald przyjął Stanleya jak starego przyjaciela.

— Hallo! mister Murphy - junior! Martwiliśmy się przez dwa lata, że nam pan zginie na wojnie w Europie, tymczasem zamiast pana pański ojciec ginie podczas pokoju w San-Francisco. Siadajcie dżentelmeni. Tu są cygara i słucham,—to rzekłszy zajął miejsce na kręconym fotelu z rękami założonymi na piersi, a nogami na biurko.

— Chodzi mi przede wszystkim, — zaczął Stanley, — o pańską radę. Czy śledztwu o poszukiwanie ojca nadać charakter poufny, czy...

— Ależ jak najpoufniejszy, tym bardziej, że i tak całe miasto będzie o tym wiedzieć.

— Dowcip niczego sobie, lecz ja...

— Żaden dowcip. Mówię zupełnie serio. Tajemnica się przecież nie uchowa z chwilą, gdy zaczniemy ludzi badać. Tylko, że pan będzie miał spokój przed prasą, zasłaniając się oficjalną poufnością śledztwa.

— Fletcher miał rację. Wcale nie głupi facet, — pomyślał Stanley.

— Kiedy ojciec pański wyjechał z domu?

— Wczoraj o szóstej rano autem.

— Dokąd?

— Do Stockton.

— Po co?

— Nie wiem. Ojciec nikomu nie zwykł się opowiadać.

— Pewnie. Kto piastuje w sobie tajemnicę A.R. 7, musi mieć trening.

— Zaznaczam, że wyjechał niespodziewanie, bo dzień przedtem przy kolacji mówił, że uda się nazajutrz na inspekcję razem z... miss Gładys O'Connor, o ósmej rano.

— Widocznie dostał po kolacji jakąś wiadomość powodującą wyjazd o szóstej do Stockton. Nie było jakiej nagłej depeszy? — zwrócił się do Fletchera.

— Nie umiałbym powiedzieć. Wieczorna osobista poczta szefa, którą przesłałem mu do gabinetu była dość obfita.

— Głupstwo. Sprawdźmy na poczcie. Z pokwitowań.

— Zaraz — zaraz. Zdaje się, że były jakieś depesze. Przepytam urzędnika przyjmującego pocztę.

— Tekst takiej depeszy mógłby być nitką. O ile była. Bo mógł być bezpośredni kablogram, albo list. Zobaczymy. Poszukamy. Zaraz wam przyślę nasze ogary.

— Tu jest numer i typ wozu i personalia szofera, — rzekł Darley kładąc notatkę na biurku.

— W porządku. Miejmy nadzieję, że wkrótce odnajdziemy naszego „Edisona Nr. 2”. Od Frisco do Stockton dwa kroki. Chyba, że pozełgował dalej. To wróci.

— Dałby przecież nam znać, — zauważył Stanley.

— Geniusz nie powoduje się zwykłą ludzką logiką, — odrzekł Archbald wstając na znak, że audiencja skończona, — bądźmy dobrej myśli. Był wprawdzie raz wypadek, że fizyk wynalazca H. S. Bourroughs zginął wraz ze swym kapitalnym wynalazkiem, aparatem wykrywającym obecność nafty na danym terenie. I było to właśnie między San-Francisco i Los Angeles ale 1-o w parę godzin potem wiedziała o tym cała Ameryka, a 2-o historia się nie powtarza. So long, džentelmeni!

Wróciwszy do domu Stanley zastał Gladys w stanie wielkiego zdenerwowania. Uspokajał ją, jak mógł, przytaczając wszystkie argumenty Archbalda. Niewiele pomogły. Wypadek zaś z Bourroughsem, który nieopatrznie przytoczył, zdenerwował ją jeszcze bardziej.

— No, widzisz. Widzisz sam. Masz najlepszy dowód.

— Historia się nie powtarza, — powtórzył za Archbaldem.

— Owszem! Właśnie, że się powtarza. Dam ci zaraz przykład. Ulegając namowom Daisy wzięłam proszek bromu i zdrzemnęłam się przez chwilę w fotelu. Wiesz, co mi się śniło? Że mnie porwano! Jacyś zamaskowani złoczyńcy. Wyszli z szafy mojej sypialni i zarzucili mi na głowę czarną zasłonę. Omal się nie udusiłam i obudziłam się z krzykiem! A ty mówisz, że historia się nie powtarza.

— Ależ to był sen.

— Wszystko jedno. Profesora porwali i mnie porwą!

— Po moim trupie!

— Jeszcze by tego brakowało! Najdroższy, nie mnóż już okropności. Gdzież ta policja, by się wreszcie zajęła śledztwem!

— Przyjdzie, będziesz jej miała wyżej głowy.

Rzeczywiście. W krótkim czasie dom zamienił się w urząd śledczy. W bibliotece zainstalowano kancelarię. Indagowano po kolei całą służbę, spisując przede wszystkim jak najobszerniej personalia (imię ojca, imię matki, nazwisko panieńskie matki,

wiek świadka, wykształcenie, zajęcie, stan cywilny itd. itd). Stos aktów rósł.

Druga indagacja, o stokroć większym nasileniu, kotłowała się w gabinecie Fletchera. Musiał wytrzymywać skoncentrowany atak reporterów wszystkich pism. Poszczególni dziennikarze korzystając z bezhołwia zapuszczali zagony po wszystkich pomieszczeniach „Murphy’s Laboratory”, robiąc wywiady z urzędnikami, laborantami, służbą techniczną, szoferami i boyami od wind. Wieczorem wszystkie pisma były przepełnione najdokładniejszymi opisami stosunków rodzinnych osób, które uległy interwiewom, ich ubrań, upodobań, nawyczek, ulubionych sportów i przekonań politycznych. Fotografowano, filmowano, informowano przez radia.

Podstawową treścią wszystkich publikacji była wiadomość, że zginął profesor Benjamin Murphy i że nic nie wiadomo.

Nie wszyscy z czytelników pism i słuchaczy radia zadowolili się publikacjami o porwaniu profesora podanymi do ogólnej wiadomości. Były sfery, którym diablo zależało na informacjach jak najbardziej źródłowych. I dlatego to sekretarz generalny „Murphy’s Laboratory” pechowy John Fletcher wytrzymawszy nękający nalot reporterów odebrał bezpośrednio po nim terminowy telegram, który mu zjeżył resztki włosów na głowie.

Mister Dave Morof przedstawiciel Trustu Miliarderów wzywał do siebie Fletchera natychmiast do wiadomej willi uroczko położonej w okolicy Berkeley.

— Teraz dopiero zacznie się runda rozgrywkowa, — pomyślał z pasją rozpaczy wuj Boba i zasyczał doń, — dzwoń po moje auto!

Przerwawszy manicure Bob spełnił polecenie, po czym wracając do swych zabiegów zauważył z wyrzutem:

— Znowu randka. Nie szanujesz swego wieku i godności. Ledwie szefa nie stało, już camping w godzinach biurowych, gdy ja tu nie szczędząc sił, omal o głodzie...

— Przywiozę ci z campingu nieco siana na wzmocnienie, ośle jeden! — zrewanżował się siostrzeńcowi Fletcher wychodząc.

W willi Morofa przyjazd gościa bynajmniej nie doznał entuzjastycznego przyjęcia.

— 50.000 dolarów pan pobrał? — zahuczał Dave.

— Owszem. Dziękuję.

— W zamian za to dowiaduję się o wczorajszym zniknięciu Murphy’ego z dzisiejszych gazet?

— A co zmieniłoby się w sytuacji gdybym pana powiadomił wczoraj?

— Wziął pan na siebie zobowiązanie...

— ...dowiedzieć się, jakie pierwiastki wchodzi w skład A. R. 7. Zniknięcie profesora nie daje żadnych w tej mierze wskazówek.

— Owszem. Da je tym, którzy go porwali!

— A dlaczegoż panowie tego nie zrobili? Przyznam się, że nawet tak myślałem.

— My nie operujemy metodami bandytów!

— Stać panów na to.

Cyniczny dwuznacznik Fletchera zatkał Dava. Ale i zaimponował. Toteż zmienił kierunek rozmowy.

— Pisma podają, że Murphy wyjechał do Stockton na skutek jakiejś depezy. Czytał ją pan?

— Segregacja korespondencji należy do moich obowiązków.

— Od kogo była depeza?

— Od profesora Lurie - Malliot. Mam wrażenie, że sfingowana.

— Na czym opiera pan takie przypuszczenie?

— Gdyby była autentyczna, Big Ben już by wrócił.

— Mówił pan o tym policji?

— Że otwieram depeze szefa zaadresowane: do rąk własnych? Najlepszy to dowód mojej lojalności w stosunku do panów.

— Wciąż pan nas podejrzewa? Nie miałbym powodu do romansowania z panem teraz.

— Słusznie. Wobec czego powinniście się panowie zastanowić nad wyzyskaniem powstałej sytuacji.

— Ba. Ale jak?

— Chociażby przez... zaopiekowanie się osobą miss Gladys, która z pewnością sporo mogłaby powiedzieć o A. R. 7.

— Bez pańskiej pomocy trudno by było.

— Moja pomoc to rada i informacja. Absolutnie nic więcej.

— Po co się ograniczać, skoro się nie wie, za — ile?

— Kryminał nie wytrzyma dla mnie żadnej finansowej kalkulacji. Sprawa przesądzona.

— Niech i tak będzie. Gdy się zdecydujemy, dam panu znać, — Morof wstał na znak, że wymiana zdań i poglądów ukończona.

— Jeżeli cało wybrnę z tej afery, resztę życia poświęcę pra-

cy w instytucjach filantropijnych, — ślubował sobie święcie Fletcher pędząc z powrotem do biura.

Po przejściu śledczej kwarantanny Gladys, widząc jej jałowość, rzekła do Stanleya.

— Najdroższy, powzięłam postanowienie. Muszę zacząć działać!

— Co znowu zamyślasz? — spytał z przerażeniem Stanley, — nic w tej chwili osobiście nie zrobisz. Musimy teraz tylko czekać na rezultaty toku śledztwa.

— Straciłam wiarę w te rezultaty. Stało się to, co przewidywał profesor. Biorąc pod uwagę wszystko, dał mi wskazówki jak mam postępować. Nie czuję się jednak na siłach podołać wszystkiemu sama. Uważam, że jako jego syn masz prawo i możesz mi pomóc, — mówiła Gladys egzaltując się coraz bardziej.

— Dobrze, kochanie, pomogę ci. Zrobię cokolwiek zechcesz, — próbował ją uspokoić Stanley, — lecz czyż musisz swój zamiar koniecznie zaraz wykonać? Odlóżmy sprawę do jutra. U nas w Polsce słusznie się mówi, co nagle, to po diable.

— Dlatego może i opóźniacie się tam pod wieloma względami. Postępujmy w myśl zasad Zachodu: co masz zrobić jutro, rób dziś. Chodźmy!

— Dokąd?

— Do kabiny pilota.

Stanley zdumiał się. Wiedział, iż jest to sanktuarium profesora, do którego nikt, nawet on, nie miał dostępu.

— A wiesz, jak się tam dostać?

— Owszem. Profesor dał mi to prawo i możliwość. Pójdźmy, najdroższy!

Bez słowa podążył za nią. Wzniesli się windą na któreś tam piętro. Długim korytarzem doszli do małych drzwi, które Gladys otworzyła własnym kluczykiem. Weszli do pokoju urządzonego po biurowemu.

— To mój pokój, w którym pracowałam tylko podczas jego godzin „zamiarów i osiągnięć” jak nazywał swój czas pracy w kabinie.

— Gdzież jest ta kabina?

— Obok. Można się tam dostać przez te drzwi ode mnie. Oprócz głównego wejścia, którym wchodził i wychodził profesor.

— Wejdzmy więc.

— Nie można. Oboje drzwi są zabezpieczone prądem o sil-

nym napięciu. Trzeba wezwać Hannibala. Zaraz to zrobię telefonicznie.

Po upływie kilku minut zjawił się Hannibal.

— Drzwi zabezpieczone? — spytała go Gladys.

— Tak jest, miss. To należy do mych obowiązków.

— Odbezpiecz. Otwórz i zamknij za nami. Gdy będziemy mieli wyjść, wezwę cię.

Hannibal wyszedł. Po chwili drzwi do kabiny wsunęły się w ścianę. Weszli do wielkiego pokoju. Drzwi zasunęły się za nimi. Znaleźli się w „kabinie pilota”.

Stanley nie mógł ukryć zdumienia rozglądając się po olbrzymim atelier obramowanym w szpalery ścian całe w taflach i wykresach i zatłoczonym dziwnymi konstrukcjami wynalazczych modeli. W środku tego gąszczu wielkie okrągłe biurko zacizbione grzędami aparatów wyglądało jak groteskowy klomb.

— Oto świat twego ojca zaludniony tworamami jego geniuszu, — oznajmiła Gladys z uroczystą emfazą, która znów ubodła Stanleya

— Istotnie, inscenizacja wygląda jak senne widziadło inżyniera-opiumisty, — bagatelizował Stanley, lecz spostrzegłszy, że słowa jego zabolaly Gladys, dodał pojednawczo, — w każdym razie papa bajkowo urządził sobie pracownię, a już widok przez tę szklaną ścianę jest po prostu feeryczny. Mógł stąd spoglądać na świat jak Jowisz z Olimpu.

— Dopóki go nie porwały i pochłonęły siły podziemne.

— Ależ kochanie, któż by śmiał pochłonać Jowisza? Walczył wprawdzie z tytanami, ale ich zwyciężył. Tak będzie i teraz.

— Oby, oby!... W każdym razie on to przewidział i powierzył mi plan obrony.

— Wyjaw mi go, bym też mógł współdziałać. Przyznał mi to prawo...

— W tym celu tu jesteśmy. Musimy nawiązać kontakt z jego przyjaciółmi.

— Co za jedni?

— Uczeni.

— A cóż oni pomogą w takiej sytuacji?

— Nie wiem, lecz zgodnie z instrukcjami profesora mam ich wezwać i przekazać wynalazek A. R. 7.

— Jak wezwać i jak przekazać?

— Jest tu w kabinie stacja radiowa nadawcza.

— Umiem się z tym obchodzić. Służyłem jakiś czas w łączności.

— Ja też umiem, więc spróbujemy wspólnie.

Gladys pomyślała, jakby sobie coś przypominając, spojrzała na zegarek i poszła za biurko, Stanley podążył za nią.

— Mamy jeszcze parę minut czasu. Wypiszę fale i znaki rozpoznawcze. Codę Morse'a, — i wzięwszy blok zaczęła pisać.

Stojąc przy niej i rozglądając się po biurku Stanley zauważył osobliwy metalowy przycisk w kształcie jamnika służącego na dwóch łapkach. Mina psa była tak poważnie zabawna, że Stanley chciał go wziąć do ręki, by przyjrzeć się rzeźbie z bliska. Mimo jednak wysiłku nie mógł ruszyć z miejsca niewielkiego przycisku.

— Cóż ten pies przymarzył do biurka? — zauważył wreszcie zniecierpliwiony.

Uniósłszy głowę znad pracy Gladys zawołała z przerażeniem :

— Stany, na litość! Co robisz? Nie ruszaj psa!

— Myślałem, że to przycisk, tymczasem widzę jeszcze jeden jakiś magiczny hokus-pokus tego lokalu. Wolno wiedzieć, do czego służy ów Cerber?

— Zgadłeś, że Cerber.

— Pilnuje?... Czyżby...?!

— Właśnie. Największej tajemnicy świata.

— A. R. 7?! — i Stanley gwizdnąwszy odruchowo dotknął psiego łebka, — ale :on kręci łbem!..

— Puść, bo wywołasz katastrofę!

— Wylecimy w powietrze? Dawno nie fruwałem.

— I teraz być nie „pofrunął”, lecz dwa obroty psiego łba zniszczyłyby wynalazek!

— Bardzo dowcipne urządzenie. Nareszcie pies służy nie dla uciechy gawiedzi, lecz w mądrym celu.

— Stany, błagam cię przestań tak złośliwie żartować, bo sprawiasz mi przykrość. Nie po to profesor, jego najzdolniejsi laboranci i falangi pracowników trudzili się przez kilka lat dla ułatwienia życia ludzkości, by rezultat ich mozółu miał być unicestwiony jednym lekkomyślnym ruchem.

— Po cóż zatem ten psi krętołeb?

— Gdyż obrót wyłania skrytkę, a w niej obwolutę z opisem, planami i wyliczeniami A. R. 7. W najgorszym tylko razie, gdyby wynalazek miał dostać się w ręce niepowołane, profesor nakazał mi zniszczyć go.

— A czyż „ręce niepowołane” nie *mogą*. zeń zrobić tego dobrego użytku, do którego wynalazek ma służyć?

— Mogą, lecz również mogłyby, jak rzekł profesor, jego „prawdę przepotworzyć w zasadzkę”, w najokrutniejszą broń wojenną.

— Teraz już jestem w domu. Wynotowałaś wszystko?

— Tak jest.

— Więc spróbujmy nawiązać kontakt z „rękami powołanymi”.

Długo trwały próby uzyskania łączności radiowej z uczonymi przyjaciółmi profesora. Prywatne ich stacje odbiorcze milczały jak zakłète, mimo iż nadawcy stosowali jak najdokładniej wszystkie koordynaty zalecone przez Murphy’ego. Milczał Lurie-Malliot, nie odzywał się Owen, nie dawał znaku życia Rellington. Gladys jednak nie ustępowała nadając uporczywie sygnały.

Stanley zniechęcony odszedł od aparatu i zasiadł na fotelu ojca w centrum biurka. Kręcąc się wraz z fotelem i oglądając poszczególne przedmioty o zagadkowym przeznaczeniu, zauważył kilka rozrzuconych listów. Na wierzchu leżała jakaś depesza. Wziął ją do ręki i machinalnie począł czytać tekst. Nagle wykrzyknął :

— Gladys! Znalazłem trop!

— Coś znalazł, najdroższy?

— Depeszę wskazującą, gdzie szukać ojca. Słuchaj: „W drodze z Pasco do Los Angeles muszę omówić ważną sprawę, stop. czekam jutro Stockton hotel Diaz stop Lurie-Malliot”. Dlatego się nie odezwał na nasze alarmy.

— Ale drudzy — drudzy?

— Co nas obchodzą drudzy, skoro wiemy, gdzie jest ojciec. Zostaw to radio. Zjeżdżamy na dół. Należy zawiadomić policję. Dzwon na Hannibala!

— Nie trzeba. Od wewnątrz możemy sami drzwi otwierać i zamykać. Widzisz te dwa guziki. Naciśnij biały. Chodźmy.

Drzwi się rozsunęły. U progu Gladys przesunęła czerwony kontaktowy włącznik.

— Teraz same się zamkną i zabezpieczą. Przejdź prędeej!

— Lepiej się już czujesz, kochanie, prawda? Główka do góry! — pocieszał Stanley w windzie Gladys.

— Dlaczego jednak profesor nie wrócił sam od wczoraj z tego hotelu Diaz?

— Bo się tak zagadał ze swym przyjacielem. Nie wyszukuj że nowych komplikacji, moja Gladys! Wszystko się teraz szybko

wyjaśni. A depeszę damy Darleyowi. Niech jedzie z nią do Archbalda. To mądry chłop. Bo te tutaj u nas prowadzące śledztwo przetłuszczone ogary policyjne, mogą raczej pcheł szukać, a nie ludzi. Przepraszam za shocking!

Darley z depeszą pomknął do prezydium.

Jednak Gladys była nadal smutna i roztargniona.

Stanley też nadrabiał miną.

DREŹTWY, OKULARNIKI, PAJĄKI

Tu przynajmniej mógł spać, ile mu się chciało. A chciało mu się spać prawie że ciągle. Przy pierwszych przebudzeniach zwracało jeszcze jego uwagę miejsce, w którym się znajdował. Pokój był nieco dziwny, bo bez okien. Ciężkie portiery przykrywały dwoje zawsze zamkniętych drzwi. Dywan na podłodze, słaba matowa lampa na suficie, wygodne łóżko i jeszcze wygodniejszy tapczan. Stół, parę krzeseł i cisza. I spokój. Głowa nie boli, tylko ciąży. Jest jakby pusta a taka ciężka. Ciężka od snu, jeszcze cięższa, gdy się nie śpi. I wszystko przesuwają się w niej jak film, czy się śpi, czy nie. I właściwie nie wiadomo, co jest snem, a co jawą. zwłaszcza, że wszystko jest takie obojętne.

Zdaje się, że choruje, bo raz obudził go silny ból. Robiono mu zastrzyk mówiąc, że jest chory. Możliwe, skoro tak mówią, lecz i obojętne. A czasem sami budzą i pytają. A on choć nawet nie ma chęci, musi odpowiadać. Sam z siebie — musi. Jest jak automat z którego po wrzuceniu wań monety — pytania, musi wypaść odpowiedź. Cygaro czy guma do żucia. I to odpowiedź nawet dlań nieprzyjemna, jak chociażby wszystko co dotyczy A. R. 7.

Prześladuje go jeszcze tylko A. R. 7. Rad by się uwolnić od tych ciężkich wspomnień, by wreszcie w spokojnej kontemplacji patrzeć na sen czy jawę jak na film.

Znów weszli. Znów będzie Dual pytał, a Hoszamura pisał. Byle nie o...

— Jak się pan dziś czuje profesorze, — pyta Dual, — dobrze?

- Dobrze.
- Niczego panu nie brak?
- Niczego.
- No, to pogadamy sobie, żeby się panu nie nudziło.
- Dobrze. Pogadamy.
- Skontaktowaliśmy się już z pańskimi przyjaciółmi profesorami Lurie-Malliotem, Ovenem i Rellingtonem, by zmienili zarówno czas porozumiewania się jak i fale. I powiadomiliśmy ich, że będziemy nadsyłać biuletyny o stanie pańskiego zdrowia. Jest pan z tego zadowolony?
- Testem.
- Pogadajmy teraz o czym innym. Czy pan obmyślił już sposób, jak można by się dostać do pańskiej kabiny pilota? Obiecał pan.
- Obiecałem.
- Więc?
- Zapomniałem, bo... tak mi trudno myśleć...
- Ale trzeba. Niech pan myśli! Głośno.
- Dobrze... Mnie osobiście to byłoby łatwo. Należy tylko odbezpieczyć drzwi od toku. Klucz od pomieszczenia z tablic? rozdzielczą ma Hannibal. Obcy się w tym nie połapie.
- A gdyby wyłączyć całe piętro?
- Można... Chociaż tam są zapasowe akumulatory.
- Więc bez pańskiej osobistej pomocy nie da rady?
- Nie da rady.
- Dual z Hozzimurą popatrzyli na siebie.
- Do widzenia profesorze. Może pan spać.
- Dziękuję.
- No więc jak? — pytał w zielonym gabinecie Dual Hozzimury, — czas pracuje przeciw nam. Policja całego miasta na nogach. Wszelkie orientacje o A. R. 7 mamy. Aeroplan gotów, brak tylko drobiazgu, tego co najważniejsze: obwoluty z materiałami. Wściec się można!
- Nie pomoże. Musimy zaryzykować. Dostać się do kabiny.
- Ale jak?
- Razem z Murphy'm.
- Przecież go od razu poznają i nas przy tym zatrzymają.
- W najgorszym wypadku, o czym — później. Trzeba na ten czas usunąć służbę z gmachu.
- Jak?

— Dywersją. Pożarem czy wybuchem w hali laboratoryjnej, gdzie pracuje profesor Max. To zadanie musi wykonać on. Wówczas mamy szansę niepostrzeżenie dostać się do kabiny i wyjść z powrotem.

— A Murphy?

— Zostawimy go.

— Wyleczony wznowi A. R. 7.

— Trudno go będzie wyleczyć, bo umrze na serce najpóźniej w godzinę po naszej dywersji. Dzisiejsza powojenna medycyna stoi bardzo wysoko.

— A jeżeli nas, nim dotrzemy do kabiny, pomimo wszystko poznają i zatrzymają?

— Dlaczegoż by mieli nas zatrzymywać, skoro przyprowadziliśmy zaginionego profesora spotkawszy go na ulicy w stanie pożałowania godnym. Zasłużymy tylko na gorące podziękowania i odejście z honorami. Oczywiście nie dotrzemy wówczas do A. R. 7, ale po śmierci nieodżałowanej pamięci „Edisona Nr. 2” nie jest wykluczone stworzenie innych możliwości, które złożą dla naszych narodów w nasze ręce dobrodziejstwa wynalazku.

— Chylę czoło przed pańskim rozumem i patriotyzmem, majorze Hozzimura.

— Testem tylko wiernym sługą cesarza i mego kraju, — odpowiedział skromnie Japończyk.

— Na kiedyby pan proponował omówioną akcję?

— Jak najprędzej.

— Dziś jeszcze ustalimy wszystko na kolegium.

Trop depeszy znaleziony przez Stanleya w kabinie nie zaprowadził na razie daleko.. Ustalono, że profesor Lurie-Malliot nie wyjeżdżał z Pasco do Los Angeles i żadnej depeszy do profesora Murphy’ego nie nadawał, tym bardziej, że obydwaj profesorowie w razie potrzeby porozumiewali się ze sobą drogą radiową. W tej mierze miała miejsce bardzo długa rozmowa telefoniczna pomiędzy profesorem Lurie-Malliot a podinspektorem Archbaldem, której rezultatem była krótsza lecz nie mniej poufna konferencja podinspektora ze Stanleyem.

Dość dokładnie natomiast śledztwo ustaliło technikę porwania profesora na drodze między miejscowościami Canyon a Moraga, na drodze bardzo zresztą uczęszczanej. Otóż, żeby przejeżdżające auta nie utrudniały napadu i porwania „Edisona Nr.

2”, drogę na czas akcji zagrodzono barierami, jakoby na skutek remontu. W rezultacie wszystkie nadjeżdżające maszyny musiały zawracać z powrotem, bądź objeżdżać okólnymi drogami teren operacji. Po wypełnieniu zadania bariery zostały usunięte i zabrane, ruch obustronnie wznowiony i dywersanci znikli w kierunku dotąd przez śledztwo nieustalonym.

Stanley od czasu zniknięcia profesora żył w ustawicznej wewnętrznej rozterce. Nastawiony uprzednio na tragiczną walkę z ojcem o Gladys, walkę zmuszoną a przewlekłą, mobilizował do niej wszystkie siły licząc na wypadek. Może dzięki nieostrożności przeciwnika uda mu się zakończyć ją nagłym zwycięstwem. I oto od razu na początku starcia przeciwnik nagle znika. Plac walki i zdobycz pozostaje przy nim — Stanleyu. Tymczasem zwycięzca konstatuje ze zdumieniem, że rywal nieobecnością swą staje się groźniejszy, niż był przedtem.

Gladys zdawałoby się, że zapomniała o swym uczuciu dla „najdroższego” pochłonięta coraz większym niepokojem o profesora. Dopiero wypadek uzewnętrznił, ile kultu i oddania żywiła dla twórcy A. R. 7.

W rezultacie młody wojownik zraniony zazdrością musiał walczyć na dwa fronty, z groźnym cieniem rywala i z samym sobą. A tym rywalem był bądź co bądź ojciec, lecz ojciec znajdujący się w sytuacji, którą nie można było nie uważać za groźną.

Kompleks tych sprzecznych uczuć coraz boleśniej trawił Stanleya. I nie wiele pomagało, że odsuwając wolą tę rozterkę i unikając Gladys starał się z pasją uczestniczyć w śledztwie. I tu kolejne stadia zarysowywały mu coraz posępniej inny aspekt walki, ofiarą której był w tej chwili jego ojciec: walki o A. R. 7.

Rozmowy z detektywem Darleyem, konferencje z Archbaldem a przede wszystkim rewelacje Gladys stwierdzały coraz bardziej pewnik, że dokoła wynalazku skłębiła się coraz groźniejsza fala jakichś tajemniczych sił dążących do zawładnięcia nim, sił które, sądząc z zamachu na wolność profesora, nie mają zamiaru cofnąć się przed niczym.

— Kto wie, czy nadwrażliwa intuicja Gladys nie wyczuwa istotnych podstaw do obawy, że i jej grozi jakieś niebezpieczeństwo, — pomyślał Stanley wróciwszy od Archbalda i pod wpływem tej myśli pobiegł do pokojów Gladys wyrzucając sobie, że na kilka godzin zostawił ją samą.

Nigdzie jednak nie mógł jej zastać. Napotykana służba też nie umiała go objaśnić.

— Gdzie jest Daisy? — zainteresował wreszcie Hannibala.
— Zapewne w swoim pokoju, gdyż dyżur jej przy paniencie minął.

— Przeprowadź ją tu natychmiast!

Daisy zjawiwszy się zameldowała, że przed samym jej odejściem panienska przyjmowała jakiś telefon, po czym wyszła.

— Na ulicę?

— Nie, proszę pana. Telefon był wewnętrzny.

— Skąd?

— Nie wiem. Chyba z biura.

— Tak dawno wyszła panienska?

— Będzie chyba z kwadrans temu.

Stanley spojrział na zegarek. Nadchodziła pora, w której od trzech dni nadaremnie próbowali w kabinie skontaktować się z przyjaciółmi ojca.

— Pojadę na górę, — pomyślał Stanley, — gdziekolwiek jest, Gladys tam zaraz przyjdzie.

I zwrócił się do Hannibala.

— Chodź stary, pojedziemy na spacer.

— Tak jest, sir, — odrzekł nie bez zdumienia Hannibal, — lecz przyniosę sobie uprzednio zwierzchnie nakrycie głowy.

— Pojedziesz bez nakrycia. Marsz! — a wyszedłszy na korytarz dorzucił, — przypuszczałeś, że się z tobą wybiorę do Barkley na przedstawienie pod gołym niebem? Nic z tego. Włóż do windy. Odbezpieczysz mi kabinę i nauczysz mnie, jak się to robi. Po co mam cię starszku, stale fatygować. Prawda.'

— Tak jest, sir.

Znalazłszy się w studio zawołał za odchodzącym Hannibalem :

— *Jeżeli* spotkasz panienkę, powiedz jej, że już tu na nią czekam, — po czym w fotelu ojca popadł w zadumę.

— Rozsiadłem się tu, mój niedobry ojczy, na twym tronie, — myślało się Stanleyowi, — a wokół mnie jeży się i wikła dantejski las maszyn wyczarowany twym geniuszem a wyhodowany katorżną pracą lat. I patrząc na te twoje prometejskie stwory doprawdy nie wiem, czyś obdzielając nimi ludzkość dał jej więcej szczęścia czy niedoli? Dałeś przez nie przeolbrzymie bogactwa milionerom, dałeś wielkie życiowe udogodnienia posiadającym, ale i dałeś piekło pracy i nędzę robotnikom, a co dałeś milionom nędzarzy? Nic. Chyba te gniewne złorzeczenia, jakie zatruwają im dusze, gdy patrzą na dostatek możnych. I jeżeli złożyć na jednej szali dobro, które dokonały

twe wynalazki, a na drugiej — zło, które z nich wypłynęło, — to która szala przeważy? Boję się, że ta druga... Zaiste, straszliwie przez siebie sprawdza się ewangeliczna przepowiednia, że tym, co wiele mają, będzie jeszcze przydane, a tym co — mało, jeszcze ujęte...

Wzrok Stanleya padł na przycisk kryjący A. R. 7. Ręka odruchowo sięgnęła do psiego łba przekręcając go do pełnego obrotu. Rozchylił się blat biurka. W głębi metalowej skrytki widniała gruba obwoluta.

Wydobył ją. rozwiązał. Na biurko rozsypały się rysunki modeli, wykresy, plany, arkusze formuł chemicznych, matematycznych...

— Co dajecie ludzkości, — szeptał, — wyzwolenie czy zatracenie? Błogosławieństwo, czy przekleństwo?!

Drżącymi rękami zebrał papiery z powrotem w obwolotę i wcisnął w skrytkę. Łbu psa przywrócił pierwotną pozycję, choć miał przez chwilę szaloną, nieprzemogłą prawie chęć, żeby...

Spojrzał na zegarek. Upłynęło z górą pół godziny, jak tu jest, a Gladys jeszcze nie ma?

Omiał że wybiegł z kabiny nie zapomniawszy jednak jej zabezpieczyć. Zjechał windą. Wpadł do mieszkania. Do pokoju Gladys.

— Jest panienka?

— Jeszcze nie wróciła.

Dopał klawiatury wewnętrznego telefonu. Kolejno począł dzwonić, rzucając w przerwie rozkazy:

— Natychmiast zwołać całą służbę! Szukać wszędzie! — i telefonował dalej.

Gladys nie było nigdzie.

KATASTROFA

Jeszcze na szpaltach wszystkich dzienników grzmiała sensacja o porwaniu profesora Beniamina Murphy'ego przez tajemniczych kidnapperów na drodze z Oakland do Stockton, gdy drugi piorun wiadomości o zniknięciu miss Gladys O'Connor, wychowawcy profesora, wstrząsnął do głębi opinią publiczną.

Ów drugi wstrząs wywarł nawet silniejsze wrażenie niż wypadek z profesorem, a to dzięki bardziej jeszcze zagadkowym okolicznościom, w jakich się wydarzył.

„Można w ostateczności zrozumieć”, pisało jedno z najpoczytniejszych miejscowych czasopism: „pożałowania godny fakt napadu na auto za miastem, lecz zniknięcie kobiety z domu w biały dzień spośród grona domowników, z domu położonego w kompleksie budynków w dużej mierze izolowanym od osób postronnych, dowodzi niesłychanego rozzuchwalenia się elementów kryminalnych w naszym mieście. Wygląda na to, że po przerwie wojennej znowu jawi się nawrót do haniebnego pamięci gangsterstwa z czasów Al Capone! Apelujemy do władz stanowych, apelujemy do organów bezpieczeństwa o natychmiastowe przedsięwzięcie wszelkich środków, zmierzających do najszybszego odnalezienia osób zaginionych i bezwzględne zlikwidowania grasujących złoczyńców”.

W niemniej energiczny sposób wystąpiła reszta prasy, czego rezultatem był szereg bardzo nieprzyjemnych rozmów między władzami stanu a kierownictwem policji i postawienie na nogi całego aparatu śledczego.

Obiektem badania jeszcze bardziej formalistycznego, niż poprzednie, stał się już nie tylko dom profesora, lecz i całe „Murphy’s Laboratory”.

Z ogromu pytań i odpowiedzi za jedyny pozytywny wskazówkę można było uważać zeznanie Daisy, że Gladys wyszła ze swego mieszkania wywołana przez telefon wewnętrzny i od tej chwili ślad jej zaginął. Podczas badań odbywających się jak i poprzednio — w bibliotece, w obecności kamienne milczącego Stanleya, zjawił się w pewnym momencie Darley i szepnął don:

— Chciałbym z panem pomówić, ale nie tu.

— Chodźmy do mnie, — odpowiedział wstając Stanley.

W tym momencie wszedł podinspektor Archbald, wracający z laboratoriów.

— Czy mógłbym i pana poprosić na małą rozmowę? — zwrócił się doń Darley.

— Owszem. Nic innego dziś nie robię tylko rozmawiam, — odpowiedział Archibald.

— Więc nie traćmy czasu, — mruknął Stanley.

Fletcher, również asystując badaniom, dziwnym wzrokiem odprowadził do drzwi wychodzącą trójkę.

— Słucham pana, — rzekł do Darleya Stanley, gdy zasiedli w jego pokoju.

— Mam wrażenie, że wiem, jak odbyło się porwanie miss Gladys.

— Cały zamieniam się w uszy, — rzekł Archbald.

— Z rozmowy z dozorcą przy głównej bramie dowiedziałem się, że między innymi przyjeżdżała wczoraj do „Murphy’s Laboratory” samochodowa karetka ambulansowa do naszego zakładowego szpitala. W rozmowie z portierem szpitalnym spytałem, kogo karetka zabrała? Portier odpowiedział, że ambulans przyjechał na skutek telefonicznego nieporozumienia, bo nikogo do zabrania nie było. Funkcjonariusz ambulansowy nalegał na razie, lecz po porozumieniu się telefonem wewnętrznym, z kimś, kogo miał zanotowanym na kartce, przeprosił i wyszedł.

— Cóż ta cała historyjka ma wspólnego z Gladys? — spytał Stanley.

— Ma, bo wewnętrzny telefon, który otrzymała miss Gladys, i który ją wywołał z mieszkania, pochodził od owego funkcjonariusza.

— Przypuśćmy, ale od telefonu do zniknięcia?... Jak to się mogło odbyć?

— Po prostu. Miss Gladys wsiadła w windę, by wyjaśnić omyłkę upartemu funkcjonariuszowi. W windzie została obezwładniona i jako chora wywieziona ambulansowym autem.

— Zaraz — zaraz, — wtrącił Archbald, — a któż mógł obezwładnić miss Gladys w obecności windziarza, bo funkcjonariusz czekał na dole.

— Obezwładnił właśnie windziarz.

— Ma go pan?

— Niestety. Windziarz znikł. Prawdopodobnie, a raczej na pewno z funkcjonariuszem i z miss Gladys.

— Jak się nazywał?

— Allan Putt. Przyjęty przed dwoma dniami.

— Kto go przyjął?

— Jeszcze nie wiem dokładnie.

— Dojdziemy do kłębka. Nitka jest.

Zapadło milczenie.

— Radziłbym panu, mister Murphy - junior, — rzekł Archbald, — od dziś uważać na siebie. Damy panu dwóch opiekunów.

— Dziękuję. Jestem pełnoletni.

— Nic nie szkodzi. Sprawa jest zbyt poważna i jasna. Chodzi o A. R. 7. Ci, którzy tak zaopiekowali się pańskim ojcem i miss Gladys na pewno nie mają zamiaru nie zatroszczyć się i o pana. Widocznie dla nich gra warta świeczki.

— Zdmuchnę im tę świeczkę, to i grać przestaną.

— Wątpię. Za wysoka stawka. Zresztą, widzimy, że oni nawet wolą pozostawać w ciemnościach.

W tej chwili głucha detonacja wstrząsnęła gmachem. Obecni zerwali się.

— Do diabła! — krzyknął Archbald — zaczynają grać zbyt głośno!

Wybiegli na korytarz. Nastąpiła druga i trzecia detonacja. Dopadli okna. W dole kłębił się dym, poprzez który przebijały się jęzory płomieni.

Gmach dudnił krokami biegnących. Zahuczała syrena. Darley i Archbald dobiegli do jednej z wind.

— Pan niech nie schodzi! — krzyknął do Stanleya Archbald.

— Nawet mam zamiar pojechać wyżej, — odpowiedział Stanley i poszedł w kierunku drugiego dźwigu.

Po upływie paru minut znalazł się w kabinie. Zasunięte za sobą drzwi zabezpieczył tokiem. Usiadł na fotelu ojca i przez

chwile trwał bez ruchu wpatrując się w przycisk. Z dołu dochodził głuchy zgiełk i jęki syren nadjeżdżających straży pożarnych.

— Dosyć tej gry! — rzekł do siebie, wyciągając rękę i stanowczym ruchem przekreślił łeb jamnika. Po chwili poczuł ostry odór kwasu i pomyślał:

— Tak się kończy zarówno szczęście jak i niedola ludzka. Rozkładem...

Wtem wydało mu się, że słyszy kroki pod drzwiami. Jął nasłuchiwać. Cisza... I nagły bolesny krzyk. I tupot uciekających nóg. Wyłączył tok. Nacisnął guzik. Wydobył z kieszeni rewolwer i podszedł do otwierających się drzwi.

U progu leżał trup profesora Beniamina Murphy.

KONIEC PIERWSZEJ CZĘŚCI

CZĘŚĆ DRUGA

SPRAWIEDLIWOŚĆ

ZACZYNA

FUNKCJONOWAĆ

Stanley przyklęknął obok ciała ojca. Ujął go, za rękę. Była jeszcze ciepła, lecz już bez pulsu. Rozwarte oczy o wywróconych źrenicach, rozchylone od śmiertelnego krzyku usta i kredowa maska twarzy obramiona czarną szczecią zarostu wstrząsały tak rozpaczliwym obrazem nędzy i ruiny życia ludzkiego, że Stanleya, mimo, iż przywykł do widoku zwłok na pobojowiskach, obezwładniła lodowata groza.

I nie był w stanie oderwać oczów od tej twarzy tak wspaniałej za życia, a tak pohańbionej ohydą śmierci.

Wydźwignął się wreszcie ciężkim wysiłkiem z tej ponurej kontemplacji, wstał i poszedł wlokąc kroki do biurka, opadł na fotel ojca i zastygł w otępieniu.

Po jakimś czasie uprzytomnił go coraz ostrzejszy fetor kwasu, wyłaniający się z biurka.

— Dwa trupy, — pomyślał, — człowieka i jego dzieła.

Ujął słuchawkę i począł dzwonić po ludzi. Pierwszy odezwał się Hannibal. Dał mu rozkaz znalezienia Darleya i Archbald. I znowu wpadł w bezwład.

Pierwszy przybiegł Archbald.

— Sto tysięcy Belzebubów! — rozległ się jego głos przy drzwiach, — toż to profesor Murphy!

— Tak, to jest to, co było profesorem Murphy, — rzekł Stanley, podchodząc do drzwi.

Archbald pochylił się nad ciałem.

— Kadaver! — szepnął po chwili, — i to już od dziesięciu chyba minut, — dodał, — jakże się to stało?

— Gdybym to wiedział, — odparł Stanley, — siedziałem tu przy biurku, kiedy w pewnej chwili usłyszałem kroki pod drzwiami. Potem krzyk i tupot uciekających. Wtedy otworzyłem drzwi i zastałem... to, co pan widzi.

— Spodziewałem się jakiegoś diabelstwa, — zauważył po chwili namysłu Archbald, — lecz nie spodziewałem się takiej katastrofy!

W korytarzu ukazał się Darley z Hannibalem.

— Boże Abrahama, Izaaka i Jakuba! — wykrzyknął przerażony murzyn, zobaczywszy leżące ciało, — zawołał ludzi! Trzeba pana przenieść!...

— Nic tu nie wolno ruszać! Profesor nie żyje, — wstrzymał go Archbald.

— Gdyby jednak, ośmielam się prosić, wezwać lekarza?

— Będzie i lekarz. Mister Darley, dzwoni pan po naszego lekarza, fotografa i paru ludzi, — dysponował Archbald, a zwróciwszy się do Hannibala rzekł, — nikomu poza policję nie wolno wchodzić na ten korytarz. Proszę tego dopilnować.

— Tak jest, sir, — odruchowo wrócił w swą skórę służbisty Hannibal, lecz odchodząc w głąb korytarza przeżegnał się kilkakrotnie, spozierając oczami pełnymi łez na ciało swego pana.

Wszedłszy ze Stanleyem do studio Archbald obrzucił je wzrokiem, w którym zdumienie walczyło z respektem. Nagle pociągnął nosem i spytał odruchowo:

— Czym tu tak...

— ... czuć? chciał pan spytać, — rzekł Stanley, — to cuchną zwłoki A. R.-7.

— Nie rozumiem.

— Zniszczyłem wynalazek ojca.

— Ooo!... To jednak, przyznam, zbyt duża komplikacja.

— Wprost przeciwnie. Uproszczenie.

— Nie powiedziałbym tego. Zwłaszcza teraz... w związku z wypadkiem, jakiemu uległ profesor Murphy.

— Spalenie A. R. 7 nie stoi w żadnym przyczynowym związku ze śmiercią mego ojca, gdyż przedtem unicestwiłem wynalazek, zanim posłyszałem kroki pod drzwiami.

— Ja panu wierzę, mister Stanley, lecz jak pan to dowiedzie sędziemu?

— Sędziemu? A cóż sąd ma tu do roboty?

— Ma. I to bardzo. Przecież zaszedł nagły wypadek śmierci, co już powoduje wkroczenie koronera. Ponadto wypadek ma

charakter specjalnie ważki ze względu na osobę profesora Murphy wynalazcy A. R. 7.

— Więc pan przypuszcza, że będzie sąd? I że mnie będą sądzić?

— Nie wiem na pewno, czy będzie sąd. W każdym razie będzie śledztwo, w zależności zaś od wyników śledztwa sąd może się odbyć, lub — nie.

— Ale przecież nie nade mną! Sam pan mówił na dole po wybuchu pożaru, że zdaniem pańskim zaczęła się gra o A. R.-7. Mówił pan?

Darley ukończył telefonowanie i podszedł do rozmawiających.

— Zaraz przyjadą, — zameldował Archbaldowi.

— Wyraził się pan, — ciągnął Stanley, — że gra warta świeczki. Na to ja odpowiedziałem, że — co?...

— Ze pan zdmuchnie świeczkę, — wtrącił Darley.

— Właśnie. Dziękuję panu, mister Darley. Otóż po to położyłem tu, by świeczkę zdmuchnąć. I zdmuchnąłem!

— A jakże to pan uczynił, jeżeli wolno spytać?

— Po prostu. Przekręciłem psu łeb.

— Łeb psu? A gdzież ten pies?

— Stoi na biurku, — i Stanley wskazał na jamnika, — wystarczyło przekręcić mu łeb o dwa obroty gwinta, żeby...

Archbald, który w trakcie słów Stanleya, jakby dla przekonania się, dotknął przycisku, cofnął rękę z okrzykiem:

— Au! Ta sobaka gryzie! — i jął dmuchać na palce.

— Widocznie proces chemicznego spalania jeszcze się nie skończył, — zauważył Darley.

— A może się da coś uratować? — zwrócił się Archbald do Stanleya, — niechże pan spróbuje?

— Ani myślę, — odparł Stanley.

— Bardzo bym jednak radził zrobić to bezzwłocznie, — nalegał Archbald, — mówię w imię pańskiego dobra.

— Stanowczo nie zrobię tego!

— Źle pan robi. Rozumiem pańskie stanowisko, niemniej jednak obawiam się nieprzyjemnych konsekwencji.

— Jakiekolwiek będą, biorę je na siebie. Wierzę i twierdzę, że A. R. 7 przy dzisiejszym poziomie ludzkiej etyki nie powinno istnieć.

— Nic na to odpowiedzieć nie mogę, — rozkładając ręce rzekł Archbald.

W tym momencie w korytarzu zatętniły kroki.

— Przyjechali, — mruknął Darley.

Archbald wyszedł na spotkanie funkcjonariuszów policji.

Wśród przybyłych na miejsce wypadku zwykłych funkcjonariuszów oraz szarż służby bezpieczeństwa publicznego znajdowały się osobiście i dwie figury reprezentujące wielce wysokie kompetencje: szef policji San - Francisco i koroner. Sam fakt niezwłocznego przybycia tych figur stwierdzał, jak ważko i doniośle władze oceniały tragiczny a tajemniczy katastrofę śmierci profesora Beniamina Murphy'ego.

Podczas, gdy wokół ciała rozpoczęły się wszelkie normalnie ustalone praktyki autopsji, w danym wypadku wykonywane ze specjalny dbałością i drobiazgowością, obie wysokie figury odbywały półgłosem orientacyjny konferencję z podinspektorem Archbaldem. Po pewnym czasie do grona rozmówców przyłączył się lekarz po załatwieniu oględzin ciała.

— Co pan stwierdził? — spytał lekarza koroner.

— Wszelkie powierzchowne cechy wskazują, że profesor Murphy zmarł nagle na aneurizm serca. Precyzyjne ustalenie powodu bądź powodów zgonu może wykazać tylko sekcja zwłok, — odparł lekarz.

— W zasadzie uważa pan zatem, że to była śmierć naturalna, nie zadana? — wtrącił swoje pytanie doktorowi szef policji.

— Subiektywnie uważam, że wszelka śmierć gwałtowna nie powinna podpadać pod kategorię śmierci naturalnych, aczkolwiek w potocznej mowie podciąga się pod nie zarówno aneurizm jak apopleksję itp. W danym wypadku okolicznościami gmatwającymi dokładne rozróżnienie charakteru śmierci profesora są pewne uboczne, na razie zewnętrzne, cechy dotyczące wyglądu nieboszczyka. Sekcja i tylko sekcja może odpowiedzieć na absorbujące nas pytania.

— Zatem i zbrodnia niewykłuczona, — zauważył koroner.

— Nie wiem.

— Spróbujmy porozmawiać z synem profesora, — zaproponował szef policji.

Stanleya po dialogu z Archbaldem ogarnęło rozgoryczenie i niechęć do dalszych rozmów. Widząc nadciągające grono policji wycofał się w głąb studio aż pod oszkloną ścianę, gdzie usiadł na jednym z fotelów okrążających stojący opodal niej stół i w tępych zamyśleniu spozierał na panoramiczny widok miasta. Tak trwał dopóki nie podszedł doń Archbald.

— Proszę darować, mister Stanley Murphy, że przerywam

panu jego zadumę, lecz przybyli przedstawiciele władz chcieliby porozmawiać z panem.

— Służę panom, — rzekł Stanley i wstał.

Po wzajemnej prezentacji i zajęciu miejsc przez przybyłych, szef policji zagaił rozmowę.

— Bardzo mi przykro, mister Murphy, że obowiązki służby zmuszają nas do niepokojenia pana w tak ciężkiej dla niego chwili, lecz pan pojmuję...

— Pojmuję, — odparł Stanley, — i słucham.

— Wiemy już mniej więcej z relacji podinspektora Archbalda, jak fatalny splot wypadków miał miejsce do chwili, gdy zastał pan przed progiem tej sali zwłoki pańskiego znakomitego ojca. Żeby jednak zorientować się dokładniej w tym wszystkim, chcielibyśmy usłyszeć od pana osobiście kilka odpowiedzi na pewne pytania.

— Mianowicie?

— Czy głos w formie krzyku, który usłyszał pan zza drzwi, należał do profesora Murphy, czy też mógł być wydany przez jakąś inną osobę. Jeżeli zaś, zdaniem pana, miałby miejsce ów drugi przypadek, czy mógłby pan sobie uświadomić do jakiej ze znanych panu osób tembr tego okrzyku byłby zbliżony?

— Oczywiście, że nie miałem czasu zastanawiać się wówczas. Gdy myślę nad tym obecnie, mam przeświadczenie, że to krzyknął mój ojciec.

— A czy nie doszły do pana jakieś odgłosy szamotania się, bądź walki, — spytał koroner.

— Nie. Acz w tej chwili mam wrażenie, że przed odgłosami uciekających kroków słyszałem głuchy dźwięk, który mógł powstać na skutek upadku ciała.

— Do ilu osób mogły należeć odgłosy uciekających kroków?

— Do dwóch, może do trzech, — odparł po namyśle Stanley.

— Czy po otwarciu drzwi nie dojrzał pan uciekających?

— Nie.

— Jaka szkoda, że nie próbował pan dogonić zbiegów, — zauważył koroner.

— Teraz sam tego żałuję, lecz wówczas, pan chyba rozumie, że na widok leżącego na podłodze ojca pierwszym moim odruchem było przyjść mu z pomocą. Myślałem, że zemdłał. A potem... — i Stanley machnął ręką.

— Zrozumiałe, — mruknął koroner i popatrzył na szefa policji.

Ów z lekka skinął głową.

— Nie chcielibyśmy absorbować pana dłużej pytaniami, — podjął po chwili koroner, lecz w splocie dzisiejszych wypadków w „Murphy’s Laboratory” zaszedł jeszcze jeden, o którym dowiedzieliśmy się od podinspektora Archbalda. Chcielibyśmy i w tej sprawie otrzymać z ust pańskich nieco informacji. Mówię o A. R.-7.

— Nie ma już A. R. 7, — odpowiedział Stanley, — zniszczyłem ten wynalazek.

— Dlaczego pan to uczynił?

— Z powodów czysto ideowych.

— Czy uczynił to pan za zgoda twórcy wynalazku? Jeżeli — tak, to czy posiada pan dowody potwierdzające zgodę.

— Żadnych dowodów nie posiadam, bom to uczynił na własna odpowiedzialność.

— Z przykrością muszę skonstatować, że naruszył pan prawo. Co pan ma na swoje usprawiedliwienie?

— Najgłębsze przekonanie, że uczyniłem dobrze.

— Nie dziś pora i nie tu miejsce do rozważenia i rozstrzygnięcia tej sprawy. Na razie obowiązkiem moim jest zabezpieczyć to, co jeszcze mogło pozostać z dokumentów o wynalazku.

— Przypuszczam, że nic, gdyż sposób zniszczenia był opracowany przez mego ojca.

Koroner z szefem policji znów wymienili spojrzenia. Tym razem skonsternowane.

— Muszę jednak dokonać wizji lokalnej.

Stanley bez słowa wstał i podszedł do biurka. Obecni udali się za nim.

Stanąwszy przy fotelu profesora poprzez złożony chustkę od nosa odkręcił psi łeb na pół obrotu. Z rozwartej skrytki wionął silny cierpki odór. Zajrzawszy w głąb koroner zobaczył coś w rodzaju metalowego safesu postawionego pionowo. Ścianki w kilku miejscach posiadały niewielkie okrągłe otwory. Trzecią część safesu wypełniał sypki biały popiół

— Oto wszystko co pozostało z A. R. - 7, — rzekł Stanley.

— Niewiele, — odparł koroner, — w każdym razie przed ostatecznym orzeczeniem biegłych, skrytkę należy opieczętować.

— Dobrze byłoby i całe studio zabezpieczyć dla tym dokładniejszego zbadania, — dodał szef policji i zwróciwszy się do Stanleya spytał, — ma pan przy sobie klucz czy klucze?

— Kabina nie zamyka się kluczem, — odparł Stanley.

— Jaka kabina?

— Ojciec to studio nazywał „kabinę pilota”, gdyż stąd nadzorował wszelkie prace w laboratoriach za pomocą tych oto aparatów. Nie przyjmował tu nikogo. Dostęp do kabiny miał tylko on i Gladys.

— Tym bardziej należy zabezpieczyć to pomieszczenie. Jakże więc się ono zamyka?

— Elektrycznie. I elektryczność broni nieproszonym gościom wstępu do kabiny. Zasunięte drzwi pozostają pod tokiem.

— Całkiem nowy a znamienity szczegół, — zauważył szef, — trzeba to obejrzieć.

Grupa podeszła do drzwi. Nie widząc ciała ojca, Stanley spytał o nie.

— Ciało profesora Murphy znajduje się już pod odnośną opieką, — poinformowano go.

— Także więc funkcjonują drzwi do „kabin” i jak są zabezpieczone? — spytał koroner Stanleya.

— Z zewnątrz otwierają się i zamykają z szafki tablicy rozdzielczej, znajdującej się we wnęcie na korytarzu. Od wewnątrz przez taster na biurku i ten oto na ścianie przy drzwiach znajdują się czerwony wyłącznik.

— I wtedy drzwi są pod prądem? — spytał szef policji.

— Tak jest, — odparł Stanley.

— Zatem dotknięcie się do nich może grozić śmiercią?

— Dotknięcie nie grozi niczym, bo drzwi są z obu stron pokryte warstwą izolacyjną. Dopiero próba włamania się, przebicie warstwy jakimś metalowym narzędziem może być dla włamywacza niebezpieczne.

Szef z koronerem znów wymienili porozumiewacze spojrzenie.

— Trzeba by jednak stwierdzić, czy przypadkiem nie odbywało się tu włamywanie, — rzekł koroner.

Stanley popatrzył nań z nieukrywanym zdumieniem.

— Ojciec miałby się włamywać, zdaniem pana, do własnej pracowni, wiedząc, że ...

— Czy wyklucza pan możliwość, że profesor Murphy mógł w ten mylny sposób poinformować przybyłych z nim? — przerwał Stanleyowi koroner.

— I po nieudanej próbie włamania oni by uciekli, a ojciec miał zginąć?

— Wszelkie dedukcje możemy rozstrząsać dopiero po skon-

statowaniu stanu rzeczy. Przejdziemy na korytarz i poprosimy o zamknięcie drzwi, — przerwał dyskusję koroner.

Po zamknięciu przez Stanleya kabiny z szafki korytarzowej obecni stwierdzili brak na powierzchni drzwi jakichkolwiek śladów włamania.

— Przypuszczenie co do próby wtargnięcia siła do „kabiny” odpada, a jednak krzyk profesora, jego śmierć i ucieczka tamtych dowodzi przestępczości całego zajścia.

— Uważam ogólny splot zdarzeń i wypadków jakie zaszły dzisiaj w „Murphy’s Laboratory” za zbyt zawiły, by można było na gorąco wysnuwać z nich jakiegokolwiek wnioski. Naszą rolą jest zebrać jak najwięcej faktów i tylko faktów, które dopiero z siebie mogą wyłonić obraz istotnej rzeczywistości, — orzekł ostatecznie koroner.

— Podinspektorze Archbald! — zabrał z kolei głos szef policji, — opieczętuje pan te drzwi...

— Pozwolę sobie zauważyć, — wtrącił Archbald, — że „kabina” ma jeszcze drugie drzwi.

— Słusznie. Zatem i drugie drzwi. Pozostawi je ran zresztą pod ochroną naszych ludzi. Trzeba dozorować i szafkę w korytarzu. W ogóle sprawę tę oddaję na razie w pańskie ręce.

— Rozkaz.

— Pana zaś, — zwrócił się koroner do Stanleya, — dręczycy już dzisiaj więcej naszymi pytaniami nie będziemy.

— Dziękuję, — odparł Stanley, — natomiast ja ze swej strony pragnąłbym odwzajemnić się panom jednym pytaniem.

— Słuchamy.

— Co słyhać z miss Gladys O’Connor?

Tym razem wymienne spojrzenia pomiędzy szefem policji a koroną rem miały charakter wyraźnego zażenowania.

— Bardzo nam przykro, — zabrał wreszcie głos szef, — że nic konkretnego na pańskie pytanie odpowiedzieć nie możemy. Proszę mi jednak wierzyć, że czynimy wszystko, co tylko leży w naszej mocy, by jak najrychlejsz odnaleźć osobę, o którą pan, pyta.

— Ze swej strony radziłbym przyspieszyć to odnalezienie nawet ze względu na panów.

— Myśli pan o dokuczliwościach prasy? Przywykliśmy do tego jak do jesiennej słoty.

— Myślę o czym innym. Obecność miss Gladys mogłaby rozpoczętemu śledztwu oddać wielkie przysługi. Nikt tak jak

ona, podczas mej wojennej nieobecności, nie był wtajemniczony w działalność i prace profesora. I to było powodem jej porwania.

— Jakikolwiek Pluton ośmielił się porwać tę osobę, odnajdziemy go i pod ziemią.

— Niech diabli porwą Plutona, bylebyście panowie odnaleźli miss Gladys!

— Sprawiedliwość stawia sobie szerszy zakres działalności, niż pan jej zakreśla, — z widoczną urazą rzekł na pożegnanie koroner.

ZMIANA FRONTÓW

Zdarza się przy katastrofach trzęsienia ziemi, że trzeci wstrząs bywa najsilniejszy. Tak wstrząsła opinią już nie tylko Ameryki, lecz całego kulturalnego świata, wiadomość o tragicznej śmierci profesora Beniamina Murphy'ego, spotęgowana niebywałymi okolicznościami pożaru w „Murphy Laboratory” i zniszczeniem wynalazku A. R. 7 przez Stanleya, syna profesora.

Już wieczorem tego samego dnia dodatki nadzwyczajne i megafony rozgłośni radiowych opowieściły szerokim masom o skomplikowanej katastrofie zaszłej na Telegraph Hill. Nazajutrz szpałty czasopism przepelnione były sensacyjnymi szczegółami mniej lub bardziej udatnie skomponowanymi przez korespondentów specjalnych, z których zresztą żaden nie był przez władze dopuszczony ani na miejsce wypadków ani autorytatywnie poinformowany w imię dobra rozpoczętego na szeroką skalę śledztwa.

Fotografie spalonego magazynu chemikaliów były przeważnie fotografiami różnych zgliszcz z czasu wojny europejskiej, a podobizny Stanleya i Gladys były podobiznami różnych młodych osób, pobranymi z kliszowych archiwów odnośnych czasopism. W każdym razie materiały informacyjne były w zupełności wystarczające dla zaspokojenia ciekawości publicznej. Jedności naświetlenia zaszłych wypadków nie dało się jednak wyczuwać w enuncjacjach prasowych. I owszem panowała w nich bardzo interesująca różnorodność.

Wrychle jednak jak za dotknięciem różdżki czarodziejskiej w wielu odłamach prasy zarysowało się bardzo zdecydowane ustosunkowanie i to niesłuchanie krytyczne w stosunku do osoby Stanleya.

Tajemnym źródłem skąd wytrysnął pogląd tego rodzaju było nowe dżentelmeńskie porozumienie, jakie powstało na skutek poufnej rozmowy odbytej między generalnym sekretarzem ś. p. prof. B. Murphy'ego Johnem Fletcherem, a mężem zaufania Trustu Miliarderów Davem Morofem.

Tym razem inicjatorem rozmowy był Fletcher. Przemysłny wuj sympatycznego Boba w obawie utraty większości swych dochodów bazujących się na poufnych informacjach co do A. R.-7, a zagrożonych z chwilą zniszczenia wynalazku, po wnikliwej analizie sytuacji odkrył jednakże sposób zapobiegający uszczupleniu swych finansowych wpływów. Wynikiem przemysłów postanowił podzielić się przede wszystkim z Morofem, zachowując sobie, na wypadek odmowy, w rezerwie Duala i sfery waszyngtońskie.

Pierwsze jednak kroki, które poczynił telefonicznie (po śmierci profesora Fletcher przestał się bać kontaktów telekomunikacyjnych) nie znalazły należycie gościnnego przyjęcia u Morofa.

— Chciałbym z panem pogawędzić w pewnej sprawie, — zaczął dialog Fletcher.

— Nie widzę powodu, — odparł Morof.

— Nie widzi pan z braku telewizji, lecz mógłby pan go usłyszeć, — nie zrażał się Fletcher.

— Mógłbym, ale jakoś nie zbiera mi się na ciekawość.

— Chodzi o A. R. - 7.

— Jak może chodzić to, czego nie ma? Gazet pan nie czytuje?

— Nie tylko czytuję, ale nieraz inspirują to, co potem drukują. Dlatego też odróżniam sensację od faktów, czego pan, jak sądzę, nie potrafi.

— Więc pan przeczy faktowi zniszczenia wynalazku?

— Czemu przeczę, a co twierdzę, to się nie da wyłuszczyć przez telefon.

— Trudno. Niech pan przyjedzie.

Rozparty na czwórnogu klubowego fotela, w kadzitelnych dymach hawana, Fletcher jak Pytia jął wieszczyć przed Morofem.

— Do obecnej rozmowy z panem, mister Morof, zmusza

mnie moja lojalność względem umowy, jaka istnieje pomiędzy mną a pańskimi mocodawcami co do A. R.-7.

— Z chwilą zniknięcia obiektu siłą rzeczy upada umowa.

— Jeszcze raz panu powtarzam, że A. R.-7 istnieje, zatem umowa trwa.

— Proszę dowieść.

— Zniknęły dokumenty wynalazku, lecz on sam pozostał i tkwi w pracach „Murphy’s Laboratory”. Kto po śmierci Big Bena wejdzie we władanie kompleksem zakładów, ten dojdzie do posiadania tajemnicy. Jasne i proste.

— Bardzo. A że generalnym spadkobiercą profesora Murphy jest jego syn Stanley...

— Przy normalnym toku wypadków. Ponieważ jednak Stanleyowi powinien grozić proces bardzo zawiły i skomplikowany, bo obejmujący szereg podejrzanych wyczynów i wypadków, żako to: tajemnicza śmierć ojca dziwnie zbiegającą się w czasie z bezprawnym zniszczeniem dokumentów dotyczących A. R. 7 i pożarem niewątpliwie powstałym z podpalenia, — więc do normalnego postępowania spadkowego, a tym bardziej — dziedziczenia, jest bardzo daleko. Na razie widzę nadzór sądowy, z którym przecież jakoś można się skontaktować. Ludźmi jesteście.

— I nic ludzkiego nie jest nam obce.

— Właśnie. A po wyroku skazującym... Boże drogi! „Murphy’s Laboratory” wyjątkowo podpadają pod kategorię instytucji, których wykupienie w tej czy innej formie może dać wyjątkowe szanse dla pomysłowości... pańskich mocodawców. Nieprawdaż?

— Oh, nie wątpię ani na chwilę, że nie uchylą się oni przed obowiązkami, jakie z tego powodu spadłyby na ich barki.

— I ja tak sądzę. A obowiązkiem ich pierwszym byłby...

— ... proces wytoczony Stanleyowi Murphy przez władze w imię moralności publicznej.

— Takiego procesu winna domagać się opinia!

— Przez jej organy — prasę!

— Więc teraz pojmuje pan, mister Morof, że nasza umowa trwa?

— Oczywiście. Przecież pożałowania godne nieporozumienie na tym tle zostało obustronnie najzupełniej wyjaśnione.

— Chciałbym tylko jeszcze zwrócić uwagę pańską na pewien szczegół, — rzekł Fletcher, wstając i zabierając się do odejścia, — jeżeli miss Gladys O’Connor, prawa ręka profesora, odnajdzie się właśnie bezpośrednio po jego śmierci, będzie to niewątpli-

wym dowodem, że w tajemnicy śmierci profesora i w zniknięciu miss Gladys działała też sama ręka.

— Słusznie. Dlatego nie wątpię, że Gladys O'Connor rychło się odnajdzie. Szkoda, że pan już odchodzi. Bardzo miłe gawędzi się z panem.

— Niestety. Obowiązki rodzinne. Siostra niedomaga.

— Współczuję i życzę polepszenia.

— Bardzo dziękuję.

W saloniku jednego z apartamentów hotelowych klubu „Miłośników wędki”, urządzonego w stylu norymberskiego średniowiecza, przy ciężkim dębowym stole zawalonym gazetami siedział profesor Max i major Hoszimura zatopieni w lekturze. Max nerwowo lustrując szpalty czasopism i odrzucając przeczytane numery na podłogę dymił cygarem jak komin torpedowca i pociągał ze szklaniczki reńskie „Liebfrauenmilch”, którego trzy smukłe niedopite butelki zdobiły przed nim siół. Major Hoszimura komentował się skromnie małymi czarkami gorącej wódki „sake”, przynoszonymi co pewien czas przez wydzwanianego z korytarza boya.

— Czego te reporterskie jołopy nie wypisują dla podniecenia ciekawości swej durnej publiki, — sapał z irytacją Max, — przecież, jak dotąd, we wszystkich sprawozdaniach z wypadków zaszłych w „Murphy’s Laboratory” nie ma nawet pięciu procent prawdy!

— To właśnie powinno radować serce pańskie, profesorze Max, — cichym głosem zaszemrał Hoszimura, — gdyż w przeciwnym razie mogłoby się w interesujących nas opisach znaleźć nieco szczegółów nie idących nam na rękę. Niemniej przeto nie jest wykluczone, że władze policyjne skrzętnie, sądząc z podanych przez prasę sprawozdań, zatajające przed nią wyniki własnego śledztwa, mogą już coś niecoś dla nas niepożądanego wiedzieć.

— No, to mnie pan pocieszył, do stu diabłów! — znów wybuchnął Max, mnąc przejrzaną gazetę, — w ogóle miła sytuacja!... Mało, że cały sztabowo a kunsztownie skonstruowany przez pana pomysł zdobycia A. R.-7 wziął w łeb z kretesem, ale jeszcze teraz spekuluj człowieku na wszystkie strony, czy cię capną, czy nie?

— W każdym razie może się pan pocieszać, że pada ofiarą

własnego narodowego wynalazku: wojny nerwów. A przecież, jak mówi poeta, słodko jest zginąć za ojczyznę.

— Ale lepiej jest żyć dla niej!... Nie rozumiem, czemu do tej pory nie ma ani Duala ani Wiszatronu? Czyżby ślepa Temida już zdążyła ich wymacać?

— Sam głupi! — zrewanżował się Maxowi wchodzący Dual, — tylko pić, defetyzować i tracić głowę! Oto zakres twojej działalności.

— Jeżeli piję, to za swoje...

— A jeżeli tracisz głowę, to własną!

— Ośmielę się wtrącić skromną uwagę, — pojednawczo zamruczał Hoszamura, — że jedna przegrana bitwa nie przesądza o wygraniu wojny.

— A cóż tu można wygrać, jeżeli całe A. R.-7 wzięli wszyscy diabli łącznie z wynalazcą. Chyba kilka lat ciężkich robót w Alcatraz.

— Może i kilka lat, ale w „Murphy’s Laboratory”. Tylko nie pod ferułą Big Bena, lecz idąc tymczasem na rękę naszym nowym sprzymierzeńcom.

— Przyznam się, że mój tępy umysł nie jest w stanie zrozumieć głębokiego sensu, jaki tkwi w na pewno wspaniałej nowej pańskiej koncepcji. Błagam o jej udostępnienie, — zaszemrał kwiecieście Hoszamura.

— Nowych sprzymierzeńców? — zdziwił się Max, — a któżby się chciał sprzymierzać z nami, bankrutami?

— Trust Miliarderów.

— Ależ to wrogowie, nie sprzymierzeńcy! — oponował Max, — też dybali na A. R. 7, wyłącznie dla siebie. I jeżeli teraz chcą nawiązać jakiś alians, to przecież tylko dlatego, by nas wyzyskać dla jakichś własnych celów, a potem wykwitować.

— Oczywiście. A po cóż się tworzy alianse? Naszym zaś zadaniem będzie, by ich wykwitować. A tymczasem sprzymierzmy się z nimi.

— Po co?

— Dla odtworzenia wynalazku nieboszczyka Murphy’ego. Przecież poszczególne ogniwa posiadamy w wynikach prac różnych laboratoriów. Chodzi o zmontowanie tego do kupy, co było istotą tajemnicy Big Bena.

— „Zbieraj skórki, będzie futro”, głosi przysłowie mojej ojczyzny, — zacytował Hoszamura, — pomysł i plan zaiste wspinały!

— Dobrze, dobrze, — nie ustępował Max, — ale to na razie

zamki na lodzie. „Murphy’s Laboratory” w drodze spadku należy do Stanleya.

— Dopóki Stanley nie będzie należał do lokatorów Alcatraz.

— Za co?

— Za ojcobójstwo. Za bezprawne zniszczenie A. R.-7. Za podpalenie magazynu. Sąd sobie już z tego repertuaru wybierze, co mu najbardziej przypadnie do gustu. Prasa od jutra już zacznie otwierać światu oczy na istotne podłoże wypadków jakie zaszły pamiętnego dnia na Telegraph Hill.

— Wina! — ryknął Max i jął dzwonić na boya, — dla mnie reńskie, dla majora „sake”, a dla ciebie, Kolumbie?

— Może być szampan, — zamówił Dual u boya, — dziś i ja pozwolę sobie na oblanie nowej zmiany frontu.

— Podziwiać należy błyskawiczność pańskiej taktyki, — komplementował Duala Hozimura.

— Blitzkrieg! Wojna błyskawiczna to nasza narodowa specjalność, majorze, — puszył się Max. — Swoją drogą, jakżeś ty to tak szybko zmajstrował? — spytał Duala.

— Po prostu. Funt szczęścia, łut rozumu, — ze skromną nonszalancją odparł Dual, — udała mi się rozmówka z Fletcherem. Przypuszczając, że zniknięcie Gladys jest koronkową robótką trustu M., doszedłem do wniosku, że Fletcher musiał w tym brać udział. Zbluffowałem faceta, dał się nabrać i od słowa do słowa dogadaliśmy się na całej linii. Teraz już tylko musimy opracować szczegóły. Zwłaszcza umiejętnie rozdzielić rolę, jak zeznawać na śledztwie i w sądzie.

— Poczekajmy na Wiszatron.

— Nie bardzo się rwę do współpracy z Wiszatron. Hindus małpuje Ghandiego. Test zbyt męczący i skrupulatny ze swymi ciągłymi zastrzeżeniami.

— Co pan myśli o nim, majorze Hozimura?

— „Gdy pies ęsia, to nie szczeka”, wyraził się lapidarnie o podobnym typie ludzi jeden z naszych sławnych poetów, — odparł Hozimura.

Niemcy ryknęli śmiechem. Boy wniósł baterię butelek.

Nazajutrz po katastrofie zaszłej na Telegraph Hill i przez przeciąg paru najbliższych dni na Stanleya spadł nawał spraw i obowiązków, których możliwości nawet nie przypuszczał. Cała machina „Murphy’s Laboratory” z chwilą zniknięcia jej pilota szła jakiś czas własnym rozpędem, lecz każdy dzień uj-

mował jej sprawności, śmierć zaś Murphy'ego jakby wrzuciła kamień pomiędzy koła i tryby tego precyzyjnego aparatu. Wszelkie spoidła jęły się rozprzęgać i grozić rozpadem.

Skonsternowani bezhołwami kierownicy laboratoriów, inżynierowie, dyrektorzy techniczni, intendenci, przełożeni biur i wybitniejsi laboranci naturalnym odruchem zwrócili się do Stanleya jako spadkobiercy zmarłego właściciela. Chcąc nie chcąc musiał zająć się choćby skleceniem doraźnego prowizorium, co mu pożerało całkowicie czas, nic nie pozostawiając dla spraw i przeżyć osobistych. Z początku ogarniała go kilkakrotnie nieprzeparta chęć rzucić wszystko na łaskę losu, wyrwać się z kołowrotu spraw, które go w gruncie rzeczy nic nie obchodziły i zająć się dramatem własnym i odszukaniem porwanej Gladys. Lecz zdając sobie równocześnie sprawę, że przynajmniej do czasu jako mimowolny kapitalista musi pozostać niewolnikiem i ofiarą własnego stanu posiadania, o ile nie chce jeszcze bardziej zagmatwać losu setek ludzi gospodarczo a przypadkowo uzależnionych od niego, — męczył się dalej.

Mozół tych prac przeplatały konferencje z Archbaldem i Darleyem, na których widać było, iż śledztwo kręci się w jakimś zaczarowanym kole bynajmniej nie osiągając konkretnych rezultatów zarówno co do wyjaśnienia śmierci profesora jak i zagadki zniknięcia Gladys.

Tak przynajmniej wydawało się Stanleyowi, gdy na skutek całodziennego umęczenia, nie będąc w stanie zasnąć, rozważał rezultaty tych konferencji. Nie mógł jednak oprzeć się wrażeniu, że ton i klimat rozmów stawał się ze strony czynników policyjnych coraz bardziej chłodniejszy i wstrzemięźliwszy. Prawie że zaprzestano mu udzielać jakichkolwiek informacji, zadawano natomiast coraz drobiazgowsze i dziwniejsze zapytania.

Któregoś dnia Stanley przeglądający zwykle podczas śniadania gazety nie znalazł na podręcznym stoliku ani jednego czasopisma.

Nie nazbyt wyspany i dlatego w złym humorze zwrócił cierpką uwagę Hannibalowi:

— Nie dość, że odżywasz mnie, mój Hannibalu, coraz nie-dbałej, ale widzę, żeś sobie od dziś postanowił pozbawiać mnie nawet duchowego pokarmu. Gdzie są gazety?

Hannibal zmieszał się, zawahał, a po chwili rzekł:

— Pozwoliłem sobie tak postąpić, mając jedynie na uwadze właśnie zdrowie pana. Wiele powag lekarskich twierdzi, że czytanie przy jedzeniu wpływa źle na trawienie...

- Za to ułatwia perystaltykę jelit. Przynies gazetę!
- Tak jest, sir, ale... tam dziś nie ma nic ciekawego.
- Pozostaw mi własny osąd i przynieś psiakrew, jak się mówi w Warszawie, na jednej nodze gazety — już!

Hannibal mimo, iż wprowadził w natychmiastowy ruch wszystkie swe nogi, przyniósł po dłuższej chwili zaledwie dwie gazety.

— Chcesz mnie leczyć homeopatią? Przynies resztę, jeżeli nie pragniesz zrobić ze mnie zabójcę!

— To nie ja, sir! To oni... — odruchowo wyjąkał Hannibal.

Stanley bez słowa zadzwonił. Wpadł boy.

— Przynies tu natychmiast z biblioteki wszystkie dzisiejsze gazety! Boy wybiegł i powrócił z całym naręczem. Stanley odsunął talerz i jął kolejno przeglądać pisma. W miarę jak odczytywał sensacyjne tytuły artykułów imputujących mu, wprowadzić nie wprost, lecz pod przejrzyistymi aluzjami ojcostwo, pożar w „Murphy’s Laboratory” i premedytacyjne zniszczenie genialnego wynalazku, — twarz mu tężała a szczęki drgały, jak gdyby gryzły jadowite oszczerstwa.

„Nie rozumiemy”, czytał: „karygodnej wprost opieszałości śledztwa, które będąc w posiadaniu, — jak nam dokładnie wiadomo — aż nadto przekonujących dowodów winy człowieka, którego antyspołeczna działalność tkwi jeszcze w świeżej pamięci mieszkańców naszego miasta, — mimo to nie wyciąga z posiadanych dowodów logicznych a obowiązujących wniosków”.

„Tak długo opinia społeczna ma czekać, aż odnośne organy władz zdecydują się łaskawie na sądowe ujawnienie tajemnicy ohydnej śmierci wielkiego luminarza naszej nauki?” — pisał inny organ:

„Kiedyż nareszcie cień geniusza unicestwionego podwójnie, bo i w najkapitałniejszym dziele swoim, znajdzie zadośćuczynienie w karze, która jak gdyby nie chciała spaść na winowajcę powstrzymywana przez kogo? I — w imię czego?” — grzmiało w następnej gazecie:

„Zbrodnia i kara” w arcydziele Dostojewskiego łączą się z sobą organicznie. Czemuż u nas nie dołącza się kary do zbrodni nad arcydziełem profesora Beniamina Murphy? Do zbrodni popełnionej przez syna nad ojcem!...” — pisał następny Katon.

Stanley nie czytał dalej. Zebrał w kupę plik gazet i dając go boyowi rzekł:

— Zanieś to do biura pana Fletchera i powiedz, że zaraz do niego zadzwonię. A tobie, moje Hannibalisko, dziękuję, żeś mi

pragnął oszczędzić ulania się zółci. Taka lektura przy jedzeniu istotnie nie wychodzi na zdrowie.

Przeszedłszy do siebie połączył się z Fletcherem.

— Panie sekretarzu, proszę założyć archiwum wycinków gazetowych, traktujących o wszystkich wypadkach u nas pamiętnego dnia i o zniknięciu miss Gladys. Dziś o czwartej pomówię z panem i z naszym doradcą prawnym.

Przed tym jednak Stanley znów został wezwany do prezydium policji na konferencję z szefem i koronerem, jak się okazało z polecenia gubernatora stanu, w kwestii pogrzebu ojca.

Zdziwionemu tą interwencją władz w sprawy zdawałoby się najosobistsze wyjaśniono, że ś. p. prof. Beniamin Murphy wszedł dzięki swemu geniuszowi w grono historycznych chlub U.S.A. i dlatego najwyższe sfery waszyngtońskie postanowiły złożyć jego Zwłoki w grobach najzasłużeńszych synów ojczyzny w Arlington, o czym w swoim czasie kraj i świat zostanie powiadomiony.

Z tych tedy względów („a może jeszcze i z innych, aktualnych...” jak wtrącił koroner) pogrzeb obecny należałoby uważać jako prowizoryczny, a więc pozbawiony cech ostentacji.

— Co już jest osobistą prośbą pod adresem pańskim Ze strony gubernatora, — zakończył szef policji.

Stanley przez dłuższą chwilę przeżuwał wzniosło-cierpki posmak całej powyższej deklaracji, nim rzekł:

— Przychyliam się do prośby pana gubernatora.

W trzy dni potem odbył się pogrzeb profesora Murphy omal incognito, gdyż oprócz Stanleya, Darleya i Hannibala orszak żałobny składał się jeszcze z dwu nieznanym dżentelmenów jako delegatów władz.

Prasa została zawiadomiona po fakcie.

TRANSPLANTACJA ORCHIDEI.

— Odwiń chorej głowę, bo się nam jeszcze pacjentka zadusi.

— Całe szczęście, że już dojeżdżamy do zakładu.

Słowa te jak przez mgłę doszły do świadomości Gładys. Szal spowijający jej głowę rozchylił się i dopływ świeżego powietrza oprzytomnił ją całkowicie. Usiłowała odzyskać swobodę ruchów, by wstać, lecz gruby ciężki pled spowijał ją szczelnie jak mumię.

— Niechże chora leży spokojnie, zaraz będziemy w domu, — dał się znów słyszeć jeden z głosów.

Miękkie kołysanie świadczyło, że ją wiozą. Ale dokąd? I kto są ci ludzie, których głosy słyszy? Nagle uprzytomniła sobie wszystko. Weszła do windy, gdzie zarzucono jej przesycony jakimś dusznym zapachem szal na głowę. Próbowwała się bronić. Obezwładniono ją. Zemdlała. A teraz?.. Wiozą ją porwaną! Jak profesora!! Ci sami bandyci!... Nagle kołysanie ustało. Zatrzymano się. Znow usiłowała wstać.

— Prosię mnie natychmiast odwinąć i uwolnić, bo będę wołała o ratunek!

— Nie robić awantur, bo zamotamy główkę jeszcze lepiej !

— A niech woła. Bierz z drugiej strony. Wynośmy. Chodźcież chłopcy nam pomóc! — komenderował drugi głos.

Nosze, na których leżała, jęły się wysuwać z auta. Poczuela, że ją niosą.

— Uważajcie z obu boków, bo się szamocze i spadnie.

Poprzez szal zobaczyła blaski lamp. Drzwi. Korytarz. Znow drzwi. Pokój.

— Dostarczyliśmy, proszę pani, chorą. Dzięki Bogu, bez wypadku.

— W porządku. Możecie odejść.

— Dla pewności może pomóc, bo się w drodze wyrwała.

— Nie trzeba. Dam sobie radę sama.

— No, to chodźmy chłopcy.

Gdy za „chłopcami” zamknęły się drzwi, jakieś wprawne ręce poczęły odwijać szal a potem pled.

Odzyskawszy swobodę ruchów Gladys usiadła. Stojąca opodal rosła kobieta w kitlu pielęgniarki patrzyła na nią z przyjaznym uśmiechem.

— Bardzo panią ci niezgrabiasze potarmosili? Jeżeli pani może już wstać, to przejdziemy z poczekalni do pokoju przeznaczonego dla pani.

— Nie chcę przechodzić do żadnego „przeznaczonego dla mnie pokoju”. Pragnę natychmiast stąd wyjść. Proszę mnie nie zatrzymywać! — I Gladys zerwała się z noszy, lecz opadła na nie z powrotem.

— A co? Byłam tego pewna, że panią zmordują. A prosiłam jak ludzi: ostrożnie się obchodzić z tą chorą, bo jest słabego zdrowia.

— To jakaś mistyfikacja! Ja bynajmniej nie jestem żadną „chorą”. Wogóle proszę mi powiedzieć, gdzie ja jestem?

— Ano, jakby tu powiedzieć, żeby panią znow nie zdenerwować?.. Test pani w zakładzie dla nerwowo chorych.

— W szpitalu wariatów?!

— W jakim „szpitalu wariatów”? Dopytuje się pani, a jak odpowiedzieć normalną prawdę, to pani zaraz z igły robi widły. Czy już to samo nie dowodzi, że pani jest nerwowo chora i że stan pani wymaga leczenia? Niechże się pani spokojnie zastanowi nad tym, co powiedziałam, a przyzna mi pani sama rację. Taka śliczna kobieta powinna przecież dbać o swoje zdrowie.

— Raz jeszcze powtarzam pani, że to mistyfikacja! Rozumie pani?

— Nie bardzo. Nie słyszałam o takiej chorobie, choć się obracam pomiędzy lekarzami ładne dwadzieścia lat.

— Więc może pani to zrozumie, że porwano mnie i przywieziono tutaj siłą!

— W większości wypadków posługacze nasi muszą używać siły, bo sami chorzy wcale się do nas nie rwą.

— Nie należę do kategorii waszych chorych. Padłam ofiarą, podłego podstępu i zbrodniczej intrygi, jaką uknuto przeciwko profesorowi Benjaminowi Murphy, którego również parę dni temu porwano.

— U nas takiego nie ma.

„U nas”. Więc to nie oni? Albo kłamią... Trzeba ostrożnie... — filmem przesunęło się przez mózg Gladys.

— Ale przecież musiała pani o tym czytać w gazetach, — zaczęła znów indagację.

— Albo to ja mam czas czytać gazety? Mało to ja mam roboty od rana do wieczora? Znałam kiedyś jednego Murphy’ego, ale to nie był żaden profesor, tylko fryzjer.

Gladys czuła, że cierpliwość jej jest już na schyłku. Ale równocześnie zdawała sobie sprawę z tego, że kamienną tępotę pielęgniarki mógłby przebić tylko jakiś wyjątkowo celny a chłodny argument. Przypomniał się jej też zasłyszany gdzieś aforyzm, że jednym z najtrudniejszych zadań dla człowieka normalnego jest dowieść, iż nie jest wariatem, gdy go o to podejrzewają. To też po namyśle zaczęła z innej strony.

— Słyszała pani, co to jest A. R. 7 ?

— Numer samochodu czy aeroplanu? Może jaka ulica w New-Jorku?

— Nie. A. R. 7 to znaczy atom-robot.

— Siedem. Atom-robot. Nic nie rozumiem.

— Jest to wynalazek profesora Murphy’ego, który mu chcą ukraść.

— Aha. Tak. Czego to nie kradną? Złodziej dziś nie wybredza.

— By zdobyć tajemnicę wynalazku porwano przed paru dniami profesora Murphy’ego.

— Co innego chcieli ukraść, a kogo innego porwali. Tak—tak. Zaczynam panią rozumieć.

— A teraz porwano mnie, powiernicę profesora.

— Teraz panią. Tak—tak. Ale niech się pani nie martwi. Wszystko będzie dobrze. Pobędzie pani u nas jakiś czas i sprawa się wyjaśni.

Cierpliwość Gladys pękła. Zerwała się z noszy i pobiegła ku drzwiom. Pielęgniarka wstrzymała ją w pół drogi.

— Dokąd? Po co? Znów?

— Proszę mnie puścić! Musi tu być jakaś dykcja! Z panią nie podobna mówić!

— Ejże? No, spokojnie, bo zawołam ludzi i w kaftanik ubiorą. Uspokoić się. Już!

W żelaznych rękach pielęgniarki prowadzącej ją do krzesła Gladys załamała się. Bezwolnie usiadła i przymknęła oczy, z których stoczyły się dwie ciężkie, rozpaczliwe łzy.

— I płakać nie trzeba. A jak jutro przyjdzie profesor Lurie-Malliot...

— Kto przyjdzie?!

— Przecież mówię: profesor Lurie-Malliot. Ten, na którego zlecenie przywieziono panią tutaj.

Błyskawica radosnej nadziei ozłociła rozpaczliwy mrok.

— Jutro?

— Jutro. A teraz chodźmy do pani pokoju.

— Dobrze.

Pokój do którego wprowadziła Gladys kobieta w kitlu był właściwie niewielką szpitalną separatką. Okno zabezpieczone grubą drucianą siatką wpuszczoną w mur miało matowe szyby. Żelazne na biało lakierowane łóżko, nocny stolik, także stół o nogach wpuszczonych w podłogę, dwa krzesła, muszla do mycia w ścianie i mała szafka na rzeczy składały się na jego umeblowanie. Oświetlała go matowa żarówka w suficie. Całość zrobiła na Gladys wrażenie przygnębiające.

— Ależ to cela więzienna... — westchnęła.

— Eee, widać, że pani nie widziała jeszcze prawdziwego więzienia, — pocieszyła ją posługaczka, — zresztą niektórzy pensjonarze nasi, a nie brak pośród nich dżentelmenów z prawdziwie salonowego towarzystwa, kontentują się gorszymi.

— Duszno w tej klatce...

— Puszczę wentylator i przyniosę pani coś do zjedzenia.

— Może i do czytania?

— Dobrze.

Posługaczka zapukała do drzwi nie posiadających klamki. Po chwili w otworze uchylonego judasza ukazało się czyjeś oko i drzwi otworzyły się. Kobieta wyszła. Zostawszy sama Gladys osunęła się na krzesło i nadaremnie usiłowała skupić myśli. Wszystko to, co się z nią stało, było tak niesamowite, że przypominało raczej jakiś kryminalny film. Uspokajała ją nieco myśl o profesorze Lurie - Malliot, lecz nie mogła sobie wytłumaczyć, czemu profesor w ten sposób z nią postąpił?

Kobieta wróciła niosąc na tacy szklankę herbaty, jakiś posiłek i gruby tom. Gladys otworzyła książkę. Była to Biblia.

— Prosiłam o coś do czytania.

- Innych książek nie mamy.
- Może są gazety?
- Przepisy nie pozwalają na dawanie gazet pensjonarzom.
- Przecież ja nie należę do waszych pensjonarzy.
- Tak to nie? A po cóż by profesor polecił tu panią przywieźć? Na kurację.
- Myli się pani.
- Czy ja się myślę, to się okaże, jak profesor jutro przyjdzie. Niech pani tymczasem podje sobie. Po zabranie naczyń trzeba zapukać do drzwi. Jak w ogóle po wszystko, na co by pani miała życzenie. Oczywiście w ramach przepisów.
- Jak zgasić lampę na noc?
- U nas światła na noc przepisowo się nie gasi.
- Ależ to okropne! Ja nie zasnę przy świetle!
- Powiem w dyrekcji. Może pozwolą zgasić. Zapuka pani do drzwi przed położeniem się. Dobranoc.
- A kiedy jutro przyjadzie profesor?
- Bo ja wiem. Może rano, może wieczorem. Bądź pani zdrowa.

Zostawszy sama Gladys popiła nieco lichej herbaty, lecz nie była w stanie nic przelknąć. Spróbowała czytać Biblię, jednak wkrótce osłabienie fizyczne wzięło górę. Ledwie doszedłszy do łóżka padła nań w ubraniu i momentalnie zasnęła ciężkim kamieniem snem.

Obudziło ją potrząsanie. Zerwała się rozglądając na w pół-przytomnie. Nad nią stała kobieta w kitlu gderając:

— Co pani wyrabia? jakże tak można przespać całą noc w ubraniu? I pani mówi, że jest normalna. Profesor przyjechał. Trzeba się jakoś doprowadzić do porządku. Przyniosłam mydło, ręcznik, grzebień i lusterko.

— Niech pani wyjdzie. Za dziesięć minut będę gotowa. Zapukam.

Kobieta zabrała tacę i wyszła. Krzątając się koło swej toalety Gladys ze zdumieniem uświadomiła sobie, że nigdy w swych sypialnianych puchach nie spała tak twardo, jak na tym szpitalnym łóżku, w ubraniu.

Zapukała do drzwi i stanęła w trwożnym oczekiwaniu. Po dłuższej chwili na progu ukazał się szczupły, siwy, wysoki starszy pan o ściągłej twarzy i uśmiechniętym spojrzeniu spoza złotych okularów. Podszedł do Gladys. Drzwi cicho zamknęły się za nim.

— jestem Lurie-Malliot, — wyciągnął do niej rękę, — przyjaciel ojca pani. Przypomina mnie pani sobie?

— O tak. Poznałam pana od razu. Z fotografii na ilustracji.

— Bo ja panią też poznałem, ale to było dawno. Była pani jeszcze dzieckiem.

— Tego sobie doprawdy nie przypominam. W każdym razie proszę mi darować nieco dziwne warunki otoczenia, w jakich spotykamy się teraz, — mówił profesor niskim melodyjnym głosem, który bardzo ujął Gladys, — może usiądziemy, bym pani mógł wytłumaczyć się z motywów mego postępowania.

— Ależ oczywiście. Przepraszam, że sama tego nie zaproponowała. Nie czuję się tu u siebie. Uważam raczej, że jestem u pana, — tłumaczyła się Gladys, by zatuszować swą niezręczność, a nie zdając sobie sprawy, że słowa jej mogły w uszach profesora brzmieć nieco ironicznie.

Gdy usiedli, Lurie-Malliot przez pewien czas milcząco wpatrywał się w Gladys swymi uśmiechniętymi oczami, aż poczuła lekkie zażenowanie.

— Daruje pani, — rzekł wreszcie, — moje zakłopotanie, lecz po prostu szukam słów, by odpowiednio wyrazić to, o czym myślę. Jestem przytym mimo swój dojrzały wiek po prostu olśniony urodą pani, co też rozprasza nieco należny tok moich myśli.

— Bardzo mi miło panie profesorze, że w takiej powadze naukowej jak pan spotykam tyle humoru, — próbowała Gladys ukryć w żarcie swoje coraz bardziej rosnące zażenowanie.

Profesor spostrzegł się widocznie i melodia jego głosu momentalnie przeszła w tonację poważniejszą.

— W każdym razie wierzę, że pani daruje mi ten, przyznam się, brutalny chwyt do którego byłem zmuszony uciec się, by doprowadzić do obecnej rozmowy. Od chwili porwania profesora, gdy śledztwo wykazało, iż to jakoby na skutek mojej depeszy profesor Murphy pojechał do Stockton, by wpaść w zastawione na niego sidła, czułem się w obowiązku porozumieć z panią, jako jego najbliższą osobą i prawie córką... bo syn Stanley, o ile wiem, jest w złych stosunkach z ojcem.

— Profesor Murphy spodziewał się, że może... zniknąć w związku z A. R. 7, — ominęła Gladys uwagę o Stanleyu.

— O, właśnie! To nieszczęsne A. R.-7.

— I dał mi polecenie, bym w razie czegoś podobnego skomunikowała się przede wszystkim z panem i wręczyła mu dokumenty o wynalazku. Staralam się o połączenie. Dlaczego pan nie opowiadał?

— Dla bardzo prostego powodu. Bałem się podsłuchu

- Przecież nikt nie mógł wiedzieć, że depesza dotyczy pana.
- Ale mogli się domyśleć. Ci, którzy dybią na wynalazek, to bardzo przebiegli ludzie.
- Może pan ma i rację. A myśmy ze Stanleyem przez parę dni z rządu alarmowali pana o wyznaczonej godzinie na próżno.
- To i Stanley Murphy jest wtajemniczony?
- Przeze mnie. Ale już po porwaniu profesora. Uważałam, że tak należało zrobić.
- Oczywiście. Więc teraz pani rozumie powód mego postępowania. Obawiając się telekomunikacyjnego porozumienia jako niebezpiecznego, a pojmując konieczność bezpośredniego kontaktu z panią, musiałem po głębszym namyśle zdecydować się na taki jak obecnie sposób załatwienia sprawy.
- I kazał pan mnie tu przywieźć jako chorą umysłowo? Groteskowy sposób.
- Wierzyłem, że mi pani wybaczy. I proszę teraz o to.
- Oczywiście, że wybaczam. Chociaż w chwili, gdy zobowiązywałam się przed profesorem do wypełnienia mego posłannictwa co do A. R.-7, nie przypuszczałam, że jednym z etapów mego zadania będzie szpital wariatów.
- Tedy jeszcze raz błagam o przebaczenie... Z uroczego uśmiechu pani widzę, że możemy przejść do celu naszego spotkania. Tedy — słucham.
- Cała sprawa jest prosta i krótka... — podjęła Gladys, lecz nagle przerwała sama sobie rozglądając się podejrzliwie po pokoju, — a czy tu przypadkiem nie ma podsłuchu?
- Przypuszcza pani, iż psychiatrzy do tego stopnia interesują się bredzeniem wariatów, że aż ich podsłuchują? — z komiczną powagą odparł Lurie - Malliot.
- Ma pan słuszność. Niemądra jestem. Jakież to jednak paradoksalne, że cela takiego zakładu jest w gruncie rzeczy najpewniejszym miejscem, gdzie można głośno mówić o wszelkich tajemnicach bez obawy, by ktoś nawet słysząc brał je na serio. Teraz dopiero w zupełności oceniam przezorność pomysłu pana profesora.
- Uprzejmość pani doprawdy zawstydza mnie! — i Lurie - Malliot w podzięcie skłonił głowę, — dialogujmy więc jak para osób... nienormalnych.
- Tym bardziej, że i temat trudno zaliczyć do zwykłych. Więc dokumenty dotyczące A. R. 7. znajdują się w „kabinie pilota”...

— Przepraszam, że przerywam. Gdzie?

Zaskoczyło to Gladys.

— Czy profesor Murphy w rozmowach z panem nigdy nie nazwał swej głównej pracowni „kabiny pilota?”

— Przyznam się, że tego sobie nie przypominam. Rozmowy moje z Beniaminem nie dotyczyły zazwyczaj spraw okolicznościowych. Raczej obracały się one w orbicie tematów ściśle naukowych. Chociaż przyjaźniliśmy się bardzo...

— O tak. Mówił mi profesor i tak zrozumiałam, że było to wspaniałe obcowanie ludzi wielkich idei! Przyjaźń dwóch szczytowych luminarzy wiedzy...

— Zaiste nie wiem, jak mam dziękować za tak piękne słowa z tak pięknych ust! — melodyjny głos profesora znowu wkroczył w aksamitne tonacje, lecz przezornie cofnął się w poprzedni rejestr wobec nazbyt już łęklivego zażenowania się Gladys, — wróćmy jednak do „kabiny pilota”. Zatem dokumenty tam są ukryte. Ale jak je teraz stamtąd wydobyć?

— Po prostu. Jedźmy do „Murphy’s Laboratory” i ja je tam panu wręcę.

— To nie jest takie proste...

— Nie rozumiem dlaczego?

— Bo „Murphy’s Laboratory” musi być teraz pod wielką obserwacją tych, którzy nawet nie zawahali się porwać samego Beniamina, byleby posiadać jego tajemnicę. Z chwilą więc gdyby tam zobaczyli panią albo mnie, nie tylko dozorowaliby każdy nasz krok, ale w razie podejrzenia nie cofnęliby się przed niczym, byleby nas... unieszkodliwić. Rozumie pani?

— Więc jak zrobić?

— Myślę nad tym... Proszę powiedzieć dokładnie, gdzie są papiery?

— W biurku, w obwolucie.

— W której szufladzie?

— W skrytce.

— Jak się do niej dostać?

— Na biurku z prawej strony stoi przycisk. Pies z brązu, służący na dwóch łapkach. Należy mu odkręcić łebek o 360 stopni i skrytka się otworzy. Dokładnie — o 360.

— W porządku... Już wiem! Trzeba będzie sfingować włamanie. Na którym piętrze znajduje się kabina?

— Na jedenastym, ale włamać się do niej nie podobna. Stalowe zasuwane drzwi są pod prądem.

- Jak przerwać prąd?
- Nie wiem. O tym wie tylko profesor i Hannibal murzyn—kamerdyner.
- Taak... To sprawę gmatwa. Pomyślę nad tym, a tymczasem daruje pani, lecz pora na mnie. — Profesor wstał.
- A ja?
- Pani musi tu tymczasem zostać.
- Ależ to okropne! W tej celi?! Dlaczego?
- Na razie nie widzę innego wyjścia. Musimy się oboje poświęcić dla dzieła Beniamina. Pani tu. Ja tam.
- Zaraz. Mam myśl. Że mi to od razu do głowy nie przyszło! Przecież Stanley może panu wręczyć obwolutę. Wtajemniczyłam go we wszystko.
- Słusznie. Lecz też nie mogę pójść do niego osobiście. Trzeba działać z ukrycia ze względu na ów przeklęty nadzór. Ale jakoś się to zrobi. Zatem do widzenia.
- Ze Stanleyem załatwi pan szybko. Bo ja jeżeli tu dłużej pobędę, to mogę naprawdę zostać... nerwowo chorą.
- Postaram się załatwić wszystko jak najprędzej, ale nie wcześniej niż w ciągu 2 — 3 dni.
- Okropność! Niech mi przynajmniej pozwolą wyjść na spacer.
- Nikt tu pani nie powinien widzieć. Sprawa tego wymaga.
- No to proszę o jak najwięcej lektury.
- Dołożę wszelkich starań. Raz jeszcze do widzenia.
- I profesor znikł. Po upływie godziny kobieta w kitlu przyniosła Gladys kilka książek i. śniadanie.
- Ale pani ma fory, no-no! — rzekła kładąc książki.
- A gazety?
- U nas nie ma żadnych gazet.
- Proszę natychmiast posłać po gazety!
- Znow się zaczynają awantury? Czy mam i książki zabrać?
- Gladys zamilkła czując, że nie przełamie jej uporu.
- I zaczęły płynąć długie godziny za godzinami, aż wreszcie jakoś minął dzień pierwszy. W nocy spała źle. Dręczyły ją upiorne, koszarne sny. Wstała bardzo osłabiona. Ślaniała się po celi. Próbowwała czytać. Zaczynał ją ogarniać coraz większy niepokój. Na próżno mówiła sobie: jeszcze dzień — dwa i skończy się koszmar więzienny. Wreszcie — znowu noc, lecz jeszcze gorsza niż poprzednia. Ranek przyniósł nieco ulgi, lecz pozostała w łóżku drzemiąc.

Na obiad przyniesiono jej bulion, który posługaczka wprost wmusiła w nią. Wypiwszy zapadła w kamienny sen.

Obudził ją dotkliwy chłód. Otworzywszy oczy była pewną że śni. Siedziała na ławce w parku. Była noc. Poprzez drzewa przesączał się różaniec latarni ulicznych. Koło ławki przechodził jakiś starszy jegomość.

— Przepraszam pana. Gdzie ja właściwie jestem?

— W Golden Gate Parku. Zbłądziła pani po nocy?

— Nie wiem. Nic nie wiem. Czy mógłby mnie pan podprowadzić do najbliższego patrolmana lub do taksówki? Jestem bardzo osłabiona.

— Gdzie pani mieszka?

— Na Telegraph Hill. W „Murphys Laboratory”.

— Na Neptuna! Czyżby miss Gladys O’Connor? Nie. Na ilustracji widziałem inną twarz.

— Jednakże ja jestem Gladys O’Con,nor.

— To się pani bardzo zmieniła po porwaniu. Ale na awan-
taż. Policja całego Frisco szuka pani jak szpilki. Pomogę pani wstać. Odwiozę panią do domu i wystrychniemy wszystkie policyjne jamniki na dudków!

MOBILIZACJA

Heroiczne postanowienie podjęcia otwartej walki z Molochem opinii a właściwie z jego kapłanami z ukrycia poruszającymi paszczy Molocha — sensacyjny prasy — nasuwało Stanleyowi jako nieodzowny warunek pozbycie się całego balastu zajęć związanych z zarządzaniem „Murphy’s Laboratory”.

— Muszę mieć zupełnie wolne ręce i maksimum rozporządzalnego czasu, — rozumował, — by w tej amerykańskiej walce „chwytaj jak możesz”, skrócić kark hydrze! Przede wszystkim więc trzeba w jakieś pewne ręce zdać nadzór nad zakładami ojca. Ale komu?... Oczywiście byłoby najlepiej skontaktować się z Lurie-Malliotem, bądź Owenem albo z Rellingtonem. Ale gdzie ich szukać po szerokim świecie?

Nagle błysnęła mu zbawcza myśl: Tadeusz Kania! W nawałce wypadków ostatniej dekady zapomniał o porażonym przyjacielu. Pospieszył naprawić mimowolny opieszałość.

W szpitalu zakładowym doznał wręcz przeciwnego przyjęcia niż poprzednio. Może przyczynił się do tego fakt, iż tym razem wkraczał tu jako patron, w każdym razie naczelny lekarz przyjął go kordialnie i na zapytanie o Kani odpowiedział radośnie:

— Mister Kania omal że zupełnie przekreślił wszelkie obawy, jakie żywiła medycyna odnośnie do jego przypadku. Ze stanu bardzo groźnego przeszedł bezpośrednio do rekonwalescencji.

— Chodźmy tedy do niego, bo mi wstyd, że tak długo nie odwiedzałem przyjaciela. Proszę o łaskawe wskazanie mi drogi.

— Hallo, Taddy! — przywitał chorego Stanley, — jakże się masz, stary?

— Wcale — wcale! — odparł Kania, — i gdyby nie to, że jeszcze nie bardzo mogę tańczyć, dawno bym już chodził po laborce.

— Pacjentowi pozostała jeszcze pewna niedomoga dolnych kończyn, — wyjaśnił sytuację eskulap.

— No to bodziesz jeździł w wózku jak nieboszczyk prezydent Roosevelt, ale muszę cię stąd zabrać i to jak najprędzej. Jesteś mi nieodzownie potrzebny. Doktorze, kiedy przysłać lektkę po mister Kania? Sprawa istotnie ważka.

Doktór spoważniał profesjonalnie.

— Najwcześniej za trzy dni, — orzekł po gruntownym namyśle.

— Nie mogę. Jutro.

— Nie ręczę.

— Czemu ci się tak pali? Dopiero co miałeś pożar. Przepraszam... — przypomniał sobie Kania o śmierci Murphy'ego.

— Ja też przepraszam, że pożegniam panów, lecz obowiązki... — zaznaczył swe poczucie dyskrecji lekarz i wycofał się z pokoju.

— Mądry lekarz, że się wyniósł, — rzekł Stanley, — uważasz, stary, robie cię generalnym dyrektorem „Murphy's Laboratory”. Nie przerywaj. Wszystko ci zaraz wytłumaczę. Otóż...

I długo trwała cicha rodaków rozmowa. W rezultacie ustalono, że Kania zamieszka u Stanleya i obejmie ogólny nadzór nad zakładami.

Zwaliwszy kłopot z głowy Stanley podążył do biurowego gabinetu ojca. Zastał w poczekalni pokaźny zespół interesantów, wśród których spostrzegł Darleya.

— Proszę ze mną, mister Darley. Ma pan co nowego? — spytał, gdy weszli do gabinetu.

— Coś niecoś, — odparł Darley zezując w stronę stenotypistki.

— Miss Annabel, — zwrócił się do niej Stanley, — proszę powiadomić oczekujących, że dziś przyjmować nikogo nie będę. Zaczeka pani potem na Fletchera i gdy zadzwonię, wróci pani tu z nim razem. Co mi pan ma do powiedzenia? — spytał Darleya po wyjściu miss Annabel.

— Rzecz sama przez się może i nie jest jajkiem Kolumba, — zastrzegął się jak zwykle skromnie Darley, — w każdym razie rzuca pewne światło na zniknięcie miss Gladys O'Connor...

— A nie gładź że człowieku, tylko wał od razu!.. — z nie-

cierpliwością zawołał Stanley, — co wiesz? Mów w trzech słowach.

— Putta angażował Bob.

— Co się stało? Nic nie rozumiem.

— Chciał pan w trzech słowach, więc powiedziałem.

— Kto jest Putt?

— Windziarz, który zwoził miss Gladys i zniknął wraz z nią.

— A kto jest Bob?

— Bob to jest Robert Gwyn siostrzeniec naszego Fletchera, któremu widocznie wuj polecił zaangażować Putta, by nie ściągnąć na siebie podejrzeń. Bo to było tak. Dzień przed porwaniem miss Gladys murzyn od windy F. Napoleon Washington zachorował nagle z oznakami zatrucia. W kilka godzin potem zjawił się Putt z papierami, które się okazały podrobione, i został przyjęty do windy przez Boba. A Fletcher właśnie gdzieś na ten czas wyszedł.

— Taaak... Koronkowa robota.

— Nie można powiedzieć, że nie.

— W każdym razie jednego drańcia mamy na oku. Polecam go pańskiej opiece.

— Już go spod niej nie wypuszczę. To na razie wszystko.

— Jeżeli Fletcher jest w poczekalni, nich go pan tu da.

Po chwili do gabinetu wkroczył Fletcher a wraz z nim mister F. Pringle, długoletni doradca prawny profesora Murphy, jeden z dwóch szefów poważnej kancelarii adwokackiej p. f. „Pringle and Babcock”.

— Doskonale się składa mister Pringle, że pan mógł przyjść, bo mam właśnie do omówienia z panem sprawę fachowego generalnego dyrektora dla „Murphy’s Laboratory”.

— Czy mógłbym w tej materii powiedzieć parę słów? — wtrącił się nagle Fletcher.

— Słucham pańskich słów, — odparł Stanley.

— Przypuszczając, że pan, miast męczyć się sam, zechce mieć fachowca, rozglądałem się w tej mierze. I oto co za zbieg okoliczności! Trafia się wyjątkowa okazja, jeden z dyrektorów zakładów w Hanford, z powodu tarć personalnych rezygnuje ze swego stanowiska. Można by go więc pozyskać. Fachowiec pierwszorzędny...

— Od bomb atomowych?

— Między innymi... tak.

— Ha! Ten by dopiero nam zmaistrował bombę atomową z A. R. 7, gdyby jeszcze istniał wynalazek ojca, co? — i w tej

chwili Stanley spostrzegł się, że nazbyt odkrył swe karty przed Fletcherem, więc zaczął odrabiać nieostrożność, — żałuję bardzo, że nie mogę, niestety, skorzystać z takiej świetnej okazji, lecz zrobiłem już wybór. Pozostaje tylko, mister Pringle, załatwić formalności prawne.

— Wolno spytać na kogo padł pański wybór? — nie wytrzymał Fletcher.

— Dyrektorem generalnym „Murphy’s Laboratory” jest od dzisiaj mister Tadeusz Kania.

— Kania?! Ale ten młody człowiek jest..

— fachowcem, jak na moją chciwość, wystarczającym.

— Możliwe, ale on leży!

— Ty też teraz leżysz, — pomyślał Stanley, a głośno rzekł,— ale od jutra już będzie funkcjonował. Może siedząc, ale będzie.

Fletcher zaciął usta.

— Oczywiście stanie się wszystko zgodnie z pańskim życzeniem, — rzekł po chwili, — jednakże na podstawie mej wieloletniej pracy w „Murphy’s Laboratory”, gdzie znam, mogę śmiało twierdzić, każde kółko w jego skomplikowanej maszynierii, pozwoliłbym sobie zwrócić uwagę...

— Zamiast kunsztownie zawilej przedmowy, — przerwał mu Stanley, — wal pan po prostu, panie generalny sekretarzu, co panu się nie podoba w mej decyzji, by Kania zarządzał tym całym interesem.

— Obiekcje moje nie są bynajmniej natury osobistej. Raczej — zasadniczej. Obawiam się, mianowicie, czy mister Kania podoła zadaniu. Primo — jest chory uległszy ciężkiemu wypadkowi....

— ... na niebezpiecznym posterunku w służbie naszej instytucji. Zresztą jutro już będzie zdrow.

— Secundo — jest to młody laborant bez żadnego autorytetu...

— ... Kto ma władzę ten zdobywa i autorytet.

— Wątpię, czy go zdobędzie wobec poważnych uczonych, którzy pracują u nas.

— Mówi pan jak dziecko. Toż dziś byle dureń, skoro się dorwie do władzy, zmusza do posłuchu najpoważniejszych ludzi.

— Lecz gdy dureń rządzi, całość na tym cierpi.

— Proszę mnie nie łąpać za słówka! Bynajmniej nie uważam Kanię za durnia! Wprost przeciwnie. Zresztą, przyjmuję do wiadomości pańskie zastrzeżenia, ale sprawa jest przesądzona.

Skończmy z tym raz i nie marnujmy drogiego czasu naszemu doradcy prawnemu. Nieprawdaż, mister Pringle?

— Istotnie na nadmiar wolnego czasu uskarżać się nie mogę, — odparł Pringle.

— Zatem nie zatrzymuję pana, panie sekretarzu.

— Mój czas jest cały do dyspozycji pańskiej.

— Dziękuję. Do widzenia.

Po wyjściu Fletchera Pringle dyplomatycznie zauważył.

— Widzę, że bytność pana w wojsku nie przeszła bez śladu.

— Zależy względem kogo. Fletcherowi lekkie przeszkolenie nie zawadzi. Pal licha zresztą tego szczura.

— Szczury to szkodliwe stworzenia.

— Bardzo mi miło, że się rozumiemy. Przechodząc do rzeczy, pozwoliłem sobie poprosić pana na poradę w najważniejszej dla mnie obecnie sprawie. Wiem, że ojciec mój darzył pana wielkim zaufaniem, co mówi samo za siebie. Chciałbym, żeby taki sam stosunek zaistniał między nami.

— Pan już daje tego dowód. Proszę wierzyć, że nie zostanę dłużny.

— Dziękuję. Więc chciałbym przede wszystkim zapytać, co pan sądzi o nagłym od wczoraj ujadaniu na mnie większości brukowej prasy?

— Normalna nagonka, — lakonicznie zaopiniował Pringle.

— Aha. A jakby mi pan radził wziąć się do kija na te pieski?

— Kij ma dwa końce.

— To znaczy?

— Używać kija należy tylko do podpierania się nim w potrzebie.

— A poza tym co robić?

— Czekać.

— A ja myślałem, że z pańską pomocą wytoczy się im proces.

— Jeden? Trzeba by kilkanaście. Nie możliwe. Przynajmniej dla mnie.

— Toż kancelaria „Pringle and Babcock” dysponuje takim aparatem prawniczym.

— Nie chciałbym, by mi rozbito ów aparat w drobny mak.,

— Więc pan umywa ręce?

— Bynajmniej. Będę pana bronił, gdy mu wytoczą proces.

— O co? O ojcobójstwo, czy o porwanie Gładys?

— Tacy głupi oni nie są. Proces będzie o zniszczenie A. R. 7.

— Żartuje pan. Któż go wytoczy? Prasa?

- Prokurator.
- Na jakiej podstawie?
- Nie miał pan prawa zniszczyć wynalazku, zwłaszcza, że jeszcze wtedy nie należał do pana.
- Lecz obecnie do mnie należałby.
- I w takim wypadku nie miałby pan prawa.
- Nie rozumiem dlaczego?
- Wytłumaczę to panu przykładowo. Gdyby ojciec pański był geniuszem artystycznym i stworzył arcydzieło literackie czy muzyczne, miałby pan prawo jako spadkobierca korzystać z wpływów, jakiego ono przynosiło. Ale zniszczyć je nie miałby pan prawa. Benjamin Murphy geniusz wynalazczy stworzył arcydzieło A. R. 7. na użytek ludzkości. Ergo — reszta jak wyżej, — skrócił tyradę mister Pringle nienawykły do demonstrowania swego krasomównstwa nie przed sądem.
- Ja zaś jestem przeciwnego zdania i na uzasadnienie mego poglądu mam nieodparte argumenty.
- jako prawnik stwierdzam, że nie ma argumentów nieodpartych. Zresztą w sądzie jako pański obrońca będę pańskiego zdania i zastosuję pańskie argumenty. Tutaj mówię, jak sprawa wygląda? jurydycznie.
- Więc uważa pan, że mogę przegrać? Toż nie byłoby wówczas sprawiedliwości na świecie!
- A kto panu powiedział, że pojęcie prawa pokrywa się z pojęciem sprawiedliwości? Toteż najsprawiedliwszą sprawę można przegrać i — odwrotnie.
- W każdym razie choćbym padł w sądzie, wygram w opinii świata.
- Tym razem dobrze pan powiedział, bo w sądzie sprawa będzie bardzo trudna.
- Taką wagę pan przykłada do prawnego punktu widzenia, który mi pan wyłuszczył.
- Żeby tylko. Są inne okoliczności obciążające sprawę.
- jakie inne?
- Właściwie jedna, ale starczy za wszystkie. Stoi pan na drodze Trustu Miliarderów.
- ja? Pierwszy raz słyszę. A czegoż oni chcą od mnie?
- Posiadania A. R. 7.
- Kiedy go już nie ma.
- Właśnie. A mimo to nagonka na pana to robota Trustu. Trust obecnie to największa potęga świata poza Sowietami.
- A Stany Zjednoczone?

— Trust rządzi Stanami.
— Taki trzeźwy człowiek jak pan, a wierzy w mity.
— Nie „wierzę”, a wiem. T. M. nie jest mitem
— Ale i nie lewiatanem, który byłby w stanie połknąć świat.
— W każdym razie połowę już połknął i trawi, A biada temu, kto mu w trawieniu przeszkadza.

W tej chwili przeszkodziło mister Pringle'owi silne pukanie do drzwi.

— Kto u licha? — burknął Stanley, — proszę!

Na progu ukazała się sylwetka Hannibala belkoczącego w podnieceniu:

— Panienska!... Miss Gladys!..

— Tuż nas pan zaanonsował, więc proszę dać wejść! — odezwał się jakiś głos za Hannibalem i czyjaś ręka odsunęła go na bok, przepuszczając Gladys.

— Stanley!

— Gladys!

I nie zważając na publiczną przyzwoitość młodzi padli sobie w objęcia.

W objęciach Stanleya Gladys rozpląkała się serdecznie.

— Nie płacz, kochanie, — uspakajał ją Stanley sadzając na fotel.

— Daj mi chustkę, bo nie mam własnej... Ten pan był tak dobry, że zaopiekował się mną i odwiózł do domu.

— Serdecznie panu dziękuję. Jestem Stanley Murphy, — rzekł Stanley ściskając dłoń nieznanego.

— Domyśliłem się w panu od razu syna naszej sławy narodowej. Moje nazwisko niewiele panu powie. Thomas Schmedell emerytowany lekarz okrętowy, idąc z klubu do domu znalazłem panią na ławce w Golden Gate Park, no i rzecz prosta przywiozłem do domu. Moja chustka już cała mokra. Dobrze byłoby dać pani proszek bromu, kąpiel i do łóżka.

— Hannibal, słyszysz! Proszek bromu! I zawołaj Darleya.

— Tak jest, sir. Natychmiast.

— Nie potrzeba... Tuż się uspokoiliśmy i przepraszam panów za moje zachowanie...

— Także się znalazłaś, kochanie, na tej ławce?

— Nie wiem. Obudziłam się nagle na ławce w parku...

— A gdzie pani zasnęła? — spytał Pringle.

— Przepraszam, żem pana nie zauważyła, mister Pringle. Zasnęłam na łóżku mej celi w zakładzie dla nerwowo chorych, — odparła Gladys wywołując ogólne zdumienie.

— Któryż to zakład? — zaindagował Darley, który niepostrzeżenie wsunął się do gabinetu.

— Nie wiem. Umieszczono mnie w nim przywiózłszy stąd na zlecenie profesora Lurie-Malliota.

— Jak to? Porwano cię stąd na „zlecenie!”, profesora. Do zakładu dla nerwowo chorych? Cóż to znów za kabała? — sypał pytaniami zdenerwowany Stanley.

— Był to jedyny sposób, by profesor Lurie-Malliot mógł się ze mną osobiście i bez świadków porozumieć. Dlatego nie odpowiadał na nasze radiowe wezwania, rozumiesz?

— I rozmawiała pani z profesorem? — spytał Darley.

— Jak teraz z panem.

— Dziwne, że po tej rozmowie nie odwiedziono panią wprost do domu, tylko... I że pani się nie obudziła, gdy panią przewożono z zakładu do parku... — zastanawiał się Pringle, — bardzo dziwne...

— O ile wiem, — wtrącił Darley, — profesor Lurie-Malliot nie wyjeżdżał z Pasco jeszcze przed porwaniem profesora Murphy. Trzymają go tam tak ważne prace, że nawet badanie śledcze odbywano z nim telefonicznie. A teraz nagle przyjechał?

— Bo chciał się porozumieć ze mną osobiście i bez podsłuchu. To przecie jasne.

— Niezupełnie. W każdym razie jeżeli przyjechał do Frisco, to niewątpliwie wstąpił i do prezydium policji.

— Niech pan to zaraz sprawdzi, — rzekł Stanley, — może z jakiego innego aparatu.

— Oczywiście.

I Darley śpiesząc do wyjścia omal nie wytrącił tacy z rąk wchodzącego Hannibala.

— Oto brom, panienko, i herbata.

— Może zasnę po tym, jak tam po bulionie, bo jestem bardzo wyczerpana... Obym się tylko znów nie obudziła na jakiej ławce, albo co gorsza, z powrotem w celi.

— Nie ma obawy, kochana! Już cię żadne „zlecenie” stąd nie porwie.

— Pozwolę sobie dziś osobiście dyżurować przed apartamentem panienki, — zameldował Hannibal.

— I nie męczmy już pani rozmową. Brom przyjęty. Herbata wypita. Teraz spoczynek, — objął komendę Schmedell.

— Odprowadzę cię, Gladys, — zaproponował Stanley.

— To mój obowiązek. Proszę mi już do końca, jako lekarzo-

wi, pozostawić opiekę nad pacjentką. Żegnam panów, futro jeszcze wpadnę.

— Może zadzwonię do ciebie, Stany, ale nie jestem pewna.

I Gladys w towarzystwie doktora, pod eskorty Hannibala opuściła gabinet.

— I na mnie już pora — rzekł wstając Pringle.

— Jeszcze chwilka. Zechce pan łaskawie poczekać, póki nie wróci Darley. Rozumiem, że czas pana jest drogi, ale i sytuacja jest tego rodzaju, że pańskie doświadczenie i światła rada mogą mi być bardzo pomocne.

— Powrót miss Gladys zasadniczo sytuacji nie zmienia. Tak czy owak, czeka nas trudna walka.

— Nie lękam się tej walki. Wprost przeciwnie! Coraz bardziej palę się do niej!

— Pan ma zapał, a oni siłę i środki. Szanse bardzo nierówne.

Darley wszedł bez pukania.

— Lurie - Malliot na krok nie wyjeżdżał z Pasco!! — zameldował od progu, — żadnego „zlecenia” nie dawał. Obiecał przyjechać w możliwie najkrótszym czasie.

— Z kim tedy rozmawiała Gladys?! — zawołał Stanley, — przecież ona musiała znać przyjaciela mego ojca!

— Widocznie aktor grający jego rolę, był tak dobrze ukształtowany, że miss Gladys nawet nie dostrzegła różnicy, — zaopiniował Pringle, — teraz widzi pan, jakie środki mają oni do swej dyspozycji?

— Psiakrew! — zaklął po warszawsku Stanley, — zwariować można!

— Tego radziłbym się jak najbardziej wystrzegać.

— Czego?

— Sposobem swego postępowania nie nasuwać najmniejszych powodów do przypuszczeń, że pańskie czyny posiadają jakikolwiek charakter... anormalny. Dałby im pan wtedy do ręki najniebezpieczniejszą broń.

— Wariata ze mnie zrobić?! A któż by w taki idiotyzm uwierzył?

— Zrobić z kogoś wariata w opinii publicznej wcale nie jest tak trudno przy sprawnie działającej propagandzie. Przekonać zaś o tym sąd przy środkach Trustu też nie jest niemożliwością. Wiem, co mówię.

— Więc dobrze. Przypuśćmy najgorszy absurd. Zrobią ze mnie wariata. Wtedy odpowiedzialność moja za „winę” zniszcze-

A. R.-7 automatycznie upada. A oni przecież chcą mnie zasądzić.

— Oni chcą zdobyć A. R.-7.

— Przecież nie istnieje!

— Widocznie są innego zdania. I jeżeli sąd uzna pana za niepoczytalnego, wtedy „Murphy’s Laboratory” otrzyma opiekuna. Oczywiście będzie to człowiek Trustu. Pan sobie będzie odpoczywał po perypetiach procesu w zakładzie. A oni będą szperali po pańskich zakładach, póki nie znajdą tego, o co im chodzi. A wtedy kto wie, może lekarze uznają pana za wyleczonego i wróci pan z powrotem do domu i swego majątku. Ale to nie jest takie pewne.

— Zdawało mi się, że już trochę znam świat, ale widzę, że wobec pańskiej mądrości życiowej jestem pacholęciem.

— Toteż „pacholę” musi bardzo uważać na swoje sprawowanie, — rzekł wstając i żegnając się Pringle.

— Przy takim mentorze mam szanse, — upewnił adwokata Stanley odprowadzając go do drzwi i tu spostrzegł Darleya, siedzącego pod ścianą, — a pan jeszcze tu?

— Nie chciałem przeszkadzać rozmowie, a mam jeszcze do zameldowania, że podinspektor Archbald oczekuje pana jutro w prezydium.

OPERACJE WSTĘPNE

Po konferencji z adwokatem Stanley zatelefonował do Gladys. Lecz telefon przyjęła Daisy i ściszym głosem powiadomiła go, że panienka śpi, a doktor zapowiedział, by jej nie budzić pod żadnym pozorem. Westchnął i odłożył słuchawkę. Przeszedł do swego pokoju, próbował uporządkować jakoś w umyśle nawał wrażeń z dnia. Z Kanią dobrze się stało... choć, wnioskując z zachowania Fletchera, biedny Kania nie będzie spoczywał na różach... jedyny naprawdę radosny wypadek dnia to powrót Gladys... aczkolwiek cała historia z jej porwaniami i podrzuceniami w parku, a zwłaszcza ów pseudo - Lurie - Malliot świadczy o jakimś bardzo zawiłym a ponurym draństwie, które... Pringle widzi we wszystkim łapę Trustu, lecz może i „inni szatani byli tam czynni”... trzeba przyznać, że Pringle to rekordowy pływak w morzu ludzkiego szubrawstwa... bardzo mądry jegomość i należałoby się dostosować do jego wskazówek i metod... tak, wszystkie te sprawy wymagają gruntownego przemyślenia i gdyby nie wypadkowa, ale przemożna okoliczność, że mi się tak straszliwie spać chce, to...

I próbując skonstruować jakiś wniosek ostateczny Stanley chrapnął. Obudził go Darley meldunkiem, że pora jechać do Archbalda. Próbował jeszcze przed wyjazdem połączyć się z Gladys, lecz tym razem uroczysty głos Hannibala oznajmił, że panienka, dzięki niebu, wciąż śpi.

W drodze przyglądając się spod oka Darleyowi Stanley zastanawiał się, czy detektyw też jest odmianą Fletchera, czy...

— Nieźle mnie zaagitował. Wszędzie, widzę szpiclów. Piękny klimat tworzy się wokół mnie.

Archibald przyjął Stanleya omal że serdecznie.

— Cieszę się bardzo ze szczęśliwego powrotu miss O'Connor. Nie wątpię, że rozmowa z nią da nam jakieś nici wiodące do szajki kidnapperów, którzy po profesorze Murphy'm porwali miss Gladys.

— Przypuszcza pan, że to ta sama organizacja społeczna dała dowód swej działalności?

— Niewątpliwie.

— Ano, pan lepiej ode mnie zna się na tych zdrowych odruchach naszego społeczeństwa.

— Chciał pan powiedzieć wyrzutków naszego społeczeństwa. Tak jest.

— A jakim szczęśliwym okolicznościom mam zawdzięczać zaproszenie mnie dziś do pana?

— Trudno powiedzieć, by szczęśliwym, w każdym razie rzucającym jasne światło na pośrednią przyczynę śmierci profesora. Nasze badania laboratoryjne ujawniły we krwi i w organizmie zmarłego ślady i oznaki pewnej trucizny zaaplikowanej dożylnie, co wywołało aneurizm serca. Zatrucie nie mogło mieć miejsca pod drzwiami kabiny, lecz na jakiś czas uprzednio, więc...

Posądzenie mnie o ojcobójstwo upada?

— Czyż na zasadzie naszych rozmów z panem mógł nas pan pomawiać o takie posądzenie?

W każdym razie w rozpoczętej obecnie nagonce prasowej na mnie nie brak bardzo przejrzystych pod tym względem aluzji.

— Za metody postępowania pewnych organów prasy policja nie może brać na siebie odpowiedzialności. A z drugiej strony po oficjalnym ustaleniu powodu śmierci profesora, wszelkie aluzje, o których pan wspomina, na pewno ustaną. Ja ze swej strony poleciłem już odpieczętować drzwi „kabiny” i zdjąć nadzór nad nią. Zabrać z niej należy jedynie corpus delicti.

— Czyj korpus?

— Corpus delicti.

— O ile sobie przypominam łacinę, to delictum znaczy przestępstwo. Cóż to za przestępstwo popełniono w kabinie?

— Przestępstwo, bądź wykroczenie. Ostateczna kwalifikacja zniszczenia dokumentów A. R. 7 zależy od władz sądowych. Narazie zabieramy skrytkę wraz z popiołami spalonych papierów.

— Zatem będzie sąd w robocie. To bardzo dobrze.

— Nie wiem czy dobrze, lecz szczerze życz panu, by się wszystko jak najpomyślniej skończyło. Po co pan to zrobił?

— Dokładnie wytłumaczę swój czyn w sali rozpraw sądowych. Mieli więc rację ci, którzy mnie zapewnili, że prasowa naganka zmierza do wytoczenia mi procesu.

— To już będzie zależało od prokuratora.

— Przypuszczam, że prokurator nie odmówi prasie przyjemności sensacyjnego procesu. Zawsze to zwiększenie nakładu, dodatki nadzwyczajne...

— Sąd jest instytucją niezależną od wpływu prasy.

--- Tak. Częściej jest uzależniony od wpływów politycznych.

— Pan bardzo nieroztropnie ujawnia swe ryzykowne poglądy.

— Myślałem o procesie norymberskim.

— Chyba że tak. Dajmy jednak pokój polityce.

— Wolałbym, żeby polityka nam dała pokój. Ale to dziś utopia. Skoro jednak dogadaliśmy się szczęśliwie do mojego przyszłego procesu, chciałbym na dowidzenia zadać panu jedno pytanie w związku z nim.

— Słucham.

--- Jak pan przypuszcza? Czy sąd poczeka z rozpoczęciem rozpraw do chwili, gdy śledztwo wyjaśni tajemnicę napadu na mego ojca, jego śmierć, pożar w „Murphy’s Laboratory” oraz porwanie miss Gladys, to jest przestępstwa, które bądź co bądź organicznie łączą się z mym „debetem”, — czy też zabierze się do dzieła nie oglądając się na nic.

— Bardzo trudne pytanie. Zależy od stanowiska, czy sąd będzie uważał, że jedno łączy się „organicznie” z drugim, czy też tylko zachodzi tu zbieżność w czasie.

— Rozumiem. A ponieważ dotychczas nie natrafili na żadne możliwości wykrycia wspomnianych przestępstw?

Podinspektor Archbald w odpowiedzi rozłożył bezradnie ręce.

— Dziękuję. Na razie jestem w domu. Mówię — na razie, bo może z braku tamtych kidnapperów panowie zabiorą mnie z domu do kryminału jako jedyne przestępcę ujawnionego w sprawie A. R. 7.

— Daruje pan. ale nie słyszałem pańskiego ostatniego zdania, bom się zamyślił nad czymś innym. Pozdrowienia dla miss O’Connor! Wkrótce osobiście będę miał przyjemność złożyć jej słowa radości z powodu powrotu.

— Powiem jej, to się ucieszy. Chodźmy, mister Darley!

Wracając z gmachu prezydium policji Stanley wdał się w rozmowę z Darleyem. Uświadamiał sobie już dwulicowość Fletchera, zdawał sobie coraz bardziej sprawę, że w „Murphy’s Laboratory” nie brak agentów Trustu wśród personelu laboratoriów, parokrotnie nawiedzało go również lekkie przypuszczenie czy Darley nie należy do tego grona. Toteż przyszło mu obecnie na myśl, żeby korzystając ze sposobności wysondować swego prywatnego detektywa.

— Ciekaw jestem, jak pan ocenia moją sytuację, — zaczął, — wczoraj był pan świadkiem rozmowy z mecenasem Pringle, dziś słyszał pan wywody podinspektora Archibalda. Co pan myśli o tym wszystkim?

— Cóż ja? — odparł po chwili jakby wahania Darley, — moją rzeczą jest mieć otwarte oczy i uszy, by zdawać panu sprawę z faktów, które uważam za podejrzanę. Wnioski i dyrektywy dalsze leżą już w kompetencji pana.

— Wymiguje się Za tym i on?... — pomyślał Stanley, a głośno odparł, — odstępuję panu w tej chwili mą kompetencję i chętnie posłucham pańskich wywodów. Choćby dla odprężenia nerwów.

— Ha. W takim razie powiem. Źle pan robi.

— Żem ciekaw pańskiego zdania?

— Nie. Że pan myśli o odprężeniu. Pan jest obecnie w sytuacji boksera przed meczem. Czeka pana ciężkie spotkanie i żmudny trening. Musi pan w sobie wyrabiać hart na ciosy, jakich los panu na pewno nie pożałuje.

— Nim dojdzie do meczu zahartuję się. Dziś już odbyłem szczęśliwie poranną zaprawę z Archbaldem.

— Oby równie szczęśliwie skończyło się oczekujące pana spotkanie z miss Gladys.

— A z jakiejże racji mam się obawiać spotkania z miss Gladys? Co pan?!...

— Nawet nie z jednej, a z dwóch racji. Miss Gladys nie wie, że rozmawiała z fałszywym Lurie-Malliotem, a pan nie wie, co w zaufaniu mogła mu powiedzieć.

— Na Boga! Ma pan rację.

— Niestety. Lecz, co gorsza, że miss Gladys nie wie też o...

— ...o śmierci mego ojca!...

— ...i o zniszczeniu przez pana A. R. 7.

W aucie zapadło ponure milczenie. Tak dojechano na Telegraph Hill.

Zanim wysiadł, Stanley wyciągnął rękę do Darleya.

— Jestem panu naprawdę wielce zobowiązany, jakkolwiek wypadki się ułożą.

Od siebie zadzwonił do Gladys. Telefon przyjęła Daisy.

— Panienska w tej chwili jest w sąsiednim pokoju zrozpaczona wiadomością o śmierci profesora Murphy.

— A cóż za osioł ośmielił się!... Hannibal?

— Nie Hannibal i nie osioł, tylko oślica... la.

— Spytaj się, czy mogę zaraz przyjść.

Po upływie paru minut Daisv odezwała się:

— Panienska prosi za jakieś dziesięć minut.

Oczekiwanie zatruwała Stanleyowi myśl, że cień ojca znów ogarnie Gladys skrzydłami przemożnych wspomnień.

— Znowu oto wstaje zza grobu zawila i ponura sprawa między nami, — ciężki jest spadek po tobie, mój ojciec... Lecz i ty też masz prawo do mnie powiedzieć: zniszczyłeś mi największy triumf mego mózgu i zabrałeś ostatni skarb mego serca!... Dorosłem już teraz do wiedzy o tym... Jak nas rozsądzić, ojciec?... I kto to uczyni?...

Zaterkotał telefon. Od Fletchera.

— Ośmielam się niepokoić pana, mister Murphy, ponieważ nowy dyrektor generalny dziś jeszcze nie będzie w stanie sprawować...

— ...niech mi pan głowy nie zawraca!

Położył słuchawkę i spojrział na zegar. Minęło więcej niż dziesięć minut. Wychodząc szybko do Gladys natknął się w drzwiach na Hannibala.

— Ustąp, zawalidrogo! Czego chcesz?

— Ludzie z policji przyszli odpieczetować kabinę i zabierają coś z biurka.

— Niech zabierają. Gdy się wyniosą, zabezpiecz drzwi. Znikaj.

Gladys powitała go z pozornym spokojem. Nie śmiał jej pocałować, lecz sama podała mu czoło.

— Kiedy pojedziemy do niego na grób? — spytała.

— Gdy zechcesz. Ze względu na ciebie wolałbym... nie dziś.

— Dobrze. Dziś chodźmy do kabiny.

— Na razie też musimy poczekać, bo właśnie teraz policja zdejmuje pieczęcie.

— Oh, to nie ma znaczenia. Chodźmy, najdroższy.

— Woła ją do siebie... — pomyślał, lecz coś mu wzbraniało sprzeciwić się.

— Skoro sobie tego życzysz, chodźmy.

W kabinie kończono właśnie wydobywać stalową kasetę skrytki.

— Stany! Co oni robią? — szepnęła przerażona Gladys.

— Zabierają popioły po spalonym A. R. 7.

— Kto spalił?!

--- Ja.

— Oh, Stanley!... Dlaczego?

— Nie było innego wyjścia. Chodźmy pod okno, to ci wszystko powiem.

I podczas gdy policja finalizowała swe czynności, Stanley martwym półgłosem zdał relacje Gladys z wypadków tragicznego dnia. Zostali sami.

Cóż więc możesz dać teraz profesorowi Lurie-Malliot?— spytała Gladys.

— W zęby! — pomyślał Stanley, a głośno spytał: — któremu? Temu, który rozmawiał z tobą w celi zakładu dla nerwowo chorych, czy temu, który w tymże czasie pracował w swym laboratorium w Pasco?

Wielkie brązowe oczy Gladys z przerażeniem patrzyły na Stanleya.

To niemożliwe! Wiec któż był ten, z którym rozmawiałam ?

— Typ ucharakteryzowany na Lurie-Malliot. Żeś ty ,tego nie poznała?

— Widziałam profesora kiedyś będąc jeszcze dzieckiem. I tyś go wtedy widział.

— Już nie pamiętam.

— Teraz rozumiem twego ojca w zupełności i już mu nie mam za złe...

— Czego?

— Że nikomu nie dowierzał. Że wszystkich w całym „Murphy’s Laboratory” stąd kontrolował.

— Jakto „stad”?

— Telewizyjnie. Chodź, to ci pokaże.

I Gladys podeszła ze Stanleyem do biurka. Usiadłszy na fotelu profesora wskazała na aparat.

— Spójrz na te klawiaturę. Każdy guzik daje wgląd do poszczególnego pokoju. Bądź w biurach, bądź w laboratoriach. Naciskając odpowiedni guzik i włączając ten oto mikrofon, widzisz i słyszysz, gdzie chcesz.

— Chce widzieć i słyszeć co się dzieje w tej chwili w gabinecie Fletchera?

— Patrz na tę taflę na ścianie — rzekła Gladys i włączyła odpowiednio telewizor.

Tafla zaróżowiła się, po czym ukazał się pokój.

Za biurkiem siedział Fletcher, przed biurkiem Dual, przy bocznym stoliku Bob.

— Przypuszczam, mister Fletcher, — mówił Dual wyciągając z teki blok i styło, — nie będzie pan miał nic przeciwko temu, że w imieniu mego prasowego konsorcjum przeprowadzę z panem jako sekretarzem generalnym „Murphy’s Laboratory” mały wywiad.

Mówiąc te słowa Dual dawał Fletcherowi znaki zerkając w kierunku Boba, że należy wyeliminować młodego człowieka z gabinetu na czas trwania wywiadu. Fletcher przytakująco skinął głową.

— Bob, — zwrócił się do siostrzeńca, — zwalniam cię już na dzisiaj z biura.

Bob, który przy swym stoliku podparty oburącz był zatoniony w lekturze jakiegoś magazynu, udał że nie słyszy. Na powtórny dopiero apostrofę wuja wygłoszoną podniesionym głosem, zrobił minę człowieka szorstko obudzonego z marzeń i spytał z niezadowoleniem.

— Po co?

— Co znaczy to głupie pytanie?

— Uważam je za bardzo rozsądne. Po co mnie zwalniasz z biura, skoro mi tu dobrze.

— Chciałbym, żeby ci było jeszcze lepiej, chociażby — w kinie.

— Za co? I z kim?

— Za te dziesięć dolarów, które ci oto daję. A towarzystw o wyszukaj sobie sam.

— Ba! Betsy w biurze, Lucy wyjechała, Nelly chora, a przytuliwszy się samowtór w rozmarzeniu filmowym do sąsiada, mogę się narazić cieleśnie. Wolałbym partycypować w wywiadzie, by zyskać nieśmiertelność choćby na pół dnia.

— Uzyska ją pan, — wtrącił się Dual — pod warunkiem niezwłocznego zamknięcia za sobą drzwi z tamtej strony. Wówczas poświęcę w wywiadzie całe trzy wiersze panu, kolorowi pańskiego krawata i koafiurze, nie zaznaczając ani słowem o pańskich pryszczach.

— Jestem dyskretny, więc wychodzę, by zamykając za sobą drzwi otworzyć panom usta. — I Bob, wychodząc z gabinetu Fletchera, trzasnął drzwiami tak, że Gladys drgnęła w kabinie.

— Co nowego? — spytał teraz Dual tonem zwierzchnika chowając równocześnie blok i stylo.

— Same pasztety, — raportował Fletcher, — zarzut ojcobójstwa w wyniku lekarskiej ekspertyzy upadł. Znaleźli ślady zatrucia. Teraz odpieczętują kabinę.

— Tym lepiej, że odpieczętują, bo zdejmą dozór.

— Co z tego, gdy równocześnie zabierają kasetę ze szczątkami A.R-7.

— Znajdziemy A.R-7 gdzie indziej.

— I pod tym względem narastają trudności. Stanley Murphy wykombinował sobie generalnego dyrektora, fachowca.

— Człowieka waszego Trustu M.?

— Diabła tam! Jednego z najzdolniejszych laborantów nieboszczyka Big Bena. Nazywa się Kania. Przyjaciół Stanleya. Z pochodzenia także Polak.

— Himelkreutzdonnerwetter! Wszędzie ci przekłęci Polacy!

— O ile się orientuję w lingwistyce sądząc z pańskiego przekleństwa jest pan, mister Dual, sympatykiem Niemiec. Oczywiście demokratycznych. Przepraszam za tę uwagę, ale ja mam pasję kolekcjonowania przekleństw.

— Mnie zaś w tej chwili obchodzi Kania, a nie pańska głupia pasja. Trzeba będzie z tym Polaczkiem zrobić jakiś porządek. Gdzie on mieszka?

— Właśnie u Stanleya. Zresztą jeszcze niedomaga, bo mu poprzetrącało nogi neutronami w cyklotronie. Ma jeździć na fotelu.

— To się go stąd wyjedzie razem z fotelem.

— Podziwiam śmiałość pańskich planów. Nie widzę tylko sposobów dla ich realizacji.

— Pod tym względem liczę na pana.

— Żeby pan nawet liczył do stu tysięcy dolarów, to się pan przeliczy. Bezwzględnie nie nadają się do kryminału.

— Przecenia pan swą skromność. Nie tacy jak pan siedzieli. I wyszli. Nawet na ludzi. Lecz nie o to mi chodzi. Liczę na pana jako na gołąbka pokoju pomiędzy Trustem Miliarderów a moją grupą.

— Wolno wiedzieć, co to za grupa?

— Nie wolno. W razie nawiązania ścisłego kontaktu będę wskazywał, którzy z naszych funkcjonariuszów a tutejszych laborantów mogą współpracować w myśl planów Trustu, co jedynie zapewni wspólne opanowanie tajemnicy A. R. 7. Na razie

w pierwszym stadium kolaboracji Trust winien dążyć do zapewnienia stanowiska generalnego dyrektora „Murphy’s Laboratory” profesorowi Maxowi.

— Max. Astrofizyk?

— Aha! Jeżeli wspólnie przeprowadzimy tę akcję (po zlikwidowaniu Kani, oczywiście) wówczas szybko dojdziemy do ostatecznego sukcesu. W międzyczasie niech się odbędzie proces i skazanie Stanleya Murphy, jak to celowo planuje Trust. Pomóżemy im w tym względnie na naszym odcinku prasowym. Na razie — tyle. Spamięta pan wszystko?

— Jak paciorek.

— Kiedy może być odpowiedź?

Mniej więcej za tydzień.

— Dobrze. Aha. W razie odrzucenia naszej propozycji, niech! Trust wie, że wszelkie rezultaty prac w zakresie A. R-7 znikną bez śladu ze wszystkich tutejszych laboratoriów. I mogą wypłynąć gdzie indziej poza zasięgiem Trustu. Przez ten tydzień będzie pan wysyłał co dzień orientacyjny raport.

— Tam gdzie zwykle?

— Tak jest. Żegnam.

— So long!

Dual wyszedł. Fletcher zaś trąc w zakłopotaniu podbródek mrucał do siebie.

— Zdawało ci się, mój Fletcher, że z chwilą, gdy zrobili z Big Bena denata, zmienia się i pieskie warunki twojego życia. Tymczasem w dalszym ciągu harujesz jak wół, traktują cię jak świnię, a coraz to biorą do galopu jak dzikiego osła. Teraz zaś na dobitkę każą ci być gołąbkim. Zdaje się, że skończysz w cyrku jako „człowiek - menażeria”.

— Zapomniało jeszcze bydlę o kozie, która go czeka, — syknął Stanley, gdy Gladys zgasiwszy telewizor otępiąłym wzrokiem patrzyła przed siebie.

— Stany, to chyba halucynacja, — szepnęła z rozpaczą, — ci ludzie to potwory!

— Nie znasz po prostu swej rodzimej dżungli, cieplarniana moja orchideo! — odparł Stanley, — takie typy są pospolicie uważane za ludzi walki i czynu, o ile przypadkiem nie wpadną w samotrzask prawa. Ale i wtedy wyslizgują się nazbyt często. I to jest tragedią dzisiejszości.

Przez chwilę trwało ponure milczenie. Stanley pierwszy otrząsnął się z nawału przygnębienia.

— Pomimo wszystko, kochanie, nie wolno nam ulec depresji, — rzekł do Gladys, — trzeba działać. — I ujął słuchawkę wewnętrznego telefonu.

— Co chcesz uczynić?

— Odbyć małą naradę wojenna. Telewizor ostrzegł nas, że jesteśmy otoczeni wrogami. Lecz już w nim mamy sprzymierzeńca i to nie byle jakiego. Dziś przekonałem się o życzliwości Darleya i mądrej jego wnikliwości. Wierzę ponadto w przyjaźń Kani i fachową orientację. Mam wrażenie, że i Pringle ze swoim rozumem może nam bardzo pomóc.

— Profesor miał do niego wielkie zaufanie.

— Widzisz więc, kochanie, że da się zorganizować pewien ośrodek skutecznego oporu. — I Stanley polecił telefonicznie Hannibalowi wezwać do kabiny Darleya i dostarczyć Kanię.

— My tu sobie pokonferujemy, a potem ja ciebie powiadomię o rezultacie naszej narady.

— O nie, najdroższy, — zaproponowała Gladys, — moje miejsce przy tobie, tym bardziej, że pracując przez kilka lat u boku profesora mogę wam doraźnie przydać się moimi informacjami.

Do drzwi zapukano, po czym przez rozsunięte podwoje wtoczył się fotel z Kania popychany przez Hannibala i Darleya.

— Pozwól sobie przedstawić mojego przyjaciela a obecnie naczelnego dyrektora „Murphy’s Laboratory”, Tadeusza Kanię.

— Przepraszam panią, że tak ułomnie prezentuję się na tym meblu, sumitował się Kania, na którego uroda Gladys bardzo widocznie zrobiła wielkie wyrażenie.

— Cieszę się, że Stanley ma tak dzielnego przyjaciela, odrzekła Gladys.

— Podoba ci się moja narzeczona co stary? — spytał Stanley.

— Przyznam się, że jestem zastrzelony nie mniej niż przez cyklotron, — szczerze przyznał się Kania.

Słowo „narzeczona” znów zastrzeżyło Hannibala i Darleya.

— Ośmielam się, sir, złożyć moje najuroczystsze życzenia, — skłonił się Hannibal.

— I ja, — dodał Darley.

— Dziękuję w imieniu nas obojga, — odparł Stanley, — i pozwolę sobie uważać suchy na razie obchód naszych zaręczyn w gronie najbliższych przyjaciół za skończony. A teraz, Hannibalu’ musisz zamknąwszy drzwi dozorować na korytarzu, by nikt nam tu nie przeszkodził w ważnej naradzie.

— Tak jest, sir. Nie wpuszczę tu nawet anioła.

— W razie jednak gdyby zjawił się jaki anioł opiekuńczy z policji, możesz zapukać.

Po wyjściu Hannibala Stanley zagał zebranie.

— Czemuż mamy być gorsi od Kania? Siadajmy wszyscy, — i przechodząc na ton serio zwrócił się do Darleya, — miał pan dziś stuprocentową rację twierdząc, iż czeka mnie trudna walka i żmudny trening. Spodziewam się jednak, że przy takich trenerach jak pan, Kania i moja przyszła żona dojdę do należytej formy. Przed godziną właśnie dzięki pomocy Gladys dowiedziałem się, że poza Trustem Miliarderów jesteśmy oskrzydleni przez jeszcze jedną bandę, która wdarła się na różne stanowiska tu — do „Murphy' s Laboratory”, by wykraść A. R. 7. Na razie wiem, że do bandy tej należy Fletcher, będąc jednocześnie funkcjonariuszem Trustu. Poza tym niejaki Max, laborant.

— Ten Szwab astrofizyk? — spytał Kania.

— Właśnie. I drugi Szwab z zewnątrz. Niejaki Dual. Ten mi wygląda na herszta szajki. Planuje pomiędzy innymi „zlikwidować” ciebie, Tadeuszu.

— Wola boska! — odparł Kania.

— No i hołubi tęgi plan zwąchania się z Trustem M., by mnie wykończyć procesem, na wakujące po tobie miejsce dyrektora wsadzić Maxa i wzięwszy w swe ręce nadzór nad „Murphy's Laboratory” odrekonstruować A. R.7. Tyle na razie.

— Na Jowisza! Skąd pan w tak krótkim czasie doszedł do zdobycia tylu rewelacyjnych wiadomości?! — wykrzyknął Darley.

— Dzięki Gladys.

— Nie przypisuj mi zasługi twego ojca, który z za grobu dał ci tę broń do obrony, — z powagą rzekła Gladys.

— Masz rację. Lecz że dał mi ją przez ciebie...

— Przeto podziękujemy mu tu w jego najistotniejszej pracowni, w jego świątyni twórczej myśli, choćby minutą głębokiego skupienia, — oznajmiła Gladys z powagą druidessy i wsparłszy łokcie na biurku Murphy'ego ukryła twarz w dłoniach.

Mężczyźni opuściwszy głowy zapadli w kontemplacyjną medytację. I trwali w niej dopóki Gladys nie rzekła półgłosem do Stanleya otarłszy oczy z łez:

— A teraz, najdroższy, udziel naszym przyjaciółom potrzebnych wyjaśnień.

— Cóż ja — odparł Stanley, — nie wyznaje się w tym, by

się mądrzyć fachowo. Ojciec pracując tu nadzorował wszystko za pomocą telewizorów. Dowiedziałem się o tym przed godziną od Gladys. Chcąc się przekonać, poprosiłem ją o wgląd do gabinetu Fletchera. I zobaczyliśmy i wysłuchaliśmy jego rozmowy z tym Dualiem. Teraz zaś proszę ciebie, Tadziu, byś sobie tu wprowadził dyżury kontrolujące, co ci bardzo może ułatwić zarząd.

— Jak się to robi, proszę pani? — zwrócił się Kania do Gladys.

— Łatwo, — odpowiedziała, — oto klawiatura włączająca całe poszczególne laboratoria. Co by pan chciał zobaczyć i usłyszeć?

— Oczywiście Maxa.

— Naciskam guzik z odpowiednim napisem. Włączam mikrofon. I proszę patrzeć na taflę na ścianie.

Obecni ujrzeli laboratorium. Przy stole zarzuconym papierami siedzieli Max, Dual i Hoszimura.

— Trust na pewno pójdzie na kollaborację, — perorował Dual, — gdyż bez nas nie da sobie rady, a niewątpliwie liczy na to, że po restytucji wynalazku wykwituje nas w ostatecznej rozgrywce.

— Bo słusznie mówi poeta: „nie poprawiaj czapki pod drzewem śliwkowym ani sznurowadeł u butów na polu, gdzie rosną ogórki”, — wtrącił Hoszimura.

— Nic z tej wschodniej mądrości nie rozumiem, — rzekł Max.

— To znaczy, że Trust nas też podejrzewa, że w rezultacie zeskamotujemy im wynalazek, — objaśnił Hoszimura.

— Ach, ten kwiecisty styl, — szydził Max, — „zeskamotujemy”. Choć raz nazwij że major coś ściśle a prawnie: zarekwirujemy. Oczywiście.

— A ty przestań droczyć się z majorem! I dość tej gawędy. Każdy do roboty, bo czas drogi, — zamknął naradę Dual i wstał.

— Co się dzieje z Wiszatrą? — żegnając odchodzących spytał Max.

— Kolega Wiszatrę zapatruje się ujemnie na kontakt z Trustem, — odparł Hoszimura.

— Toteż skończmy raz z tą hinduską małą! — wybuchnął Max.

Rada trzech wyszła z pokoju. Gladys wyłączyła telewizor.

— Mamy ich więc już czterech a nawet pięciu. Oprócz meczu bokserskiego zarysowuje się i pięciobój. Hm. Zwiduje mi się w rezultacie jakaś kryminalna międzynarodowa olimpiada, — zreasumował Darley.

ATAKI — KONTRATAKI

Po seansie telewizyjnym, który odsłonił nowe a dotąd im nieznane aspekty sprawy A. R. 7, długo trwały w kabinie narady przyjaciół Stanleya. Młody Murphy pod pierwszym wrażeniem chciał od razu zwrócić się do policji, by przedstawiwszy uzyskane rewelacje zażądać uwięzienia Fletchera z Duallem i obu laborantów.

— Na jakiej podstawie? — mitygował go Darley.

— Czyż to, cośmy widzieli i słyszeli, nie wystarcza?

— Nam tak, ale nie władzom policyjnym. Dowodów rzeczowych, namacalnych, że tak powiem, nie mamy żadnych. Gdybyśmy widzianą telewizję sfilmowali i udźwiękowili, — mielibyśmy z czym wystąpić.

— Chociaż wątpię, — wtrącił się Kania, — nie jestem wprawdzie prawnikiem, ale wiem, że zamiary i plany, dokąd są niewykonane, nie podlegają karze.

— Jednak niewątpliwie oni porwali profesora- — rzekła Gladys.

— I ja tak przypuszczam, — odparł Darley, — ale dowieść tego nie byłbym w stanie.

— W każdym razie pozytywnie mamy niezbitą pewność, że typy widziane przez nas uczestniczą w całej machinacji niezależnie od Trustu. Kto to jest ów Dual, który zdaje się przewodzić zgranemu zespołowi? — spytał Stanley.

— Tyle wiem, że jakaś ważna dziennikarska szyszka, choć to zdaje się bynajmniej nie wyczerpuje działalności owej figury.

Oczywiście, że postaram się roztoczyć nad nią pieczołowitą opiekę — zapewnił Darley.

— Ty zaś, Tadeuszu, — zwrócił się Stanley do Kani, — będziesz musiał podczas kontrolnych tutaj dyżurów najbaczniej obserwować Fletchera i tych dwóch laborantów. Jakże im tam?

— Hoszimura i Max. Japończyk i Niemiec.

— Szkoda, że nie ma Włocha. Byliby przedstawiciele państw osi w komplecie.

— Zamiast Włocha jest Hindus Wisztru. Mówili o nim.

— Znasz go?

— Owszem. Robił wrażenie dziwaka, ale przyzwoitego.

— Ciekawe, że w tej paczce jest dwóch Niemców... Hola! nagle zawołał Stanley. — Teraz zrozumiałem całą historię! Słuchajcie! To nie może być przypadek. Rzecz nabiera ściśle politycznego podłoża. Niemiec i Japończyk, którego — zwracam uwagę — nazywano majorem, chcieli wykraść A. R. 7, by używszy wynalazku dla celów wojennych, zdobyć broń stokroć potężniejsza od bomby atomowej i odegrać się na całym świecie za niedawną klęskę. Zrewanżować się straszliwym zniszczeniem Europy i Ameryki i zniewolić wszystkie inne narody! Przecież to jasne! Niemcy i Japonia!

Wśród słuchaczy zapanowała lekka konsternacja.

— Bardzo ciekawa hipoteza, — rzekł po chwili Kania, — jednak posiada ona pewne „ale“.

— Mianowicie?

— Osłabia ją nieco obecność Wisztru w tej kompanii.

— Bynajmniej. Wisztru może należeć do tego nieprzejednanego odłamu Hindusów, którzy mają wyżej uszów panowania Anglosasów i marzą o dawnej potędze Indii. Panowie! Sprawa, moim zdaniem nabiera charakteru przerastającego wyobrażenie, jakie można było mieć o niej do tej pory.

— Sprawa od samego początku miała charakter skali światowej, — odezwała się nagle Gladys, — wiedziałam o tym wtajemniczona przez profesora Murphy. Teraz zaś, gdy Stanley intuicyjnie odgadł tę tajemnicę, mogę tylko potwierdzić jego słowa. Oczywiście, to co powiem, musi na razie pozostać między nami.

I Gladys zobrazowała przed obecnymi wynurzenia profesora o istocie i roli jaką w historii świata miało odegrać A. R. 7 tudzież o obawach wynalazcy, by dobrodziejstwa jego dzieła nie były „przepotworzone” przez ludzi żadnych władzy w jeszcze jeden instrument wyzysku i niewoli.

— Dziś widzę, — zakończyła zwracając się do Stanleya, — żeś dobrze uczynił, najdroższy, niszcząc wynalazek, ponieważ obawy profesora jęły się sprawdzać stokroć okrutniej, niż on sam przypuszczał. Handlarze śmierci nie cofnęli się przed zbrodnią.

— Widocznie jednak zniszczenie dokumentów nie zlikwidowało wynalazku, — rzekł Kania, — skoro ich ofensywa trwa dalej. Dołożę z mojej strony wszystkich wysiłków, by się fałchowo zorientować w obecnym stanie rzeczy.

— A ja uważam, że należy im odebrać inicjatywę przez atak, upierał się Stanley.

— Przed którym radziłbym jednak porozumieć się z mister Pringle'm, — zrobił zastrzeżenie Darley.

— Niechże więc pan zadzwoni do niego i spyta, czy mógłby mnie przyjąć. Już tak omówiliśmy wszystko, że pozostaje nam tylko działać. Zgodzisz się z tym, kochana?

— Oczywiście. Ale cóż ja mogę? — odpowiedziała Gladys wstając.

— Czy nie zdumiewa cię, mój stary, skromność naszej Egerii, — spytał Stanley Kani popychając jego fotel ku drzwiom.

— Przecież gdyby nie pani, — rzekł Kania, — ani telewizji by nie było z jej rewelacjami, anibyśmy nie znali do podstaw sprawy A. R. 7.

— Miss O'Connor jest naszym dobrym duchem, — z powagą orzekł Darley.

— Miss Gladys O'Connor jest archaniołem, ośmielam się powiedzieć, — nie wytrzymał Hannibal odbierając w otwartych drzwiach fotel z Kanią z rąk Stanleya.

— Sypnąłeś się z twoją biblijną cytata, mój Hannibala, bo gdzieś wyczytał, by który z archaniołów nazywał się miss Gladys O'Connor? — speszzył Hannibala Stanley.

— W rezultacie zawstydzony archanioł pierzchnął nam pierwszą windą, — z pewną melancholią zauważył Kania.

— Ty za to, diable kuternogi, sfruniesz drugą — rzekł mu Stanley, — a my, panie Darley, ode mnie porozumiemy się z Pringe'm.

Jednak nie dało się telefonicznie złapać adwokata, wobec czego Darley pojechał, by nań czekać w kancelarii i uzyskać potrzebne wskazówki. Stanley mimo, iż miał wielką ochotę pójść do Gladys, zastawszy na biurku pęk gazetowych wycinków przysłanych przez Fletchera, zaczął je przerzucać. Mimo pasji, jaka ogarniała go w miarę czytania, przejrzał wszystko do

końca. Nagonka przybierała charakter szarzy aeroplanów, zasypujących jego dobre imię gradem cuchnących bomb. Szkalowania, insynuacje, kalumnie, inwektywy, oszczerstwa. Nie brakło fingowanych listów od abonentów oraz pełnych oburzenia zbiorowych adresów o stałym leitmotywie: „pod sąd! pod sąd!”

Trust pracował całą parą.

Ukończywszy przegląd prasy i skonstatowawszy z jaką maestrią i znawstwem psychologii szarego człowieka urabiano jak najfatalniejszą opinię o jego osobie, Stanley doszedł do przekonania, że umiejętność kłamliwej propagandy stała się w dzisiejszych czasach kunsztem, który mógłby już stworzyć nową specjalną gałąź literatury.

— Literatura podobnie jak propaganda, — rozumował, — wyrasta z tegoż samego podłoża psychiki ludzkiej: z wymysłu. Jedyńm sprawdzianem jej wartości jest talent autora. Talent literacki tworzy prawdę artystyczną. Talent propagandowy — prawdę propagandową. Jeżeli więc czytelnik wierzy Sienkiewiczowi, że był Ursus i darzy tę figurę serdeczną sympatią, to czytelnik dzisiejszych gazet niewątpliwie uwierzył, że jest łajdak Stanley Murphy i darzy go pełnią swej pogardy. Oto triumf talentu!

Turkot telefonu przerwał mu interesujące rozmyślania. Dzwonił Fletcher.

— Znalazłem przed chwilą zawieruszone w papierach wezwanie, by się pan stawił u sędziego śledczego Tobina w Hall of Iustice.

— Na kiedy?

— Na dziś, na pierwszą.

— A już dochodzi trzecia. Gratko mi się pan spisuje, panie sekretarzu.

— Robię, co mogę.

— Właśnie. Proszę zadzwonić po auto. Pojadę.

— Zaczyna się pierwsza runda, — myślał w aucie. — polityczne rozmówki już się skończyły. Będziemy się teraz prawować.

Sędzia mimo opóźnienia przyjął Stanleya. Nie zbrakło i protokolanta. Po przedwstępnych ceremoniach dotyczących generalistów sędzia Tobin rozpoczął indagacje.

— Co mi pan może powiedzieć o A. R. 7?

-- Że jest to skrót nazwy pewnego wynalazku mojego ojca.

— Jak brzmi pełna nazwa?

— Atom-robot 7.

- Co znaczy „siedem“?
- Nie wiem.
- Na czym polegała istota wynalazku?
- Przypuszczam, że o tym dokładnie wiedział tylko mój ojciec.
- Pan zatem wie niedokładnie?
- Oczywiście, bo nie jestem naukowcem. Ojciec nie w tajemniczył mnie w swe prace.
- A co pan wie o A. R. 7 „niedokładnie“ i skąd ?
- Przede wszystkim z aluzji ojca o wynalazku w rozmowach ze mną, następnie z potwierdzeń tych aluzji przez miss Gladys O’Connor.
- Kto jest miss Gladys O’Connor?
- Wychowanka ojca pracująca ostatnimi laty przy jego boku jako osobista sekretarka.
- A co pan może powiedzieć „niedokładnie” o samym wynalazku?
- Że polegał na stosowaniu energii atomowej do celów gospodarczych i przemysłowych. Że ojciec uważał ten wynalazek za epokowy. Że trzymał go w najściślejszej tajemnicy obawiając się, że niewłaściwe ujawnienie może spowodować zastosowanie A. R. 7 do celów wojennych, czemu był zasadniczo przeciwny.
- Czy to prawda, że pan zniszczył wynalazek ojca pańskiego?
- Tak jest.
- Dlaczego pan to uczynił?
- Żeby odpowiedzieć na to pytanie, muszę przedtem wiedzieć, czy pan sędzia pyta się mnie jako świadka, czy jako oskarżonego?
- Wezwałem pana jako świadka, lecz z chwilą, gdy się pan przyznał do popełnienia czynu karalnego, jest pan oskarżonym.
- A jako oskarżony mogę nie odpowiedzieć na pańskie pytanie?
- Może pan.
- Tedy nie odpowiem.
- Ma pan prawo. Moim jednak obowiązkiem jest poinformowanie pana, że odmowa na moje pytanie pogarsza kwalifikacje pańskiego przestępstwa i może spowodować niemiłe dla pana konsekwencje.
- Na przykład?
- Izolację.

— Tego radbym uniknąć
— I ja tak myślę.
— Nie wiem, jak pan sędzia myśli, ale ja radbym uniknąć izolacji nie ze względów osobistych, tylko dla dobra sprawy.

— Nie rozumiem.

— Chodzi mi o to, by zanim zacznie się proces w sądzie, zostały należycie wyświetlone wszystkie wypadki, które towarzyszyły a właściwie spowodowały fakt zniszczenia przeze mnie A. R. 7.

— Jakież to wypadki?

— Porwanie mojego ojca. Pożar w „Murphy’s Laboratory”. Porwanie miss Gladys O’Connor. Wreszcie — śmierć mojego ojca.

— Niektóre z tych wypadków już są wyjaśnione. Pożar powstał na skutek krótkiego spięcia. Śmierć profesora Beniamina Murphy wynikała z aneuryzmu serca.

— O śladach zatrucia pan sędzia zapomniał?

— Owszem, pamiętam.

— Skoro zaś było zatrucie, musiało być ono przez kogoś popełnione. Skoro ojca i miss Gladys porwano, musiał to ktoś zrobić. Gdzież są sprawcy?

— Nie wątpi pan chyba, że odpowiednie czynniki dokładają wszystkich starań, by sprawców ujawnić i schwytać.

— Tymczasem nie czekając na schwytanie ich, robi się wszystko, by wytoczyć proces mnie, a nawet już izolować.

— Do ostatniego kroku pan sam nas zmusza.

— Bynajmniej, gdyż pan sędzia zdaje sobie chyba sprawę z tego, że ja przed procesem nie ucieknę. I owszem — chcę, by się odbył! Lecz nie fragmentarycznie, a w całym swym zakresie, ze wszystkimi sprawcami wyżej wspomnianych zbrodni. Wyście ich nie znaleźli i najprawdopodobniej nie znajdziecie, a ja już ich znam. I dlatego muszę mieć swobodę ruchów, by przychwycić całą bandę!

Słowa Stanleya wywarły widoczne wrażenie nie tylko na sędzię śledczego, ale nawet na protokolanta.

— Zeznaje pan tedy, mister Stanley Murphy, — podjął znów swą indagację Tobin, — że pan zna sprawców porwania profesora Beniamina Murphy’ego i miss Gladys O’Connor. Skoro pan ich zna, czemuż pan uprzednio mnie pytał: „gdzież są sprawcy?”.

— Bo przede wszystkim policji obowiązkiem było ich wykryć.

— Teoretycznie ma pan rację. W praktyce bywa różnie. Nie mogę jednak ukryć mego przykrego zdziwienia, czemu pan znając sprawców, nie uważał za wskazane powiadomić o tym władze policyjne, co było pańskim obowiązkiem, lecz rezerwuje pan dla siebie przywilej „przechwycenia całej bandy” wchodząc w ten sposób samowolnie w kompetencje odpowiednich władz bezpieczeństwa. I wymaga pan ode mnie dla tych samowolności „swobody ruchów”?

— Muszę przyznać, że z punktu widzenia prawnego pan sędzia bardzo kunsztownie skonstruował jeszcze jeden zarzut przeciwko mnie. Nie ostoї się on jednak, jak domek kart przed dmuchnięciem, wobec faktu, iż poznałem sprawców dzisiaj przed godziną. Nie mogłem więc spełnić mego obowiązku powiadomienia policji, tym bardziej, że zaraz po tym wręczono mi ze spóźnieniem wezwanie do pana sędziego, na które niezwłocznie się stawiłem. Czy to mnie tłumaczy?

— Muszę przyznać, że najzupełniej.

— Bardzo się cieszę z tego powodu.

— Proszę więc teraz wymienić mi tych, zdaniem pańskim, sprawców.

Zamiast odpowiedzieć, Stanley począł się namyślać.

— Czy milczenie pańskie, — z lekkim zniecierpliwieniem podjął znów Tobin, — mam rozumieć jako zamiar nieodpowiedzenia na moje pytanie, do czego zresztą jako oskarżony ma pan prawo.

— Nie, — odparł wreszcie Stanley, — jeżeli nie odpowiedziałem od razu, to jedynie z tej racji, że chciałbym uprzednio poznać pogląd pana sędziego na sytuację. Czy mogę w tym celu zadać mu pytanie?

— Proszę zadać.

— Jeżeli się widzi pewnych ludzi, nie będąc przez nich widzianym i słyszy rozmowę bez ich wiedzy, a z rozmowy tej wynika, że oni są uczestnikami przestępstwa, czy fakt taki można uważać za dowód oskarżający ich?

— W każdym razie za bardzo obciążającą poszlakę. Za nitkę, która może doprowadzić do kłębka. Czy pan sam widział i słyszał to, o czym pan mówi?

— Nie. Było nas czworo. Troje pozostałych może potwierdzić prawdę mych słów.

— To wzmacnia pańskie zeznanie. Zatem?...

— Oświadczam, że przez telewizor z pracowni mego ojca widziałem i słyszałem dwie rozmowy: jedna prowadzoną w gabinecie sekretarza generalnego „Murphy’s Laboratory”, drugą w laboratorium astrofizycznym. Rozmowy te dają mi prawo twierdzić, że znam sprawców przestępstw popełnionych na osobie mego ojca i miss Gładys. I ujawniają one plany przyszłych machinacji.

— Któż byli ci rozmawiający?

— Sekretarz John Fletcher. Niejaki Dual, redaktor i dwaj laboranci Max i Hoszamura.

Nagle tok zeznania Stanleya przerwał rzęzący kaszel protokolanta.

— Co się panu stało, mister Schmiedt? — spytał zaniepokojony sędzia.

Schmiedt formalnie dusił się. Z chustką przy ustach wstał, chciał coś mówić, lecz nie był w stanie powiedzieć słowa. Wreszcie jął wskazywać ręką na drzwi.

— Dobrze, — rzekł Tobin, — niech pan wyjdzie. Może się pan napije wody, czy... Poczekamy na pana.

Schmiedt zataczając się i dławiąc w astmatycznym widocznie ataku wybiegł zatraskując drzwi.

— Dziwna rzecz, — zauważył sędzia, — nigdy mu się coś podobnego nie przytrafiło... Pokasływał czasem, ale taki atak...

Atak widocznie musiał być groźny i przewlekły, gdyż upłynął kwadrans, a protokolant nie wracał.

— Mam jeszcze sporo innej pracy, — rzekł wreszcie Tobin, — więc zakończymy na tym dzisiejsze badanie. Pańskie „telewizyjne” zeznanie skieruję oczywiście, gdzie należy. Proszę nie oddalać się z miasta, bo w najbliższym czasie znów pana wezwę. Tymczasem przeczytamy i pan podpisze dziesięjszy protokół. Wkrótce Stanley wracał do siebie rozważając odbyte badanie.

Protokolant Schmiedt wypadłszy z pokoju sędziego doznał widocznej ulgi. Pokasływał coraz słabiej wlokąc się korytarzami, dopóki nie doznał do budki telefonicznej. W budce widocznie jeszcze cierpiał, gdyż nie wychodził z niej przez bardzo długi czas. Wreszcie nagle wypadł i ocierając spocone oblicze pomknął ku wyjściu z Hall of Justice trwożliwie zerkając wokół z obawy natknięcia się na Tobina. Na Kearny Street dopadł taksówki i pomknął do Klubu „Miłośników wędki”. W holu czekał na niego zarządzający.

— Jest już który? — gorączkowo spytał Schmiedt.

— Wisiałem przy telefonie do tej pory, — odparł zarządzający, — dałem znać wszędzie, gdzie tylko mogłem. Spodziewam się, że nasi w ciągu godziny nadjadą.

— Głupiś! Wszyscy muszą się zjechać. Wszyscy czterej. Nasi i Fletcher i Hoszimura.

— A gdzie ja go znajdę? Niech diabli wezmą żółtka!

— Razem z nim i nas mogą djabli wziąć! Rozumiesz? Do telefonów!

I póty dzwonili obaj, aż wreszcie dopięli skutku. Hoszimura przyjechał nawet z Wiszatronu. Przybyli Dual i Max. Ostatni zjawił się Fletcher.

Po służbowym meldunku Schmiedta o stanleyowskim zeznaniu, w zielonym gabinecie odbyła się konferencja, z której nawet stenograficzny raport byłby arcydziełem groteskowego melodramatu.

Po straszliwej konsternacji główną rolę zarządzającego paniką objął Max, a kandydata na bohatera samobójczego „dżibaku” odegrał Hoszimura, nie szczędząc zebranych kwiecistych cytat z najlepszych poetów japońskich. Po tyradzie Duala a la Hitler przed rozwaleniem się trzeciej Rzeszy, gdy wszyscy ochrypli od wybuchów wpadli w apatyczny stan skazańców, zabrał głos Wiszatron i ze spokojem bramina a fachowym znanstwem telewizji naszkicował zebranych swój projekt tymczasowego wyjścia obronną ręką z paskudnej sytuacji.

Projekt zaaprobowano w dziękczynnym milczeniu i wzięto się natychmiast do jego realizacji.

PRZERWA OBIADOWA

— Bardzo byłam niespokojna o ciebie, najdroższy, gdy mi Hannibal z grobową miną zameldował, że cię wezwano do sędziego śledczego.

— Skieruję jego energię na właściwą drogę. Musi się natychmiast zająć obiadem, na który zaprosiłem Kanię, choć się bronił rękami i nogami nawet próbował.

— Obiad już gotów, lecz powiedz mi przedtem, jak się odbyło badanie?

— Jak widzisz, jestem zdrów i cały, więc do tortur nie doszło.

— Żartujesz sobie z mych trosk...

— Bo nie ma do nich w tej chwili żadnych podstaw. Zapomnijmy, orchideo moja, o burzach życiowych i spędźmy chociaż godzinę na biesiadnej beztrosce, podczas której zresztą wszystko wam opowiem. A ot i Hannibal. Co powiesz, stary plotkarzu?

— Zawsze staram się mówić prawdę, sir. Obiad na stole, a mister Kania w fotelu przy stole.

— Tym razem gotów jestem uwierzyć, żeś nie zełgał. Służę mej pani ramieniem.

— Biada beznogim! — skarżył się Kania młodej parze wchodzącej do jadalni, — Hannibal odciągnął mnie od roboty i dotoczył tutaj, bym swym ułomnym widokiem psuł państwu apetyt.

— Do tego stopnia nie pragnie pan naszego towarzystwa?— spytała z uśmiechem Gladys.

— Ależ pragnę, jak kania dżdżu!.. — spieszył się Kania, — tylko że...

— Markotno ci, że nie możesz nadskakiwać mojej narzeczonej, niedołężny paralityku! — znęcał się nad przyjacielem Stanley.

— Nadskakiwać? Co za ironia! Nie byłbym w stanie nawet smażyć cholewek...

— Wyczuwam, — rzekła Gladys, — w tym słownym turnieju styl polskiej...

— Szarży? Nietyle kawaleryjskiej, co aktorskiej? — wtrącił swe trzy grosze Stanley, — masz rację, kochanie moje irlandzkie! Wobec czego Hannibalu, dokarmiaj jak możesz mister Kanię, żeby tyle nie gadał, bo przecie...

Zapukano silnie do drzwi. Stanley nagle zamilkł nad słuchując.

— Bogu dzięki, że to pukanie zatkało i ciebie, — mruknął Kania.

Hannibal spiesznie wyszedł i niezwłocznie wrócił meldując:

— Przyjechał profesor Lurie-Malliot.

— Prosić! — zawołał Stanley i szybko wstawszy skierował się ku drzwiom.

Gladys zbladła wbijając osłupiały wzrok w profesora stojącego na progu.

— Przepraszam, że przeszkodziłem w obiedzie, — rzekł głuchym głosem Lurie-Malliot.

— Ależ przeciwnie! — odparł Stanley, — będziemy sobie poczytywać za zaszczyt, jeżeli profesor zechce łaskawie zaszczyścić swą osobą nasz...

— Przyleciałem z Pasco i dziś jeszcze muszę być z powrotem, oczywiście po otrzymaniu potrzebnych wyjaśnień.

— Jesteśmy wszyscy całkowicie do dyspozycji pana profesora, lecz przypuszczam, że skromny posiłek, zwłaszcza po podróży, nie przeszkodzi nam w rozmowie. Profesor pozwoli sobie przedstawić: miss Gladys O'Connor, moja narzeczona.

— Ooo... Cóż Za piękna osoba wyrosła z dziewczynki, którą poznałem swego czasu. Bardzo się cieszę z tej metamorfozy i z dobrej wiadomości udzielonej mi przez pana, mister Stanley Murphy.

— A to mój przyjaciel, Tadeusz Kania. Nie może wstać, bo mu jeszcze dolega porażenie dolnych kończyn przez neutrony.

— Mamy ustawiczne te wypadki i u nas.

Hannibal tymczasem przygotował nowe nakrycie i przystawił fotel.

— Bardzo prosimy, by pan profesor zechciał z nami *usiąść*, — zapraszała Gladys.

— Dziękuję, ale kiepski ze mnie smakosz. Bawię się w wegetarianizm.

— Jestem pewny, że i pod tym względem ten oto tu obecny majordomus Hannibal nie skompromituje naszego domu, — zapewnił Stanley.

— Dziękuję, sir, — szepnął Hannibal tkwiący już obok profesora z półmiskiem jarzyn.

Przez chwilę przy stole grało milczenie pod lekki akompaniament sztućców i noży.

— Czy bardzo jestem podobny do mego sobowtóra? — podjął rozmowę Lurie-Malliot zwracając się do Gladys.

— Prawie nie widzę różnicy, tylko ją słyszę, — odpowiedziała wciąż jeszcze nie mogąca przyjść do siebie Gladys.

— Zatem inny tembr głosu?

— Nie tylko. Jeszcze większa różnica tkwi w sposobie wypowiadania myśli.

— Nie mogę się pozbyć resztek mego francuskiego akcentu.

— Przepraszam, że się źle wyraziłam. Myślałam o formułowaniu i poziomie myśli.

— Dlaczego pani usuwa się po za obręb atrybutów swej płci? Pani się należą komplementy, nie mnie.

— Powiedziałam prawdę, — broniła się Gladys.

— Gladys zawsze, niestety, mówi prawdę, — wtrącił Stanley.

— Oh, Stanley! Dlaczego „niestety?”

— O ile mogę przypuszczać, mister Stanley myślał zapewne o rozmowie z moim sobowtorem.

— Tak jest.

— Kiedy ja wówczas byłam pewna, że rozmawiam z panem, profesorze, — tłumaczyła się Gladys.

— Obydwa, mister Stanley, jesteśmy w tej chwili przez panią zawstydzeni.

Piękność Gladys stanęła w zorzach rumieńców zażenowania.

— Jestem jednak przeświadczony, — ciągnął profesor udając, że tego nie dostrzega, — iż mimo wszystko niewiele ze słów pani wyciągnął pozytywnych korzyści mój sobowtór.

— Dlaczego?

— Bo by pani tak łatwo nie wrócono wolności, gdyby kid-

napperzy mogli się po pani spodziewać jeszcze jakichś profitów. Z tego wynika, że zniszczenie przez mister Stanleya dokumentów dotyczących się A. R. 7 uwolniło panuj.

— Podziwiam przenikliwość profesora, bo nigdy mi to nie przyszło na myśl, — rzekł szczerze Stanley, — widocznie jest jakaś sprawiedliwość na świecie.

— Gdyby była, — odparł z powagą Lurie-Malliot, — mój przyjaciel Benjamin Murphy siedziałby tu teraz z nami.

Chłód ponurego milczenia przewiał przez pokój.

— Coraz bardziej wygląda na to, — podjął półgłosem profesor, — że poczucie sprawiedliwości jest jakąś chorobliwą bodaj spekulacją naszego mózgu, bo pojęcie to poza stosunkami stworzonymi przez ludzi zdaje się nie istnieć w przyrodzie. Zresztą w miarę rozwoju historii wegetuje ono jako pretekst i służy głównie za dymną zasłonę słów, by pod jej pokryciem tym swobodniej można było załatwiać sprawy nic wspólnego z sensem sprawiedliwości nie mające.

— To straszne! — szepnęła Gladys i wstała.

— Dla przyszłości ludzkiej — tak, — wstając również rzekł Lurie-Malliot, — jeżeli państwu to nie robi różnicy, chciałbym przeprowadzić resztę rozmowy tam, gdzie pracował mój przyjaciel. W „kabinie pilota”.

— A ja wrócę do pracy, — rzekł Kania.

— Przypuszczam, że profesor zgodzi się, byś pojechał z nami. Kania jest obecnie, panie profesorze, generalnym dyrektorem „Murphy’s Laboratory”.

— W takim razie, proszę pana z nami, — zdecydował Lurie-Malliot.

Gdy znaleźli się w „kabinie”, profesor Lurie-Malliot obrzucawszy ją wzrokiem jął obchodzić gąszcz modeli aparatowych, jak gdyby czynił inspekcyjny przegląd. Przed niektórymi przystawał, skłaniał z powagą głowę, zdawało się, że wita zasłużonych starych wiarusów. Obszedł wokoło biurko Murphy’ego lustrując tłum nagromadzonych na nim przyrządów. Z goryczą zacięły mu się usta, gdy ujrzał rozwartą pustą kasetę po dokumentach A. R. 7.

Stanley, Gladys, Kania w fotelu i Hanibal tkwiący przy nim jak sztydłach w dławiącym milczeniu wodzili oczyma za Lurie — Malliotem. Podszedł wreszcie ku nim i zakreślając ręką łuk wokoło rzekł półgłosem:

— Armia bez wodza. Pamiętam, gdy tworzył to wszystko nie jak Cezar, tupnięciem nogi wywołując spod ziemi legiony, lecz

w ciężkim nadczołowieczym mozole tytana, budującego lepsze jutro dla ludzkości. Zaiste — był to Prometeusz jutra.

— A ileż by jeszcze mógł dać światu, gdyby nie... — i łzy zabłyśły w oczach Gladys.

— Tak, — zgodził się Lurie - Malliot, — lecz nie zmienimy przeznaczenia. Pozostaje nam niestety tylko troska, jak zabezpieczyć twórczy spadek po nim, by nie zrabowały go na swój wyłączny użytek chciwe a niepowołane ręce.

— Tego bał się najbardziej, — dodała Gladys.

— Siądźmy więc w obliczu tego miasta, — rzekł Lurie-Malliot wskazując na panoramę San Francisco widniejącą za szklaną ścianą kabiny, — i pomówmy o tym.

Hannibal podtoczył do siadających fotel z Kanią i dyskretnie wysunął się z kabiny zamykając drzwi.

— Chciałbym przede wszystkim poznać pogląd pana na tę sprawę, mister Stanley, jako jedyne go prawnego spadkobiercy, — zaczął profesor Lurie - Malliot, — o ile przyjaciel mój nie pozostawił testamentu.

— Mam wrażenie, że testamentu nie ma, — odparł Stanley, — boby mnie o tym powiadomił adwokat Pringle, który był prawnym doradcą ojca. W każdym razie ja nawet będąc spadkobiercą formalnie, nie poczuwam się do tego moralnie i do spadku po ojcu pretendować nie będę.

— Cóż się więc stanie z „Murphy’s Laboratory?”

— Na razie zdałem opiekę nad zakładem memu przyjacielowi Kani. Po zakończeniu zaś procesu o zniszczenie przeze mnie A. R. 7, który to proces pod presją „opinii” rychło się zacznie, uważam za swój obowiązek przekazać „Murphy’s Laboratory” w ręce powołane, to znaczy — w pańskie, panie profesoro. Będzie to, jak wiem ze słów Gladys, wykonaniem moralnego testamentu mego ojca.

— Nie wątpiłam, najdroższy, że tak uczynisz, — rzekła Gladys.

— Przyjmuję z uznaniem zamiar pana pod nieodzownym jednak warunkiem, że z „Murphy’s Laboratory” wytworzy się instytut, którego tylko kierownikiem gotów jestem zostać. Lecz odłożmy na razie tę skomplikowaną sprawę do odpowiedniego czasu, a zajmijmy się grożącym panu procesem. Proszę mnie zorientować w tej mierze.

— Przypuszczam, że mógłby pan profesor powziąć orientację przeglądając bieżącą prasę, — z gorzkim uśmiechem odparł Stanley.

— Znam to naświetlenie, lecz chodzi mi o istotny stronę medalu.

— Faktem jest, że zniszczyłem dokumenty dotyczące A. R. 7, jak niemniej jest faktem, że zniszczyłbym je jeszcze raz, gdyby gdziekolwiek znów się w innej nawet formie znalazły.

— Skądże w panu ta zawziętość?

— Z przekonania, że tyle ciemnych sił nastaje na pozyskanie ich sobie, że obronić przed nimi wynalazku nie widzę możliwości. A gdy go zdobędą, przerobią na najokrutniejszą broń wojenną. Na razie w całej tej ponurej historii widzę jedynie tylko błysk nadziei. Jest to możliwość, że uda mi się zdemaskować pewną część tej bandy. Tych mianowicie, którzy spowodowali śmierć mojego ojca.

I Stanley w krótkich słowach opowiedział profesorowi incydent z telewizorem.

— Dziś podczas pierwszego badania mnie u sędziego śledczego, — zakończył swe opowiadanie, — podałem mu ów fakt i nazwiska zbirów. Przypuszczam, że policja, gdy się jej wepchnęło nos w świeży trop, dostarczy sądowi należytych dowodów dotyczących śmierci ojca, a równocześnie naświetlających odpowiednio i dla sądu zrozumiałe moje „przestępstwo”.

— Więc Fletcher, Hoszamura, Max i Dual... — w zamyśleniu rzekł Lurie - Malliot.

— Moim zdaniem, jest to tylko pierwsza transza, — zapewniał Stanley, — nagonka prasy na mnie dowodzi, że i inne zorganizowane ośrodki należą do tej akcji. Bądź to wspólnie ze zdemaskowanymi, bądź na własną rękę.

— Ma pan rację. Jest to robota Trustu Miliarderów. Zdaję sobie teraz z tego sprawę z całą pewnością, — rzekł z naciskiem Lurie-Malliot i spojrzawszy na zegarek wstał, — pora już na mnie. Muszę wracać do Pasco.

Stanley i Gladys też wstali.

— Panie profesorze, — odezwała się Gladys, — my rozumiemy, że czas pański jest drogi... Czyby jednak ze względu na powagę sytuacji nie można było znów nawiązać radiowego kontaktu pomiędzy naszą stacją a pańską.

— Widać na pani szkołę Murphy'ego. Pomyślałem już o tym. Oto notes. Jest w nim nowa fala i czas oraz specjalny szyfrowany code za pomocą którego będziemy się porozumiewać chociażby codziennie.

— Serdecznie dziękuję, — przyjmując notes rzekła Gladys.

— Do widzenia, mister Stanley. Proszę liczyć na pomoc

z mej strony. A panu, mister Kania, życzę rychłego powrotu do zdrowia. W razie potrzeby proszę też korzystać z radiowego kontaktu ze mną.

— Czy mógłbym zadać panu profesorowi jedno pytanie, być może pozbawione taktu? — spytał nagle Kania.

— Jako mój czasowy zastępca ma pan poniekąd prawo nawet do niedyskretnych pytań. Słucham.

— Zakłady w Pasco są własnością „Dupont de Nemours?”

— Właściwie w Hanford, lecz poniekąd i w Pasco. Tak. To domena Trustu Miliarderów.

— I pan profesor u nich pracuje?

— Tak jest. Wziąłem na siebie obowiązek dozoru nad wrogiem. Dlatego u nich pracuję. Benjamin Murphy wiedział o tym.

— Najmocniej przepraszam, — odparł zmieszany Kania.

CHYBIONY STRZAŁ

Nazajutrz z rana Stanley z Gladys pojechali na cmentarz na grób profesora. Kania tkwiąc w swym fotelu w kancelarii zarządu starał się opanować chaos, jaki coraz bardziej wypaczał prace laboratoryjne. Brak twórczej woli „Edisona Nr. 2” ujawniał się coraz natarczywiej. Pomijając, że nie mogło być mowy o jakichkolwiek nowych poczynaniach, nawet doświadczenia będące już w toku ustawały, bądź wjeżdżały na ślepe tory fiasca, pozbawione w odpowiednich momentach trafnych instrukcji. Zła wola i niechęć poszczególnych starszych badaczy w stosunku do osoby Kani też dawały się ciągle odczuwać. Kania bolał nad tym, lecz nie był w stanie zapanować nad sytuacją wymagającą pewnej ręki doświadczonego i pełnego inwencji uczonego. Kania był zdolny, nawet bardzo, lecz brakło mu polotu w tak szerokim zakresie.

— Nawet drapnąć stąd nie mogę, — goryczył się nieszczęsny, — i w rezultacie, nim obejmie batutę Lurie-Malliot, zdążyć doprowadzić całe „Murphy’s Laboratory” do ostatecznego bałaganu!

Przejrzał wycinki prasowe nadesłane przez Fletchera i zasnuć się jeszcze bardziej.

— W jakież rozdoły paskudztwa wtrącić może kanalia ludzka tak zwaną wolność prasy, — pomstował bezradnie, — jedynym zabiegiem hamującym tych kondotierów pióra mogłoby być tylko jakieś kolektywne, widnokrężne mordobicie!

Odepchnąwszy fotel od biurka, zadzwonił na Hannibala i polecił mu przetranslokować siebie do kabiny.

— Nie mogąc się dogadać, zbadani bodaj wglądem rozmiary pogromu, — rozmyślał po drodze, — a może mi potem Lurie-Malliot da jakie zbawienne wskazówki.

Zostawszy w kabinie sam jął czynić telewizyjną inspekcję laboratoriów, która go przygnębiła jeszcze bardziej. Pracownicy zajmowali się wszystkim z wyjątkiem doświadczeń. Grano w bridża, w pokera, nawet w jednej z pracowni zainicjowano turniej bokserski. Połączył się wreszcie z gabinetem Fletchera i tu spotkała go największa niespodzianka.

Fletcher konferował z Dualem. Boba nie było.

— Nareszcie uśmiechnął mi się garbaty los, — pomyślał Kania, — może ci ptaszkiwie wyśpiewają coś niecoś.

Rzeczywiście. Obaj sprzymierzeni omawiali plan pogrążenia Stanleya.

— Należy czynić wszystko, — instruował Fletchera Dual, — by wyprowadzić młodego Murphy'ego z równowagi. Pobudzać do wybuchów gniewu, możliwie wobec świadków. Nakłaniać do najbardziej bezsensownych rozporządzeń. Jednym słowem gromadzić dowodowe materiały, które by potem mogły nasunąć możliwości przypuszczeń, że mister Stanley jest na dobrej drodze do szpitala wariatów. Osiągnięcie tego efektu bardzo szybko zrealizowało by wszelkie nasze zamiary.

— Śliczny plan, — odparł Fletcher, — ale jak przywiązać kotowi dzwonek do ogona, skoro odszedł poza obręb wszelkich osobistych kontaktów z zakładem, wyręczając się we wszystkim tym ułomnym cymbałem — Kanią!

— Nawet mu nie mogę odpowiedzieć kałamarzem w łeb, — pomyślał z irytacją Kania, — bo co najwyżej stłukłbym tylko taflę telewizoru.

W tym momencie ukazał się w drzwiach podinspektor Archbald. Fletcher jak gdyby go nie spostrzegł ciągnął dalej.

— Nie. Pomyśl zrobienia ze Stanleya Murphey'ego wariata, acz dobry w zasadzie, jest praktycznie niewykonalny, chociaż...

— Słyszę, że koncypuje pan ciekawe plany, mister Fletcher, — wtrącił się nagle Archbald podchodząc do rozmówców.

— Z nudów, panie inspektorze, — odparł spokojnie Fletcher, — niewiele jest teraz do roboty, więc się tak zabawiamy z redaktorem Dualem.

— Rzykowna zabawa, mili gracze... Co tutaj tak gdzieś brzęczy?

I Archbald jął nadśluchiwać.

— Najprawdopodobniej panu inspektorowi dzwoni w uchu, — z poważny miną, jak gdyby stawił diagnozę, rzekł Dual.

— Radziłbym się strzec, żeby panu redaktorowi nie zadzwoniło w uchu przy policyjnym badaniu trzeciego stopnia, — ostrzegł Duala Archbald.

— Odlóżmy żarty na stronę, — nagle z innego tonu rzekł Fletcher, — istotnie brzęczy. Wie pan inspektor co? Brzęczek przy telewizorze.

— Nie rozumiem.

— Bardzo prosta kombinacja. Ktoś nas w tej chwili podpatruje i podsłuchuje przez telewizor z „kabiny pilota”.

Kania osłupiał.

— Zwykle robił to za życia nieboszczyk profesor Murphy kontrolując w ten sposób wszystkich swych pracowników. Lecz figielek ów miał krótki żywot. Gdy został, przypadkiem zresztą, wykryty, zabezpieczyliśmy się przed manewrem wglądu, uwłaczającego naszej godności ludzkiej, przez montaż przy telewizorowych (nawiasem mówiąc — zręcznie zamaskowanych) gniazdkach brzęczków ostrzegających nas z chwilą włączenia prądów do telewizoru. Przy tym niektórzy laboranci, odpłacając pięknym za nadobne, umyślnie dokuczali profesorowi złośliwymi uwagami pod jego adresem, pracując zresztą równocześnie wówczas z gorliwością.

— Bardzo interesująco pan ilustruje metody i klimat „Murphy’s Laboratory”, — zauważył Archbald, — a słowa pańskie rzucają nowe światło na całą aferę.

— Cieszę się mogąc być użyteczny sprawiedliwości. W ostatnich czasach, że wyczerpię tę materię do końca, brzęczki znowu nas ostrzegły o szpiegowskich wglądach z kabiny. Postanowiliśmy w odwecie mistyfikować nowych kontrolerów inscenizując figle innego rodzaju. Właśnie w taką porę pan nadszedł.

— Mam policyjnego pecha, że często nadchodzę nie w porę.

— Tym razem bardzo a propos, gdyż i ci z kabiny słysząc naszą rozmowę i zdając sobie sprawę z własnej kompromitacji na pewno skończą z procederem bezsensownych w'glądów. Nieprawdaż, że damy sobie nawzajem spokój, panowie z kabiny! — skończył Fletcher patrząc w kierunku, skąd słychać było brzęczek.

Kania był tak speszony, że odruchowo przerwał telewizję.

— Już panu nie dzwoni w uchu panie inspektorze? — spytał Dual.

Archbald milcząc włożył kapelusz na głowę i bez pożegnania wyszedł.

— Nnno! Udało się, — odsapnął Dual, — Wisztru zasłużył na nirwanę.

— Jednak Archbald wyszedł wściekły. Obawiam się, że moja bajeczka nie zaspokoila stuprocentowo jego fachowego wścibstwa.

— Byle wygrać ze dwa dni konieczne do zamiecienia za sobą śladów.

— Panom łatwo przyjdzie zmienić do czasu teren, ale mnie? — zasępił się Fletcher.

— A któż panu broni zaszyć się w jaki kąt?

— Chociażby przysłowie: „siedz w kącie, a znajdą cię”.

Kania sklął się w duchu za odruchowe wyłączenie telewizoru, które go pozbawiło finału rewelacyjnej sceny.

— „A, cóż to za osioł ze mnie, — tak się raz cielę łajało”, — zastosował głośno do siebie cytate z bajkopisarza i już chciał z powrotem włączyć telewizję, gdy palnął się w czoło i obezwał tym razem kwadratowym osłem zrozumiawszy, że ponowne włączenie wprawi w ruch brzęczek i ostrzeże tamtych.

Tedy przywołał na pomoc całą swoją inteligencję i oddał się rozmyślaniom nad nowoutworzoną sytuacją.

— Niewątpliwie wyjaśnienie Fletchera powtórzone sędziemu przez Archbalda ośmieszy Stanleya i odbierze jego dalszym zeznaniom walory istotności. Oskarżony, do którego słów sąd przestaje przykładać jakąkolwiek wagę, staje się bezbronną ofiarą sędziowskiej prezumpcji. Jednym słowem położenie Stanleya pogarsza się coraz widoczniej... Jak tu pomóc biedakowi? Żeby to był proces rozpadu atomowego, to bym jako specjalista mógł coś wydedukować, ale wśród lotnych piasków procesu sądowego jestem jak dziecko we mgle. Zaraz. Spróbuję się skontaktować z Lurie - Malliotem. On, mimo że geniusz naukowy, jest życiowo mądry. Code został tu gdzieś na biurku... Jest. I Kania puścił w ruch stację nadawczą. Nie mógł jednak uzyskać kontaktu. Wtedy dał telefoniczną dyspozycję Hannibalowi, by mu dostarczył Darleya. Przybyłemu detektywowi jął wyłuszczać całą sprawę.

— Wiem już o tej historii, — przerwał mu w połowie Darley, — podinspektor Archbald dał mi w tej mierze pewne instrukcje, które o ile się uda przeprowadzić, to kto wie, czy cała rozmówka Fletcherowska z Archbaldem, którą pan słyszał, nie okaże się zainscenizowanym bluffem.

— Co pan mówi?! Bo ja już myślałem...

— Pan myśli po uczonemu, a my — po swojemu. Inne za-

kresy, inne metody. Panowie demaskujecie prawa natury, a my— bezprawie ludzkie.

— Mister Darley! jest pan najlepszym filozofem pomiędzy detektywami, a ja niestety najgorszym detektywem pomiędzy fizykami.

— Pan mnie zawstydza, a siebie umniejsza, bo łatwiej nakryć przy robocie gangstera, niż atom.

— Bo ja wiem. Zarówno jeden, jak i drugi stara się wyknąć spod nadzoru.

— Dlatego też muszę już iść, by mi się moje ludzkie atomy nie powymigiwały! — skończył rozmowę Darley, a od progu nagle dodał, — może by dobrze było, gdyby pan i mister Murphy pokonferowali jeszcze dziś z adwokatem Pringle.

— Dziękuję panu za dobrą radę, lecz nie znam osobiście pana Pringle.

— Zaraz do niego zatelefonuję.

— Najlepiej byłoby, gdyby go pan zaprosił, na moją odpowiedzialność, w imieniu Stanleya dzisiaj tu na obiad.

— Załatwię to niezwłocznie, leżeliby spotkanie nie mogło dojść do skutku, dam znać.

Po odejściu Darleya Kania znów spróbował uzyskać połączenie z Lurie - Malliotem i tym razem szczęście mu dopisało. Profesor słuchał cierpliwie z trudem układanej szyfrowo relacji Kani, co pewien czas potwierdzając jej odbiór. W trakcie tej żmudnej operacji wszedł do kabiny Stanley z Gladys wróciwszy z cmentarza.

Na Gladys znać było jeszcze ślady wzruszenia. Stanley, jak zwykle, nadrabiał miną.

— Do kogo pukasz, dzieciule? — spytał od progu Kani.

— Byłem świadkiem przez telewizor niesłuchanej sceny, która...

— Już nam o niej meldował Darley.

— Więc teraz udało mi się skontaktować z Lurie-Mailiotem, któremu... masz tobie! pomyliłem się... Nie przeszkadzaj mi, bo nie jestem w stanie gadać na dwa fronty!

— Nie kompromituj się swą nieudolnością wobec Gladys. Pomogę ci, niedołągo! Daj code. Co chcesz mu powiedzieć?

— Nie dam. Profesor teraz odpowiada... Notuj! 8 stop 13 — 4 — 23 stop a — 6 mz — cyas stop 18 — 5 — 27 — dbe stop 8 — rtdp — 13 — sar 8 stop. Odcyfruj.

— Ja panu pomogę, — rzekła Gladys biorąc code z ręki Ka-

ni i odczytując przez ramię Stanley'a zanotowany szyfr, — „muszę przerwać, ciąg dalszy nadać dzisiaj o 19”.

— Widzisz. To jest robota fachowa, — dokuczał Kani Stanley, — odszyfrowane w niespełna pół minuty.

— Nabyłam po prostu rutyny przy profesorze, więc nie przypisuj mi specjalnej zasługi. Zanotował pan, mister Kania, odpowiesz profesorowi?

— Owszem, ale nie ma w nich nic pozytywnego oprócz potwierdzeń odbioru mych relacji, których zresztą nie ukończyłem. Pozwoliłem sobie natomiast za radą Darleya zaprosić na obiad adwokata Pringle.

— Dobrze zrobisz. To mądry facet. Napewno trafnie oświetli nam sytuację z punktu widzenia prawnego.

Przerwało im pukanie do drzwi. Po otwarciu szybko wszedł Darley.

— Coś nowego? — zwrócił się doń Stanley.

— Wygląda na to. Dual opuściwszy Fletchera poszedł do laboratorium astro-fizycznego i konferuje tam z Hoszimą i Maxem.

— Kania, włączyć telewizor! — zawołał Stanley.

— Co pomoże?... Brzęczek...

— A nuż go tam nie ma?

— Nie docenia ich pan, — zauważył Darley, — lecz może w pierwszej chwili zauważymy lub usłyszymy coś dla nas ciekawego.

— Słusznie, — rzekł Kania i włączył telewizor.

Na taflę ukazało się laboratorium astrofizyki, w którym rozgrywała się dziwna scena. Dual trzymając Maxa oburącz za klapy marynarki i potrząsając nim tak, że okulary trzymały się już tylko na jednym uchu, darł się z pasją:

— Zawsze byłeś idiotą, tchórze jed... — i w tejże chwili puszczając klapy astrofizyka z wybuchem śmiechu mówił dalej, — tak mu powiedziałem bez żadnych ogródek! Ha-ha-ha!..

— A cóż on na to? — spytał Hoszimą, który przyglądał się z ironicznym półśmiechem stojąc na boku.

— Nic. Poprawił okulary i otrzepując klapy marynarki flegmatycznie odpowiedział: „niepotrzebnie pan się tak unosi, bo w handlu nie ma gniewu... a gdyby nas tak kto z boku zobaczył, to by pomyślał, że się awanturujemy”.

— Bardzo dobry kawał, jednak nazbyt wiele dynamiki włożyłeś w to opowiadanie, — rzekł Max poprawiwszy okulary

i marynarke— a tempo słów Duala,— ale dość tych gawęd. Pora iść na obiad.

I trójka wyniosła się z pokoju. W kabinie przez chwilę panowało milczenie.

— To są majstry, — rzekł wreszcie Darley potakując sobie głową, — ale sądzę, że wiele by dali, żebyśmy ich nie przyłapali tak in flagranti.

W tej chwili w uchylonych drzwiach pokoju ukazała się głowa Maxa i szybko zniknęła z powrotem.

— Może pan już wyłączyć telewizor. Wystarczy. Należy ich jednak nadal coraz nawiedzać telewizyjnie.

— Teraz już chyba będą się mieć na baczności.

— Oczywiście, ale wojna nerwów ma swoje znaczenie.

Adwokat Pringle w przeciwieństwie do wegetarianizmu profesora Lurie-Malliota był wielkim smakoszem i znawcą win. Hannibal dowiedziawszy się od Gladys o zaproszeniu go na obiad odbył niezwłocznie bardzo poważną konferencję z kucharzem, po czym w kuchni zapanowało piekło, z którego jednak wyłoniło się menu sprecyzowane przez mecenasa Pringla jako „niebo w buzi”.

Mister Pringle celebrował konsumowanie potraw pod akompaniament win nalewanych mu przez Hannibala z takim nabożeństwem, że pozostali współbiesiadnicy nie śmieli naruszać tej dostojnej ceremonii niewczesną rozmową. Dopiero po podstawowym zaspokojeniu gastronomicznych aspiracji mecenasa zawiązała się przy deserze biesiada duchowa.

— „Po uczcie, gdzie cię darzą jedzeniem obfitem, bacz, abys zawsze wstawał z dobrym apetytem”, rzekł Konfucjusz i miał rację, — przemówił wreszcie mecenas odsapnąwszy po obiedzie.

— A „post rybas cavam bibas”, twierdzili zawsze Rzymianie, — dodał z lekką ironią Kania.

— Cóż to za łacina? — zdziwił się mecenas.

— Kuchenna. Stosowna do sytuacji.

Mecenas lekkim grymasem zaznaczając niewłaściwość dowcipu Kani z sytą powagą zwrócił się do Stanleya.

— W przeświadczeniu, że każdej chwili mogę się panu okazać potrzebny poczyniłem już pewne sondowania sytuacji, która, czuję się w obowiązku podkreślić, nie przedstawia się nazbyt różowo.

— Byłem już na pierwszym badaniu u sędziego śledczego.

— Wiem. I popełnił pan dużą nieostrożność.

--- Jaką?

— Przewód sądowy jest to w gruncie rzeczy gra. Coś w rodzaju pokera. Nie można przy wstępnym tworzeniu puli ujawniać od razu swych kart.

— Bynajmniej nie ujawniałem. I owszem — zastrzegłem się, że dopiero w sądzie wyjaśnię motywy mego „przestępstwa”,

— Nie o tym mówię. Po co pan wyłuszczył sędziemu nazwiska Duala et consortes?

— Tobin zmusił mnie do tego grożąc aresztem.

— Bluff.

— Ładny bluff siedzieć do sprawy w kryminale.

— Po dwóch dniach wypuszczono by pana za kaucją.

— Albo i nie.

— Owszem. Najlepszy dowód, że już to załatwiłem.

— Bardzo dziękuję, ale wtedy nie miałem tej pewności.

— Trudno. Stało się. Lecz swym niezręcznym pośpiechem dał pan im szansę do bardzo zręcznego wyjścia poza obręb przypuszczalnych poszlak.

— Historia z inscenizowaniem komedii jest istotnie pomyślowa, ale dziś znów mieliśmy jeszcze jeden taki telewizyjny dowód...

— Wiem. Mówił mi o tym telefonicznie Darley. Owszem policja jak i pan nie wierzy im. Ale co policja ma innego do roboty prócz podejrzwania ludzi.

— Mister Pringle, dziś ich gierka była tak widoczna, — nie wytrzymał Kania.

— Dla pana — być może. Lecz proszę zrozumieć, że to nie jest żaden dowód dla sądu.

— Więc co jest dowodem?!

— Niewątpliwa stwierdzenie faktu. Nie-wąt-pli-we! Bo gdyby, na przykład, dziś pod pańskim domem znaleziono na ulicy zastrzelonego człowieka i gdyby pan oświadczył policji, że pan go zabił, to pan przypuszcza, że na zasadzie pańskiego gołosłownego oświadczenia skazano by pana za zabójstwo?

— Oczywiście.

— Myli się pan. Musiałby pan sądowi dowieść, że to pan zabił. Sprawiedliwość nie pozwala wprowadzać się w błąd i nie feruje wyroków bez pewności.

— A wczoraj, — rzekła nagle Gladys, — profesor Lurie-Malliot wyraził pogląd, że sprawiedliwości jako takiej właściwie

— Jednej nie ma, bo jest ich wiele. I musimy się z nimi li-
nie ma.

czyć w zależności od czasu, miejsca i obowiązujących ustaw. To za co w stanie Illinois trzeba siedzieć, w stanie Texas uchodzi bezkarnie. I odwrotnie.

— Toteż jest godne podziwu, — rzekł Stanley, — że tyle milionów ludzi chodzi na wolności. Człowiek jest jeden, a paragrafów na niego dybie kilka tysięcy.

— A od czegoż my jesteśmy? Adwokaci, przewodnicy naszych klientów wśród dżungli paragrafów.

— Liczymy dlatego na pana, mister Pringle, — z prośbą w głosie powiedziała Gladys, — że pan wywiedzie Stanleya z owej fatalnej dżungli.

— Proszę mi wierzyć, że uczynię wszystko, co będzie w mej mocy. Wiem, że proces już jest postanowiony. Zbyt silne wpływy prą ku temu.

— Więc sprawiedliwość podlega wpływom?

— Jest ślepa, więc żeby nie zbłądziła, można nią, o ile pozwoli, w odpowiednich chwilach kierować. Otóż, jak powiedziałem, będzie part, mister Murphy, odpowiadał z wolnej stopy. Idzie teraz o to, by pan tą wolną stopą znów nie zrobił jakiego fałszywego kroku. Ponieważ z jednej strony odpowiadam za pana przed władzami, a z drugiej bardzo bym chciał, żebyśmy nie posiadzieli...

— Obydwaj?

— Nie. Tylko pan. Wyraziłem się nazbyt metaforycznie. Przydzielę więc panu jednego z mych aplikantów, który mnie będzie stale powiadamiał o wszystkich fazach śledztwa. Zapewne jutro znów pana zaprosi Tobin...

— Na dalszy ciąg romansu?

— Tak jest. Mam dane, że proces odbędzie się niezadługo. W najbliższych dniach musimy ułożyć listę naszych świadków.

— Uważam, że powinien na niej przede wszystkim figurować profesor Lurie-Malliot, — z naciskiem podkreśliła Gladys.

— Tak jest. Choć jeszcze większą wagę przykładam do zeznań pani.

— Przyznam się, — rzekł Stanley, — że wolałbym nie mieszać Gladys w tę aferę.

— Jakto? Chcesz odtrącić mą pomoc? Oh, Stanley, nie uczynisz tego!

— Rozumiem pana, lecz wynik sprawy tego, niestety, wymaga.

— Dobrze. Namyślę się. Ostateczną odpowiedź dam za kilka dni.

— *Sądzę* więc, żeśmy w ogólnych zarysach omówili na razie wszystko, — i mister Pringle dodał wstając, — a że mój czas to...

— ...Herbata, — wtrącił Kania nagle.

— Nie rozumiem, — zdziwił się Pringle.

— Proszę mi darować ten wybryk humoru, lecz przypomniał mi się z sąsiedniej chińskiej dzielnicy zabawny dzięki omyłce ortograficznej szyld, na którym zamiast: „ciasto — herbata” było: „czasto — herbata”, — skomentował siebie Kania.

— Jak na fizyka miewa pan dziwne asocjacje myślowe. Ale — owszem zabawne, — przyznał łaskawie Pringle i ruszył z pożegnaniem do Gladys.

— Czego się wygłupiasz? — strofował w międzyczasie półgłosem Stanley Kanię.

— Bo mi kausyperda działa na nerwy.

— Aha. Byłbym zapomniał, — rzekł od progu mister Pringle.

Wszyscy stanęli w oczekiwaniu.

— Skąd się wzięła jeszcze jedna butelka tego burgunda? — zainterpelował Pringle Hannibala.

— Ośmieliłem się ją zachować dla pana mecenasa na szczególnie okazję, — ze skromną godnością odparł Hannibal.

— Twój imiennik Hannibal przeszedł tylko Alpy, ty zaś przeszedłeś samego siebie! — z emfazą wznosząc palec orzekł mecenas Pringle.

WAŻĄ SIĘ SZALE

Wypadki jęły się toczyć coraz szybciej zgodnie z fachowo proroczymi przewidywaniami adwokata Pringle. Lecz — jak to normalnie z prorocztwami bywa — nie brakło i zasadniczych od nich odchyień.

Prasa z dnia na dzień natarczywiej domagała się sądu nad Stanleyem Murphy, sądu który winien najbezwzględniej ukarać przestępstwo pozbawiające ludzkość dobrodziejstw genialnego wynalazku A. R. 7. W planowym roztrząsaniu różnych stron tego przestępstwa przez czasopisma, jak w brzmieniu poszczególnych instrumentów wykonywujących polifonicznie wielkie opus muzyczne, czuło się sprawną batutę jakiegoś niewidzialnego kapelmistrza. Całość przypominała chwilami zgiełk rzymskiego pospólstwa, gdy domagało się od cesarów rzucenia chrześcijan na pożarcie lwom — ad Leone!

Jednak — w zgodny ów chór zaczęły od pewnego czasu wpadać odosobnione wprawdzie głosy, lecz jakościowo ważkie, gdyż pojawiające się w periodykach naukowych i, w przeciwstawieniu do anonimowych artykułów prasy codziennej, częstokroć podpisywane nazwiskami znanych naukowców. Głosy te nie kwestionujące bynajmniej nieodwracalności faktu zniszczenia A. R. 7 (do czego zresztą przyznawał się jego sprawca) pozwalały sobie wyrażać śmiało, bo idące wbrew opinii, przekonania, że nie każde pozornie oczywiste dobrodziejstwo wynalazku w sumie swych wyników ostatecznych wychodzi ogółowi na użytek.

„Bo zważmy, chociażby”, pisał w miesięczniku „Science”

profesor B. M. Rathbone: „czy epokowy wynalazek aeroplanu powstały za naszej pamięci i z tak szalonym entuzjazmem witany przez całą ludzkość jako iszczący odwieczne marzenia człowieka, bo uskrzydłający go, więc dający mu możliwość rozszerzania psychicznych horyzontów przez bytowanie nie tylko na powierzchni planety, lecz i w przestworzach ponad nią, wynalazek — jak pierwotnie myślano, znoszący granice, i przez ułatwienie i wszechudostępnienie komunikacji zbliżający mało dotąd wzajemnie sobie znaną rodzinę narodów, — czy wynalazek ów, tak już udoskonalony, spełnił właściwie pokładane w nim nadzieje? Czy zbratał ze sobą narody? Czy uszczęśliwił ludzkość? Czy wpłynął na uszlachetnienie człowieka? Czy poza ściśle praktyczną korzyścią dostania się z Europy do Ameryki w przeciągu X godzin zamiast w ciągu X dni człowiek choćby w najmniejszym stopniu pogłębił czy umoralnił się dzięki temu?..

Prawda, że aeroplan przyczynia się do pewnej, zresztą li tylko utylitarnej ewolucji, lecz jeżeli te jego plusy położyć na jedną szalę, a na drugą zwalić wszystkie nieszczęścia, jakich powodem stał się przez zastosowanie go do celów wojennych, przez wszystkie zniszczenia prac stuleci, zdemolowania niezliczonych miast i portów i te dziesiątki milionów śmierci Bogu ducha winnych ludzi, — to doprawdy trudno jest przeceniać dobrodziejstwa, które dał ludzkości ów epokowy wynalazek. A pomyślny, czym jeszcze aeroplan może „obdarzyć” narody przy zastosowaniu bomby atomowej?..

Sprawa tedy nowych genialnych wynalazków nie jest tak prosta i jasna, jak się ogółowi naszej codziennej prasy wydaje”.

Oczywiście, że nieliczne te głosy tonęły w chóralnym harmidrze, niemniej przeto naświetlały sprawę A. R. 7 z tych stron, które dotąd dla oczów opinii tonęły w mroku.

Stanley otrzymał ponowne wezwanie od Tobina. Tym razem, poza potwierdzeniem słów Pringle’a, że będzie odpowiadał z wolnej stopy i że należy przewidywać rychłe ustalenie daty rozpoczęcia rozpraw sądowych, nasłuchiwał się od sędziego śledczego w trakcie badania sporo cierpkich uwag dotyczących niepokojeń władz nieuzasadnionymi podejrzeniami, wnoszącymi zamieszanie w tok śledztwa i wprowadzającymi je na ślepe tory.

— Nie chcę, jak dotąd, powodować się żadną nieprzychylną preumpcją w stosunku do pana, — perorował Tobin, — lecz wdawać się po chopnie w atrybuty przysługujące policji, jak podglądanie czy podsłuchiwanie osób trzecich, chociażby, posługując się środkami najnowszych wynalazków naukowych, nie

należy do metod fair play dla jednostki poczytującej się za dżentelmena i bądź co bądź nie naukowca.

— Pan daruje, panie sędzio, lecz...

— Przerywam panu, bo teraz ja mówię. Zresztą darowałbym i to, gdyby rezultat mówił sam za siebie. Lecz cóż widzimy? W równie niewybredny a odwetowy sposób zadrwiono sobie z pana.

— Jeszcze nie wiadomo z kogo.

— Przypuszcza pan, że i z osób w których towarzystwie znajdował się pan wówczas w „kabinie”? Niech i tak będzie.

— Przypuszczam zupełnie co innego.

— Radziłbym nie dzielić się ze mną rezultatem swych przypuszczeń, do czego pan jako oskarżony ma zupełne prawo, gdyż ponowne w tej materii, a kto wie czy nie równie płonne komunikowanie mi pańskich zwidzeń, mogłoby mnie utwierdzić tylko w nadmiarze lekkomyślnych spekulacji, którym się pan daje powodować. Tak.

Stanley, który postanowił sobie podczas badania trzymać nerwy na wodzy, zirytowany powyższą filipiką dość ostentacyjnie odwrócił oczy od Tobina. Spojrzawszy mimo woli na protokolanta zauważył zupełnie wyraźnie drwiący jego uśmiech. To było kroplą przepełniającą czarę jego cierpliwości.

— Czy to już wszystko, co pan sędzia miał mi dziś do pouczającego nadmienienia? — spytał wstając.

— Nie. Nie wszystko, — cierpko odparł Tobin, — wobec czego byłoby wskazane, by pan ponownie usiadł.

— Dziękuję. Postoję. Nasiedzę się, przypuszczam, po wyroku.

— I ja tak myślę. Tymczasem zaś niech pan powiadomi swego adwokata, by się pokwapił przysłać mi listę świadków obrony. To na razie wszystko. Mister Schmiedt, proszę odczytać protokół.

Pa załatwieniu formalności Stanley wychodząc z izby sędziego spytał przechodząc koło protokolanta.

— Jak zdrowie pańskiej astmy?

Otyły Schmiedt wybałuszył oczy.

— Astmy? Ależ ja nigdy nie miałem... Ach! Wtedy po prostu coś mi wpadło do...

— W każdym razie ma pan skłonności do duszenia się, jak dziś — ze śmiechu. Niechże się pan wystrzega trzeciego powodu: apopleksji.

John Fletcher mimo praktyczną trzeźwość swego życiowego światopoglądu piastował jednak w sobie skrycie pewne odchylenia irracjonalne nie przyznając się do nich nigdy. Wbrew rozsądkowi wierzył w dnie pomysłów i pechowe, w wene i dewenę. Wierzył, że najpewniejszym sposobem dojścia do rezultatu jest nieprzebieranie w środkach. Był głęboko przekonany, że najłatwiejsza droga zdobycia grubszych pieniędzy musi przechodzić tuż koło kryminału. Utwierdzała w nim zresztą to przekonanie zaobserwowana wielokrotność powyższego zjawiska. A jeżeli podążał w owym kierunku dość ostrożnie, czynił to jedynie z nadmiaru przezorności zalatującej z lekka tchórzostwem. Przebacał je sobie jednak wspaniałomyślnie, ze względu na spotykane z rzadka fakty, że szlak wiodący ku celom prosperity trafiał bezpośrednio wprost do celi więziennej.

Dlatego też bardzo ostatnimi czasy miał losowi za złe, że nie honorując mądroj fletcherowej ostrożności, odwracał się od niej coraz zdecydowaniej tyłem. Nagła nominacja Kani bardzo zaszkodziła stosunkom z Trustem. Próba zaś skupowania Duala et Co z Davem Morof, czego się Fletcher podjął pod naciskiem, wydała rezultaty wprost opłakane pomimo heroiczných wysiłków generalnego sekretarza „Murphy’s Laboratory”.

— Nie ulega dla mnie najmniejszej wątpliwości, — zapewniał Fletcher grubego Dave’a, że oferta tych dżentelmenów jest dla Trustu wielką wygraną na loterii.

— Trust nie uprawia operacji finansowych typu gry na loterii.

— Niechże pan zechce zrozumieć, że to jest jedyna możliwość zrekonstruowania A. R. 7.

— Damy sobie radę i bez pomocy pańskich „dżentelmenów”.

— Bardzo wątpię, gdyż oświadczyli mi oni, że w razie odmowy ze strony Trustu wszelkie ślady prac tyczących się wynalazku znikną bez reszty ze wszystkich laboratoriów. I wypłyną poza zasięgiem T. M.

— Jednym słowem „dżentelmeni” grożą szantażem?

— Nie nadużywajmy wzniosłych słów.

— Słusznie. Niech więc idą na zbity łeb! Ewentualnie z panem.

Oczywiście Fletcher nie powtórzył Dualowi in extenso powyższych słów może z obawy, by dosadnej metafory Morofa Dual nie zastosował bezpośrednio do niego. W każdym razie fiasco rokowań zaciążyło katastrofalnie na samopoczuciu i budżecie generalnego sekretarza.

I zaraz potem runął grom z telewizyjnym zdemaskowaniem!

Jak tu nie wierzyć w irracjonalny pech? Gdyby nie fakt, że dzięki chytrym zabiegom organizacji Duala protokolantem był Schmiedt, gdyby nie genialny pomysł Wiszatron z brzęczkami, już by może cała ich paczka kandydowała do którego z pensjonatów więziennych. Laboranci pracowali jak kulisi przez całą noc, by skonstruować a potem odpowiednio przymontować ostrzegacze w sekretariacie i pracowniach Maxa, Hoszimury i Wiszatron. On — Fletcher w bezustannym paroksyzmie strachu wartował na korytarzach pod drzwiami, by jaki gorliwy dozorca nie zaskoczył ich w trakcie roboty.

Tej nocy nie okupi żadna kwota, zarówno jak następnego dnia, który był wyznaczony na odegranie ryzykownej komedii mistyfikującej tych z „kabiny” i policję. Prawda, że się udało, aczkolwiek Dual sychnął się nadprogramowo z awanturą u Maxa. Lecz co z tego? Archbald i Darley w swej nałogowej podejrzliwości policjantów tak poczęli deptać im po piętach, że Dual postanowił „zamieść po sobie ślad”. Z nim — Max i Hoszimura, bo Wiszatron zniknął od razu. Im obiężyświatom nie przychodzi to z trudnością, lecz on — Fletcher całym swym życiem, stosunkami rodzinnymi i karierą związany z San - Francisco...

Uciec? Więc rzucić na siebie fatalne podejrzenie.

Zostać? Po ucieczce pozostałych? To znaczy oddać się dobrowolnie w ręce tak zwanej sprawiedliwości. Jedno gorsze od drugiego.

Wreszcie po ciężkiej walce wewnętrznej jaką stoczyła w nim miłość do rodzinnego miasta z miłością do własnej skóry, zwyciężyła rezolucja ratowania tej ostatniej.

I tu go spotkała najgorsza katastrofa.

— Postanowiłem wyjechać z Frisco razem z panami, — zwrócił się do Duala.

— Byłaby to dla nas bardzo miła niespodzianka, — odparł Dual, — gdybyśmy już uprzednio nie postanowili opuścić Frisco rezygnując z pańskiego towarzystwa.

— Niepodobna!

— Wiele niepodobieństw urzeczywistnia się w dzisiejszych czasach.

— Zresztą aeroplan nasz nie jest obliczony na wagę pańskiej osoby i jej losów, — dodał Max obecny przy rozmowie.

— Któż cię zapewniał, że pojedziemy aeroplanem? — zerknął złowrogo Dual na Maxa.

— Sam przecież planowałeś...

— Planowość często zawodzi. Mamy inne środki.

— I nie obawiacie się panowie zostawić mnie? — zagroził Fletcher.

— Ani trochę. Przede wszystkim liczymy na pańską lojalność. Następnie niewiele pan wie. Wreszcie, tam gdzie się udajemy, będziemy stuprocentowo bezpieczni. I panu życzymy tego samego. So long!

Rozmowa miała miejsce w lokalu publicznym, który Niemcy bezzwłocznie opuścili.

Fletcher zrozumiał, że jest rzucony na pastwę. W pierwszej furii, przekonany że uciekną aeroplanem, postanowił udać się na lotnisko San Mateo i oddać uciekinierów w ręce policji. Strach jednak, że może paść ofiarą rozwścieczonych i nie mających już wtedy nic do stracenia Niemców, sparaliżował ten zamiar. Przebierał w myślach wszelkie możliwości ratunku, lecz u kresu każdego projektu napotykał trwogę zmuszającą go do odwrotu. Strach, coraz okropniejszy strach ogarniał go wszechwładnie mącąc już w zarodku każdą myśl.

Czuł się beznadziejnie zgubiony. Czuł, że śmierć profesora wiąże się z Dualem, Maxem i Hoszimirą, a więc i z nim... I nie ma wyjścia z tego kręgu śmierci... Areszt, wzięcie, sąd, wyrok... fotel elektryczny!..

Błąkając się po ulicach, sam nie wiedział jak dotarł do dzielnicy doków przy Południowym Basenie.

Wizja fotela elektrycznego przeszła go tak przerażającym Jękiem, iż w obłędym strachu przed śmiercią rzucił się z bulwaru do morza.

Od Tobina Stanley wracał do domu w stanie silnego rozgoryczenia. Porał się z ponurymi dociekaniem, czemu od pewnego czasu wszystkie jego dobre intencje i zamiary z chwilą, gdy dawał im ujście w słusznym, jak sądził, czynie, obracały się przeciwko niemu. Czemu „przepotwarzały” się jak mawiał ojciec.

— Jakaś strupieszka grecka Mojra, — myślał, — przypłatała się na amerykańskim gruncie akurat do mnie (psia-krew!) i spycha mą dolę w fatalny dół po równi pochyłej. Czego się tknę, cokolwiek zrobię, wszystko źle! Stopniowo staję się figurą tragikomiczną, którą pomiata lada Tobin, a z której byle protokółancki gryzipiórek zdycha ze śmiechu. W przedniej formie zastanie mnie nadchodząca ciężka walka. Oczywiście przegram z tą bandą zorganizowanej kanalii, wobec

sprytu której jestem bezradny jak ciemny farmer w sztucznym tłoku wielkomiejskich trampów. Zasądza mnie, zamagazynują do paki na dobrych kilka lat i... co się wtedy stanie z Gladys?... jedyna radość i sens mego życia zniszczyje w piekle dzisiejszości. już teraz, absorbowany ciągłymi utarczkami zaniedbuję ją coraz haniebniej. A skazanie mnie złamie tę orchideę cieplarnianą!...

Przyjechawszy do domu pobiegł szukać Gladys. Coś mu tam chciał zameldować Hannibal, lecz fuknął srodze na starego:

— Zgiń mi z oczu, skoro ci życie mile, byś snadź nie doprowadził mnie do śmiertelnego grzechu!

Odnalazł wreszcie Gladys w bibliotece. W powłóczystej domowej sukni na tle wykuszowego witrażu „ich kącika”, czytająca książkę rozwartą na pulpicie, wyglądała jak średniowieczna kasztelanka zamodlona w gotyckiej kapliczce. Co chwila ocierała chusteczką oczy.

— Jakiż to poeta wzrusza cię tak, kochana? — spytał podszedłszy tuż do niej. Podniosła nań brązowe aksamity *oczów* połyskujące szklivem łez i szepnęła zmieszana:

— Czytam kodeks karny.

— Na Jowisza! I cóż cię w nim tak egzaltuje aż do płaczu?

— Myśl o tobie.

Chciał się roześmiać, lecz nie mógł.

— Przecież ci mówiłem, że amerykański przewód sądowy nie aplikuje tortur. Nawet policyjne badania trzeciego stopnia nie są stosowane względem takich, jak ja zbrodniarzy, z chwilą, gdy się sami dobrowolnie przyznają.

— Nie zrozumiałeś mnie, najdroższy! Przeglądam rozdział o zniesławieniu, bo czytałam dzisiejsze wycinki prasowe....

— Po co wglądasz w brudy? Lepiej przebierz się, moje szczęście zapłakane, i pojedziemy za miasto. Nad ocean. Jak wtedy — pamiętasz?...

— Niestety. Nie wolno ci opuszczać miasta.

— Więc pojedziemy na Great Highway. A tam z Pacyfikiem u stóp znowu doznamy, co może morze. Pospiesz się. Ja tu poczekam.

Lecz stanleyowska Mojra pod figurą Hannibala nie omieszkała stanąć na przeszkodzie miłemu projektowi.

— Obiad na stole, sir. Mister Kania już na miejscu. Niezależnie zaś od powyższego Darley czeka z czymś, jak twierdzi, ważnym...

— Nawet mi nie wolno raz nie zjeść obiadu!

- Pojedziemy potem, Stany!
- Trudno. Żeby więc już połączyć nieprzyjemne z pozytecznym, poprosz Hannibala jeden i Darleya na obiad.
- Tak jest, sir. Zasłużył sobie na to, bowiem...
- Cześć zasłudze, którą ocenimy przy zupie. Chodźmy.
- W jadalni Gladys powitała Kanię tak czarującym uśmiechem, że nieborak wykonał całą serię bezowocnych ruchów usiłując wstać.
- Czy doktor zalecił ci gimnastykę górnych odnóży przed obiadem? — zmitygował go Stanley, — siedź przy stole i zachowuj się grzecznie, bo ci każę kupić fotelik z poprzeczką od przodu jak niesfornemu niemowlęciu.
- Oh, Stanley! Czemu stale dręczysz przyjaciela? — ujęła się za Kanią Gladys.
- Wydaje mi się, żeś coś gaworzył, Stasiu? — odciął się Kania, — spróbuj powtórzyć, bom nie słyszał, zajęty miłszym ód ciebie towarzystwem.
- Prosimy, mister Darley, — przywitała Gladys wchodzącego detektywa, — obok mnie jest wolne nakrycie.
- Czuję się zobowiązany uprzejmością pani i zaszczycony sąsiedztwem, — ozdobnie podziękował Darley.
- Podobno jest pan w posiadaniu rewelacyjnych wiadomości? — w tymże stylu spytał go przekornie Stanley.
- Które polegają na tym, że właściwie jest mi ich brak, — zrewanżował się Darley.
- A to pyszne, bo nic nie rozumiem.
- Sprawa prosta. Od wczoraj brak mi jakichkolwiek wiadomości o mister Dualu, laborantach Maxie i Hoszimirze oraz o sekretarzu Fletcherze.
- A cóż się z nimi stało?
- Nie wiem. Może ich porwano, może udali się na zbiórową dłuższą wycieczkę, gdyż świecą nieobecnością w San Francisco. Fakt ów jest stwierdzony policyjnie.
- Hip! hip — hurra! — ucieszył się Stanley, — cała kompania zwiła! Już widzę minę Tobina!
- Nie dzielam nadmiernej radości pana, bo aczkolwiek ucieczka (najprawdopodobniej aeroplanem) obarcza ich silnym podejrzeniem, lecz pozbawia nas ścisłych danych o ich roli w sprawie A. R. 7.
- Lecz z chwilą, gdy ich znajdziecie...
- Może już być po procesie.

— Z melancholią muszę przyznać, że rozumiem pan stale lepiej ode mnie.

— Rutyna detektywa, — skromnie odparł Darley.

— W każdym razie fakt ucieczki tych panów bardzo wzmacnia twą pozycję i szachuje nagonkę prasową, — rzekła Gladys.

— Mam i ja coś dla przyjaciela, — wtrącił Kania.

— I nic nie mówisz?

— Kiedy? Łatwo mi dajesz dojść do słowa?

— Ilekroć zechcesz. Choćby zaraz. Używaj!

— Dokończyłem radiowej rozmowy z profesorem Lurie-Malliot. Szkoda, że nie mogłem się z nim podzielić wiadomością o rejteradzie Fletchera i Co. Ale i to zrobię. Otóż profesor proponuje byś podał go na świadka obrony.

— Cenna pomoc, — zauważył Darley.

— I jawne przeciwstawienie się Trustowi Miliarderów, — dodał Kania.

— Jednym słowem, moja Mojra też się wycofuje z akcji!

— Kto to? — spytał Darley, — nazwisko słyszę po raz pierwszy.

— Jest to pewna stara intrygantka, rodem z antycznej Hel-lady. Odstreńczył ją dzisiejszy twój obiad, Hannibalu!

— Nie do wiary, sir! — zgorszył się Hannibal.

— A brzęczki, jak to stwierdziłem, lecz zapomniałem do-dać, — rzekł Darley, — były założone po pańskim pierwszym zeznaniu u sędziego.

— Rozumiem! Schmiedt!!

— Ale ja nie rozumiem.

— Nareszcie! Choć raz zrewanżuję się panu wiadomością z sensem, mister Darley.

—Z przyjemnością jej wysłucham, by powinszować panu dobrej formy przed walną batalią.

SZALEJĄ WAGI

Generalna batalia sądowa, nazwana przez prasę "Procesem o A. R. 7", nie dała długo na siebie czekać. Aparat startowy, służący do wymierzania sprawiedliwości, wykazał sprawność przewyższającą prasowe organy opinii. Wprawdzie zaistniało na krótko pewne wahanie się między kasterialne, czy sprawa ma podlegać kompetencji sądu stanowego, czy też — ze względu na swą doniosłość — federacyjnego, lecz wahanie to trwało krótko i rozstrzygnięto je na korzyść instancji pierwszej, co nasuwało sugestię, iż szybkość przeprowadzenia procesu jest momentem najważniejszym. Dla kogo? Nie trudno było rozstrzygnąć ów problem tym, którzy orientowali się w potędze wpływów Trustu Miliarderów.

W największej z sal Hall of Justice, gdzie odbył się akt słynnego procesu wobec tłumnego audytorium, złożonego z najwytworniejszego towarzystwa San Francisco (panie płonęły żądzą zobaczenia nieudzielającej się salonom Gladys O'Gonnor") wobec olbrzymiego napływu korespondentów z całego kraju, przedstawicieli inteligencji i nauki oraz wszystkich sfer na ławie przysięgłych, przewodniczący trybunału sędzieja S. Blanding, odczytał akt oskarżenia, który w ogólnym zarysie brzmiał:

„Obwinia się porucznika Stanleya Murphy, wieku lat 35 mieszkańca San Francisco (stanu California), syna ś. p. profesora Beniamina Murphy i Wandy Murphy-Drewicz, iż dnia 10 września 1947 roku zniszczył w gmachu „Murphy's Laboratory“ na Telegraph Hill, w naukowej pracowni swego ojca, wszystkie obliczenia, plany i dokumenty, obrazujące wynalazek wyżej

wspomnianego profesora, nazwany przez niego Atom - Robot 7, a szeroko omawiany na łamach prasy pod skrótem A. R. 7...

Oskarżony Stanley Murphy popełniając inkryminowany mu czyn bez wiedzy i zgody samego wynalazcy, dopuścił się: 1-o naruszenia materialnego prawa cudzej własności, oraz 2-o naruszenia ogólnoludzkiego moralnego prawa, o konsekwencjach przy tym nieodwracalnych, przez pozbawienie nie tylko własnego społeczeństwa, lecz i narodów świata ewentualnego korzystania z dobrodziejstw wynalazku".

— Czy oskarżony Stanley Murphy przyznaje się do winy?— spytał przewodniczący po odczytaniu aktu oskarżenia.

— Przyznaję się, że zniszczyłem A. R. 7 — odparł Stanley — natomiast nie uważam, bym popełnił jakiegokolwiek naruszenie praw inkryminowane mi w drugiej części aktu oskarżenia. Owszem, jestem najgłębiej przekonany, że postąpiłem dobrze i zgodnie z nakazem mego sumienia, niszcząc wynalazek. I pewny jestem, że przesłuchawszy świadków obrony i poznawszy tą drogą okoliczności, które zmusiły mnie postąpić tak a nie inaczej, Wysoki Sąd uzna słuszność mego stanowiska.

— Oskarżony zdaje się nie docenia faktu, — zauważył prokurator Colton, — że prócz świadków obrony będą zeznawać i świadkowie oskarżenia.

— Nie wątpię, iż Wysoki Sąd zastosuje wszelkie odnośne rygory przewodu, by zbadać sprawę jak najdokładniej. I ta właśnie okoliczność tylko bardziej utwierdza mnie w moim przekonaniu.

— Jak na początek wcale nieźle. Lepiej bym tworzył niż nasz klient, — zauważył półgłosem na ławie obrońców adwokat Pringle do swego współnika adwokata Babcocka.

— Można by i lepiej — odmruknął mu przekorny Babcock.

Pierwsze posiedzenie sądu poza aktem oskarżenia wypełniło przesłuchanie świadków urzędowych, którzy pamiętnego dnia pierwsi zjawili się na miejscu wypadku. Zeznawał szef policji, koroner, lekarz, podinspektor Archbald, Darley i wreszcie przerażony powagą miejsca Hannibal.

Zeznania ich zobrazowały stan rzeczy bezpośrednio po wypadku oraz ramy w jakich się on odbył. Stanley przysłuchiwał się, robiąc od czasu do czasu notatki natomiast indagował świadków obrońca Pringle.

Zaczął od policyjnego lekarza, który z suchą naukowością stwierdził aneuryzm serca jako powód śmierci profesora Beniamina Murphy.

— A co, zdaniem pana, mogło być powodem sercowego ataku profesora? — spytał Pringle doktora.

— Zasadniczo schorzenie serca — odpowiedział lekarz.

— Czy obdukcja wykazała widoczne chorobliwe zmiany tego organu?

— Do pewnego stopnia — tak.

— Do tego stopnia, że aż musiały spowodować śmierć?

— Widocznie musiały, skoro spowodowały.

— I nic więcej obdukcja nie wykazała?

— Badania chemiczne zawartości żołądka i jelit wykazywały ślady pewnych związków, które mogłyby mieć pewne powinowactwo z toksynami.

— A więc mogące spowodować zatrucie?

— Do pewnego stopnia, lecz powodem śmierci było niewątpliwie ustanie działalności serca.

— A czy nie byłoby niewykluczone „ustanie działalności serca” dzięki właśnie owemu zatruciu?

— Dzisiejszy stan nauki nie mógłby dać na to zdecydowanej odpowiedzi.

— Dziękuję. I prosiłbym Wysoki Sąd o zaprotokółowanie ostatniej odpowiedzi świadka.

Następnym świadkiem, którego zaatakował Pringle był Archbald. Szło o sposób w jaki zostało zniszczone A. R. 7.

— Więc dotknąwszy łba psa pan inspektor oparzył się?

— Tak jest.

— A co mogło, zdaniem pana, powodować takie rozgrzanie przycisku?

— Jakiś chemiczny proces spalania dokumentów.

— Czy oskarżony studiował chemię? — zwrócił się nagle Pringle do Stanleya.

— Nie znam się zupełnie na chemii — odparł Stanley.

— Proszę pytać świadka, a nie oskarżonego — upomniał przewodniczący obrońcę.

— Uczyniłem to odruchowo, za co przepraszam Wysoki Sąd, — i zwracając się do Archbalda znów Pringle spytał:

— Czy zniszczenie A. R. 7 nie zrobiło na świadku wrażenia, że musiało ono już być zawczasu obmyślane i odpowiednio przygotowane ?

— Gdy myślę teraz nad tym, dochodzę do przekonania, że — tak.

— To mi wystarcza. Dziękuję.

Podinspektorowi Archbaldowi jął z kolei zadawać pytania prokurator Colton.

— Pan był pierwszy, który zjawił się na miejscu wypadku?

— Tak jest. Byłem przy pożarze laboratorium, gdy służący Hannibal powiadomił mnie, iż otrzymał telefoniczne polecenie z kabiny od oskarżonego wzywające mnie.

— Co to znaczy z „kabiny?”

— Tak nazywano w „Murphy’s Laboratory” specjalną pracownię profesora Beniamina Murphy. Przyjechawszy windą na miejsce zastałem na progu pracowni trupa profesora.

— Jak dawno, zdaniem pańskim, mogła nastąpić śmierć?

— Przed kilkunastu minutami. Wszedłszy do kabiny poczułem swąd, który, jak mi objaśnił oskarżony, pochodził ze spalenia papierów dotyczących wynalazku. Przy czym dodał że śmierć profesora nie stoi w żadnym przyczynowym związku ze spalaniem A. R. 7.

— Proszę o głos w sprawie sprostowania! — przerwał Stanley wywody Archbalda, — powiedziałem odwrotnie: spalenie A. R. 7 nie stoi w żadnym przyczynowym związku ze śmiercią mego ojca.

— Zwracam uwagę oskarżonego, że nie ma prawa przerywać zeznań świadków! — oznajmił strofująco sędzia, — niech świadek mówi dalej.

— Oskarżony istotnie ma rację, — rzekł Archbald, — mimowoli przeinaczyłem jego słowa, powiedziane wówczas w kabinnie.

— Chciałbym zadać oskarżonemu pytanie, — odezwał się prokurator.

— Proszę, — zgodził się sędzia.

— Czy mamy słowa pańskie rozumieć w tym sensie. Ze pan bez względu na jakiekolwiek okoliczności powziął postanowienie zniszczyć wynalazek ojca?

— Tak jest, gdyż uważałem, że wynalazek ten w dzisiejszych warunkach może przynieść ludzkości klęskę zamiast pożytku. Zwracałem się dlatego do ojca, by sam go zniszczył. Pamiętnego zaś dnia w przeświadczeniu, że pożar laboratorium jest ukartowaną dywersją dla przeprowadzenia zamachu na A. R. 7, w czym mniemanie moje podzielał i świadek obecny podinspektor Archbald, postanowiłem skorzystać z możliwości unicestwienia wynalazku przez siebie samego, co też wykonałem.

— Lecz bez zgody wynalazcy.

— Temu właśnie przypisuję śmierć mego ojca. Gdyby był

zniszczył A. R. 7 ustałyby napewno zamachy zarówno na niego, jak na wynalazek.

— Jakże więc mamy wobec pańskiego dopiero co wypowiedzianego mniemania rozumieć zdanie jego w „kabinie”, że „spalenie A. R. 7 nie stoi w żadnym przyczynowym związku ze śmiercią mego ojca?”.

— Po prostu. Spalenie przeze mnie wynalazku wiąże się nie przyczynowo ze śmiercią ojca, lecz przypadkowo: w czasie.

— Dość zawila dialektyka, za to nadmiernie swoista.

— Może dla prawnika. Dla humanisty — prosta.

— Uważam wymianę powyższych kontrwersji za zbyt teoretyczną i odciągającą nas od toku normalnego przewodu, — zaoptimował przewodniczący, — czy prokurator ma jeszcze jakie pytania dla świadka?

— Owszem. Czy proces spalenia papierów był już ukończony z chwilą przybycia świadka do kabiny?

— Mam wrażenie, że jeszcze nie.

— Czy świadek zwrócił z urzędu uwagę oskarżonemu na karalność jego postępków?

— Tak jest. Nalegałem na uratowanie tego, co by się jeszcze dało uratować, lecz oskarżony nie chciał się na to zgodzić.

— Czy upór oskarżonego robił na świadka wrażenie uporą kogoś normalnego?

Zapytanie prokuratora skonsternowało nie tylko Archbalda, lecz całe audytorium.

— W każdym razie uporą w dużym stopniu... zdeterminowanego, — rzekł wreszcie Archbald.

— To mi wystarczy. Więcej zapytań nie mam, — zakończył Colton.

Po odejściu Archbalda sędzia ogłosił krótką przerwę. Wśród publiczności, która nie opuszczała sali mimo przerwy, by nie utracić z trudem zdobytych miejsc, wszczął się silny rozgwar wymiany wrażeń.

— Colton zaczyna zmierzać w niebezpiecznym dla nas kierunku, — zauważył Pringle do Babcocka.

— Że chce zrobić z naszego klienta typ zlekka pomyłony? Któż nim nie jest?

— Możesz się do tego przyznawać przede mną, wiedząc, że mnie zobowiązuje dyskrekcja zawodowa. Ale nie cieszyłbyś się, gdyby o tym mówiono oficjalnie na sali.

— Oczywiście. Martwiłbym się, gdyby nawet o tobie to mówiono. A cóż dopiero o tak dobrym kliencie.

— Toteż trzeba mu dać kilka ostrzegawczych wskazówek.

I obrońca Pringle podszedłszy do Stanleya poczuł go odpowiednio pouczać niczym trener boksera w przerwie pomiędzy rundami.

— Sytuacja zarysowuje się bardzo interesująco, — opiniował modny lekarz neurolog w gronie znajomych sąsiadów, — Colton zdaje się być na właściwym tropie.

— Sądzi pan, doktorze?

— Jestem tego coraz bardziej pewny. Młody Murphy całym swym zachowaniem nie robi wrażenia jednostki normalnej. Proszę tylko spojrzeć. W tej chwili konferuje ze swoim obrońcą. I omal że śmieje mu się w nos. W takiej chwili! Śmieje się, gdy dopiero co rozstrząsano katastrofę śmierci jego ojca. Śmieje się nieszczęśnik, który zniszczył epokowy wynalazek!

— Istotnie nie można odmówić słuszności fachowemu pogładowi pana. — Ten człowiek zdaje się nie być normalny.

Podobne przeświadczenie o Stanley'u, acz w różnolitych wariantach, zaczęło coraz szerzej rozpowszechniać się po sali.

Posiew Coltona kielkował.

Po przerwie w fotelu świadków ze skromną powagą zasiadł Hannibal. Zeznania jego z wypadków pamiętnego dnia, acz były podane w pięknym stylu biblijnym, nie dorzuciły nic nowego do faktów ujawnionych przez poprzedników. Po czym wziął go pod obrząbek prokurator Colton.

— Jak dawno świadek służy w rodzinie Murphy?

— Nie służę, sir, lecz sprawuję pieczę nad służbą, usługując jedynie podczas obiadu, — odparł dostojnie Hannibal.

— Nie pytam o charakter obowiązków świadka, o czym posiadam informacje ścisłe, lecz o czasokres ich „sprawowania”.

— 26 lat, sir, 7 miesięcy i 15 dni.

— Sądząc z dotychczasowych odpowiedzi świadek robi wrażenie człowieka skłonnego do spostrzegawczości i ścisłości. Dlatego pytam. Jak świadek sądzi? Czy charakter stosunku oskarżonego Stanley'a Murphy do profesora Beniamina Murphy był normalnym stosunkiem syna do ojca w myśl przykazania: „czcij ojca twego i matkę twą”, — czy też wykroczył po za te ramy?

— Nie mogę odpowiedzieć, sir, na to pytanie, ponieważ nigdy nie pozwalałem sobie ulegać pokusie osądu mych chlebowców w myśl słów Pisma: „nie sądzcie, byście nie byli sądzeni”

— Za tym świadek nie uznaje instytucji sądu?

— Nie chcę tylko o niej nic sądzić, sir, — odparł Hannibal

pod akompaniament trzasku aparatów fotograficznych uwieczniających go w tym momencie.

Colton nie dał jednak za wygrane zadając nowe pytanie:

— A czy wybryki oskarżonego w czasie, gdy był studentem i szaleństwem, którymi gorszyło się całe miasto również nie wywoływały w świadku żadnego echa, chociażby ze względu na dobre imię profesora?

— „Jest czas siewu i czas żęcia”, mówi Pismo, a przysłowie głosi: „młodość musi się wyszumić”.

— Mówiąc to, świadek wydaje jednak pewien osąd.

— To nie osąd, lecz uniewinnienie, sir, — rzekł świadek Hannibal, zaś oskarżony Stanley Murphy doznał w tej samej chwili niesłychanie rzadkiego dlań uczucia. Coś go ścisnęło za gardło i zapiekło pod powiekami.

— Bravo! — odezwało się parę młodych głosów spośród publiczności.

— Jakiegokolwiek głośnie objawy na sali są niedopuszczalne, — zareagował przewodniczący trybunału Blanding stuknąwszy w stół młotkiem i zwolnił Hannibala.

Przyszła kolej na Darley’a. Po wstępnych informacjach świadka i kilku zapytaniach, detektywa wzięła w obroty obrona w osobie adwokata Pringle.

— Co świadek, jako mający dozór nad „Murphy’s Laboratory” sądzi o pożarze, który wybuchnął w hali materiałów palnych?

— Śledztwo policyjne przy mym współudziale stwierdziło, że pożar ten nie był dziełem przypadku.

— Zatem czyim?

— Tego nie stwierdzono, lecz łańcuch faktów naprowadza na wywód, że pożar wywołali ludzie zmierzający do wykradzenia o tym że czasie dokumentów dotyczących się A. R. 7. Moim zdaniem należeli do nich: generalny sekretarz zakładów John Fletcher, laboranci — Max, Hozimura i Wisztru oraz redaktor Dual.

— Świadek ciężko oskarża ludzi nieobecnych zatem nie magących się bronić, — wtrącił się prokurator przy szmerze poruszenia na ławach prasy.

— Powiedziałbym to samo, gdyby tu byli obecni, a nie uciekli. Byłem jednym z widzów i słuchaczy ich knowań, które zdradził telewizor. Niestety, udało im się przejściowo wprowadzić w błąd władze policyjne ukartowaną w międzyczasie historią z bręczkami zdradzającymi działanie telewizora. Złożyłem osta-

tnio w policji raport o przebiegu mego osobistego śledztwa, z którego wynika, że ostrzegawcze bręczki były założone już po zdemaskowaniu tych panów przez telewizor. Nawiasem mówiąc, dziś rano w Basenie Południowym wyłowiono trupa Fletchera...

— A więc nie uciekł? — przerwał świadkowi Colton przy nowym żywym poruszeniu na sali.

— List adresowany do siostry oraz wielka suma gotówki znaleziona przy denacie dowodzi zamiaru wyemigrowania z San Francisco. Wszystko to, zdaniem moim świadczy, że na A. R. 7. szykował się zamach, którego fiasco spowodowało zniknięcie winowajców.

— A jak sobie świadek tłumaczy obecność zwłok profesora przy kabinie? — spytał Pringle.

— Ci którzy profesora porwali przyprowadzili go do kabiny, by dostać się do skrytki z dokumentami...

— W obecności profesora? — znów nie wytrzymał Colton, — a więc z jego wiedzy i zgodą!

— Wygląd denata wskazywał na ciężkie przejścia, jakich musiał doznawać po porwaniu. Zarost świadczył o kilkudniowym niegoleniu, garderoba była w wielkim zaniedbaniu a ręce skłute zastrzykami, co zresztą zaznacza oficjalny protokół. Mógł być sterroryzowany, bądź oszołomiony, a musiał im być potrzebny dla technicznego przeniknięcia do kabiny obwarowanej prądem. Siady zatrucia dowodzą, że prawdopodobnie po porwaniu dokumentów pozostawiono by go własnemu losowi, by umarł. Przedwczesny atak serca sparaliżował ów plan, stąd kroki uciekających słyszane przez mister Stanley'a Murphy. Jest to oczywiście moje przeświadczenie, lecz nie znam faktów, któreby mu zaprzeczały, a te które znam, tylko je potwierdzają.

— Czy kroki uciekających słyszane tylko i wyłącznie przez oskarżonego też uważa świadek za istotny fakt? — spytał Colton.

— Tak jest. Jeden z boy'ów przypomniał sobie, że widział pamiętnej chwili pożaru szybko zbiegających ze schodów głównego gmachu, w którym znajduje się kabina, Hoszimirę i jakiegoś nieznajomego (może Duala). Boy nie przywiązywał do tego żadnej wagi sądząc, że biegną do pożaru. Badając służbę, po raz nie wiem który, wydobyłem z niego to przypomnienie, które gotów jest złożyć przed sądem.

— Świadek, jak na detektywa, opiera się na zbyt zawodnym gruncie mimolotnych „przypomnień” uważając je za pozytywne dane, z których konstruuje wizje, — zreasumował swoje stanowisko Colton.

— Wizje te jednak dziwnie dokładnie tłumaczy nam rzeczywistość, — ujął się za Darley'em Springle.

— Nie mam natomiast, panie prokuratorze, żadnej wizji, kto porwał i uwiózł do zakładu dla obłąkanych miss Gladys O'Connor. Niemniej przeto jest to fakt! — bronił się Darley.

— Fakt ten uważam za błąd co do osoby, — odparł Colton.

— Co pan prokurator chciał przez to powiedzieć?! — za wołał podniósłszy się Stanley.

— Uderz w stół, a nożyce... — zrobił ktoś głośną uwagę.

— Przywołuję oskarżonego dzisiaj po raz drugi do porządku! — podniesionym głosem rzekł przewodniczący Blanding i uderzywszy w stół młotkiem dodał, — zamykam do jutra tok przewodu sądowego.

Wieczorem tego dnia Stanley odbył z Pringle'm naradę w kancelarii obrońcy, po czym dopiero wrócił do domu.

Gladys zaniepokojona jego długą nieobecnością oczekiwała w jadalni wraz z Hannibalem, wyglądającym jak zczerniała statua komandora.

— Przepraszam cię najmocniej, kochana, za mój tak spóźniony powrót z areny, lecz musiałem ulec naleganiom mego obrońcy, który uważał za konieczne pouczyć mnie, jak mam się zachować na jutrzejszym turnieju. Płakałaś?

— To nie ma najmniejszego znaczenia. Chodzi o ciebie! Opowiedz, jak było?

— Pierwszorządnie. Po prostu — kino zero ekran! Przewodniczący, prokurator, obrońca, świadkowie, ława przysięgłych i publiczność, — wszyscy stali na wysokości zadania. A Hannibal stworzył niezapomnianą dla mnie kreację! — i wyciągnąwszy rękę do starego, Stanley rzekł serdecznie, — dziękuję ci! Wzruszyłeś mnie.

— Och, sir! Starłem się tylko spełnić należycie mój obowiązek.

— Czego o mnie. jak twierdzi Pringle, powiedzieć nie można. Ale cóż robić? Nie mam kryminalnego doświadczenia.

— Zatrważasz mnie, najdroższy!

— I to jest jedyną moją istotną troską. Bo zrozum, miła, że ja muszę ten bój wygrać. Muszę! Mogą mnie zasądzić, bo ponoć mają ku temu swe formalne jurydyczne kruczki. Mogą się starać robić ze mnie szaleńca, jak to już dziś przedwstępnie próbował pan prokurator. Ale w opinii wszystkich uczciwych a rozsądnych ludzi wygram ja! Moja racja będzie zwycięską i, da Bóg, poruszy sumienie świata! Rozumiesz ?

— Tak jest, Stany. Wierzę, że tak będzie, przeto mi daruj mą chwilową małoduszność. Już cię nią więcej nie zmartwię. Masz równie wielkie serce, jak twój ojciec miał wielki geniusz. Tylko moja nieporadna małość jest nie na miejscu pomiędzy wami...

Zestawienie przez Gladys z ojcem obudziło w Stanley'u po raz pierwszy dziwne uczucie łączności ze zmarłym poprzez wszystko, co ich dotąd dzieliło. I miłość do tej „cieplarnianej orchidei” czarującej twarde serca zarówno ojca jak i syna pogłębiła się w nim o całe morze wdzięczności.

— Och, jak jest na miejscu twoja wielka „małość”, gdybyś tylko...

— Nie teraz i nie tu miejsce mówić o tym, najdroższy! - przerwała mu Gladys wstając od stołu, — odchodzę już, by ci dać możność wypoczynku przed dniem jutrzejszym.

A nazajutrz Gladys zeznawała pierwsza.

Zjawienie się jej olśniewającej piękności wywołało taką sensację, jakby na salę wniesiono arcydzieło Burne Jones'a. Jazgot leic'ów i kodaków zasypał ją seryjnymi strzałami broni maszynowej. Panowie zdębieli, damy odruchowo zaczęły malować usta i pudrować się, przewodniczący parokrotnie poruszył się na fotelu, jak gdyby pragnął znaleźć najwygodniejszą pozycję do kontemplacji tego zjawiska, nawet prokurator postanowił sobie w duchu korzystać z przywileju badania świadka nie z odległości swego miejsca, lecz z podejściem bezpośrednio do krzesła zeznającej.

— Pogasiłaby w Hollywood najpiękniejsze gwiazdy kinowe! — zauważył na ławie prasowej któryś z reporterów.

— Sztuka! Wobec dzisiejszej modnej epidemii minimalnej urody przy maksymalnej reklamie! Kolega masz zleżałe informacje.

— Załamałem się. Zrywam z Annabel, — oświadczył trzeci.

Zapytana podczas! spisywania generalistów o wiek, Gladys odrzekła, iż ma trzydzieści trzy lata, co wywołało efekt niemięjszy od jej wejścia.

— Z osiemnastoletnim wyglądem przyznawać się do trzydziestki z okładem to szczyt prawdomówności. Może tylko anioł zdobyłby się na taki heroizm, — westchnął któryś z reporterów

— Zwłaszcza, że najmłodszy anioł według biblii posiada z górą kilkanaście tysięcy wiosen, — uspokoił go kolega.

— Co pani mogłaby sądowi powiedzieć o A. R. 7? — rozpoczął indagację Blanding.

— Ś. p. profesor Benjamin Murphy opowiadał mi o tym swoim wynalazku, który uważał za epokowy, gdyż mógł on do starczać dowolnie a planowo produkowaną energię atomową dla celów gospodarczych na użytek ludzkości całego globu. A. R. 7 miał zaopatrywać w energię wszystkie maszyny i motory kuli ziemskiej i do gruntu zmienić warunki bytu.

Na sali zapanowała martwa cisza. Zasłuchano się w słowa Gladys jak w czarodziejską melodię.

— Czy Profesor Benjamin Murphy wtajemniczył panią w istotę swego wynalazku? W sposób czy metodę produkcji tej energii?

— Nie, gdyż na pewno nie zrozumiałabym.

— A nie wie pani, czy nie wtajemniczył jakiej innej osoby? Fachowej.

— Wątpię, gdyż miał zamiar, póki będzie żył, produkować energię tylko sam.

— W sprawie zapytania! — zainterpelował prokurator.

— Proszę, — zezwolił sędzia.

Colton wstał i podszedłszy do krzesła Gladys spytał:

— Przecież siłą rzeczy tajemnica wynalazku nie mogła by być zakonspirowana. Nie mówię już o urzędzie patentowym, ale po prostu — wobec ludzi pracujących przy produkcji.

— Nie wiem. Powtarzam, że miał produkować energię w ten sposób, by nikt nie poznał tajemnicy wynalazku.

— Tu nie chodziło o bombę atomową, lecz o wynalazek, że tak powiem, pokojowy?

— Właśnie. Bał się, by z ujawnionego A. R. 7 ludzie nie zrobili czegoś tysiąckroć straszniejszego od bomby atomowej, bo wtedy jak się wyraził: „w dzisiejszym układzie politycznych stosunków globu wymordowanoby się nawzajem w pień!”

— Ależ to szaleństwo, taka...

— Pan już i z ojca mego robi szaleńca! — nie wytrzymał Stanley.

— Jeżeli oskarżony jeszcze raz przerwie tok badań insynuacyjną uwagą, zastosuję rygory! — palnął młotkiem w stół Blanding.

— Najdroższy, nie narażaj się! — zawołała Gladys.

— Jak mam rozumieć słowo pani: „najdroższy!” — z zimną pasją ironii nagle spytał Colton.

— Jestem narzeczony Stanley'a Murphy.

— W takim razie żałuję, lecz z punktu widzenia prawnego całe poprzednie zeznanie pani nie ma obecnie dla mnie wagi obiektywnej.

Gladys zbladła z przerażenia i zachwiała się na krześle.

— Ze względu na widoczny niedyspozycje zwalnim panią z dalszych zeznań i ogłaszam piętnastominutowy przerwę, — oznajmił stonowanym głosem Blanding i wstawszy dostojnie z asysty wyszedł.

Pringle podbiegł, by pomóc Gladys wyjść przez pokój świadków, Stanley wstał i wbił w Coltona takie spojrzenie, że ten mruzcąc: „niewytłiwie wariat!” wycofał się do pokoju narad sądowych.

Na sali spiętrzył się giełdowy zgielk.

Ze zgielku kotłujących się i krzyżujących zdań wypryskiwały poszczególne wrażenia i poglądy.

— To rozumiem! To jest proces! Sensacja goni sensację...

Nareszcie coś się dzieje na światowy skalę w naszym starym Frisco. Liczę najmniej na jutro półtorej kolumny tekstu oprócz klisz. Wariat. Ale piękna! Można śmiało powiedzieć — landszaft! --- Co ci z tego przyjdzie? Stawiam jeden przeciwko pięciu, że go nie skarży.

— Albo dobrze go robi.

— Nie każda prawda jest bujdy, ale tu jest mi ich za dużo.

— Do tej pory nie rozumiem, o co chodzi? Facet coś zniszczył. Ale co? Nie wiadomo.

— Przecież ci ta ładna wytłumaczyła.

— Ale prokurator z punktu widzenia prawnego nie zgodził się na to!

Pringle wrócił z pokoju świadków i przedostał się do Stanley'a.

— Jak się ma Gladys? — spytał go Stanley.

— Zupełnie dobrze. Nakłoniłem ją, by wróciła do domu.

— Doskonale pan zrobił.

— Żałuję, że nie mogę odwzajemnić się panu podobny aprobaty. Przyjechał Lurie-Malliot. Wkrótce będzie zeznawał. Niech że pan — na litość! — nie da się znów sprowokować Coltonowi! Zwłaszcza, że profesor, na pewno nieobeznany z naszymi prawnymi chwytami, może połknąć który z coltonowych haczyków.

— Będę się starał panować nad sobą, by wreszcie zasłużyć na pańskie zadowolenie. Zobaczysz pan teraz mnie jako wariata bardzo zrównoważonego.

— Wystarczy nie zapominać, że to wszystko gra.

— A ja, zdaniem pańskim, mam nadmierne skłonności do szarży?

— Niech i tak będzie. Kwadrans się kończy. Wracam na swoje miejsce.

Z wejściem Blandinga sala znowu zamieniła się w słuch w oczekiwaniu nowych efektów przewodu. Na razie jednak akcja nie wykazywała nadmiernej intensywności. Przesłuchano kilku Świadków z personelu „Murphy’s Laboratory”, których zeznania nie dorzuciły nic nowego.

Stanley obchodził oczyma salę.

— Co ściągnęło tych ludzi, — myślał, — na proces? Sadząc z ich zdań, które dobiegały mnie w przerwie, nikt z nich nie rzucał jednego bodaj słowa, które dotknęło by istoty sprawy. W niczym nie różni się od nich i ta ława oskarżonych, od sumienia których zależy werdykt. Ludzie ci nie mając własnego pionu przychyliła się na pewno w tę stronę, w którą skłoni ich wymowa albo prokuratora, albo mego obrońcy. A może mnie uda się w ostatnim słowie poruszyć tę martwą wodę? Jakkolwiek będzie, słowa moje rzucone tu rozejdą się po świecie i tam muszą znaleźć jakieś echo... A echo czasem powoduje nawet obruszenie się lawiny...

Rozpoczęto badanie profesora Lurie - Malliot.

— Co świadek wie i mógłby nam powiedzieć o A. R. 7? — powtórzył znowu swe sakramentalne pytanie Blanding.

— Wiem to i owo z rozmów ze zmarłym przyjacielem moim, profesorem Beniaminem Murphy’em, a powiedzieć mogę wszystko, o co mnie sąd zapyta, — odparł Lurie - Malliot.

— Słuchamy tedy zeznań świadka z rozmów o A. R. 7 z profesorem Murphy’em.

— Rozmowy te miały na ogół charakter naukowo-teoretyczny, a więc tak bardzo specjalny, że nawet streszczenie ich mogłoby w dostatecznej mierze interesować tylko i jedynie specjalistów. Inna rzecz wywody ostateczne, jakie wysnuwałem z nich co do A. R. 7, wywody które upewniały mnie, że omawiany wynalazek należy istotnie do kategorii epokowych, a nawet pośród nich wysuwa się na jedno z czołowych miejsc.

— Na czym polegał wynalazek ?

— Na wydobywaniu energii atomowej dla dowolnego jej zastosowania.

— A jakie skutki, zdaniem świadka, mogłoby wywołać praktyczne zastosowanie tego wynalazku? — spytał Colton.

— Kompletny przewrót w technice wszelkiej wytwórczości i olbrzymie potaniecie kosztów produkcji.

— Czy skutki takie nie spowodowałyby raptownego, a zatem nader niebezpiecznego wstrząsu w układzie stosunków gospodarczo - przemysłowych całego świata? — zainteresował profesora z kolei Pringle.

— Każdy wynalazek przełomowy wywołuje w swym zakresie powyższego rodzaju wstrząs. To prawda. Niemniej przeto prawdą jest, że w rezultacie ostatecznym okazuje się dobrodziejstwem.

— Zatem A. R. 7 byłoby dobrodziejstwem wyjątkowym? — indagował znowu Colton.

— Nie ulega to dla mnie najmniejszej wątpliwości. — odrzekł Lurie - Malliot.

— Czym więc jest, zdaniem pańskim, zniszczenie A. R. 7?

— Szaleństwem.

Sala stężała w milczeniu, które w chwilę potem masowym odruchem zalał napływ szeptów. Przewodniczący uderzył młotkiem w stół przywołując do spokoju, zwolnił Lurie - Malliota, oznajmił wyczerpanie listy świadków i udzielił głosu prokuratorowi.

Stanley zmusił się do kamiennego bezruchu czując w sobie ohydny chłód i drętwiące serce. Znał ten stan z czasu wojny. Nawiedzał go on tuż przed furją boju.

— Wysoka Izbo! — przemówił Colton ze spokojem wytrawnego mówcy, — sprawa jest przerażająco jasna i tragicznie prosta. Zniszczono epokowy wynalazek. Unicestwiono owoc geniuszu ludzkiego wyhodowany długoletnią pracą nie tylko samego wynalazcy, światowego luminarza nauki, a chluby naszej ojczyzny, lecz i zrealizowany mozołem wielu twórczych uczonych współpracowników profesora Beniamina Murphy. Pozbawiono ludzkość „wyjątkowego dobrodziejstwa”, jak przed chwilą nazwał wynalazek A. R. 7 znakomity uczone Lurie - Malliot. Po prostu — okradziono ludzkość! Tę ludzkość, której setki milionów, ba, — miliardy nędzarzy ciężkim trudem rąk własnych wywalczą sobie z dnia na dzień głodową egzystencję. Tych oto nędzarzy pozbawiono możliwości poprawy ich bytu. I kto to uczynił? Człowiek, który sam opływa w dostatki i, co okropniejsze, syn wynalazcy. Z punktu widzenia prawnego popełnił on przestępstwo podwójne, gdyż nie tylko wydziedziczył własnego ojca niszcząc

jego dzieło i pozbawiając go ciężko zapracowanych a słusznych dochodów z wynalazku, lecz jak już powiedziałem okradł ludzkość z dobrodziejstw A. R. 7. Człowiek ten, Stanley Murphy, którego naganną młodość dobrze pamięta całe nasze miasto, z cyniczną otwartością przyznaje się przed władzami do popełnienia swego herostratowego zлочynu! A tu, na zapytanie sądu, czemu tak postąpił, oznajmia, że przewód sądowy wykaże, a sąd uzna słuszność jego stanowiska!

Czy przewód sądowy wykazał jakąkolwiek słuszność stanowiska Stanley'a Murphy? Zaiste — nie! Bo nawet tajemnicze zamachy na wynalazek, gdyby nawet miały miejsce (a dowodów dostatecznych na to nie dostarczono), w niczym nie tłumaczą „słuszności” czynu oskarżonego!

Prokuratora Coltona począł ponosić coraz silniejszy patos krasomówcy zmierzającego do finału.

— I teraz, — grzmiał, — po dokładnym zobrazowaniu przez świadków przed nami nie tylko przebiegu i gatunkowego ciężaru przestępstwa, lecz i okoliczności, które je uwypuklają, — stajemy przed dylematem. Co przeważa w pobudkach sprawcy?

Czy psychicznie normalna acz wysoce przestępcza świadomość?

Czy nienormalność na tle moral insanity, — szaleństwo?! Od waszego sumienia, dżentelmeni z ławy przysięgłych, zależy decyzja w tej mierze. Przestępca czy szaleniec?

Tu Colton zamilkł w efektownej pauzie zwrócony do ławy przysięgłych z palcem wzniesionym ku górze.

— A jeżeli ani jedno, ani drugie? — wpadł w pauzę zimny głos Stanley'a.

— Tertium non datur, — zrewanżował się Colton, a Blanding puknięciem młotka przerwał incydent.

— W pierwszym wypadku, — reasumował swą filipikę Colton, — wnoszę do Wysokiego Sądu o najwyższy wymiar kary, w drugim — o izolację chorego w odpowiednim zakładzie.

— Udzielam głosu obronie, — oznajmił przewodniczący.

Pringle wstał i wyszedł na środek sali, skąd w trakcie swego przemówienia defilował przed ławą przysięgłych, zwracał się do przewodniczącego, do prokuratora, do prasy, nawet do publiczności.

— Czcigodny mój przedmówca, pan prokurator, — zaczął jedwabnym głosem Pringle, — oświetlił przed Wysoką Izbą sprawę mego klienta z głębokim znawstwem jurisprudenccji, lecz niestety... oświetlił ją z pewnych tylko punktów widzenia. Niestety... pozostawił bez oświetlenia, że się tak wyrażę — w cieniu —

cały szereg aspektów tej sprawy, bez czego niepodobna zorientować się należycie w całości. Bo sprawa ta, — tu mówca podniósł głos, — podobna jest do mej dłoni zwiniętej w tej chwili w pięść, — co Pringle zademonstrował całej sali podnosząc pięść w górę, — otóż pięść tę przedstawiciele prasy widzą z jednego boku, Wysoki Sąd widzi z frontu od strony zaciśniętych palców, publiczność — od wierzchu, a ława przysięgłych z drugiego boku. jednym słowem każda część sali widzi mą pięść tylko od swojej strony i stosując metodę pana prokuratora sądzić może o mej pięści tylko jednostronnie. Dopiero gdy zacznę obracać nią wokoło, wszyscy ujrzą z kolei aż cztery strony, co zwiększy czterokrotnie ich pojęcie o mej pięści. A tymczasem to jeszcze nie będzie wszystko, bo w ukryciu pozostanie ponadto dłoń! Wreszcie kiedy ją rozewrę i pokaże na wsze strony, dopiero mówić można będzie jak prezentuje się całość. Tak jest i ze sprawą mego klienta i dlatego uważam za konieczny obowiązek oświetlić ją możliwie ze wszystkich stron. — Pan prokurator, tu uderzę się ze skruchą w piersi, dał nawet nie jeden, ale dwa aspekty sprawy: przestępstwo i szaleństwo. Słusznie na to zauważył mój klient, że może ani jedno ani drugie nie ogarnia faktu w całej jego zasadniczej objętości. Przestępstwo kradzieży? Cóż to za kradzież, gdy się świadomie niszczy sam przedmiot tej „kradzieży!” Można w postępku mego klienta dopatrywać się na razie cech niedozwolonych przez prawo. Lecz, powtarzam — na razie. Bo gdy się weźmie pod baczną uwagę wszystkie okoliczności, jakie spowodowały zniszczenie A. R. 7 przez Stani ey’a Murphy, okoliczności które pan prokurator zlekceważył, a które świadek Darley tak przekonywująco nam uplastycznił, — czyn mego klienta stanie w zgoła innym świetle. Przecież wokoło wynalazku istotnie kłębiły się intrygi wybuchające przestępstwami, a nawet zbrodniami. Wszystko to zmierzało do prawdziwej kradzieży A. R. 7. Porwanie profesora Beniamina Murphy, porwanie miss Gladys O’Connor, pożar w laboratorium, wreszcie tragiczna śmierć profesora na progu swej pracowni, czyż to wszystko nie dowodzi, że sprawcy tych zbrodni „którzy zresztą umknęli przed karą, nie cofnęliby się przed niczym, byleby zawładnąć wynalazkiem?! I śmiem twierdzić, że zawładnęli by! Poto sprowadzili ze sobą sterroryzowanego i zatrutego jakimś diablím zastrzykiem profesora. Spodziewali się, że wskaże im skrytkę i wyda dokumenty A. R. 7. A potem umrze i panami wynalazku zostaną oni. Nie spodziewali się jednak, że w kabinie będzie Stanley Murphy i sparaliżuje ich zamach. A Stanley Murphy w żaden

sposób nie mógł się spodziewać, że wraz z zamachowcami u progu kabiny znajduje się i jego ojciec, już skazany przez zbrodniarzy na śmierć! I dlatego syn mógł z czystym sumieniem zniszczyć w skrytce dokumenty A. R. 7. będąc przeświadczony, że ojciec po powrocie zrestytuuje wynalazek. I Stanley Murphy mógł się spodziewać, że odparłszy doraźnie cios, urwie łeb hydrze, bo władze wytropią i ujmą całą szajkę! — Gdzież więc tu miejsce na przestępstwo, panowie przysięgli? Dostrzegacie je? Bo ja — nie! Tym bardziej zaś, gdzie tu szaleństwo? I owszem — ja widzę tylko żelazną logikę powodującą postępowaniem mojego klienta. Prawda, padł on ofiarą pewnych nie dających się przewidzieć fatalnych okoliczności. Ofiarą tych okoliczności padło, niestety, i A. R. 7. Możemy wszyscy boleć nad tą katastrofą, jak nad trzęsieniem ziemi. Fatalizm! A jeżeli już winić w niej kogoś to jedynie szajkę zamachowców. Tych ludzi należy ukarać, ale nigdy Stanley'ą Murphy. Dlatego też zwracam się do Wysokiej Izby i do was, dżentelmeni przysięgli, o uniewinnienie mojego klienta.

Mowa obrońcy zrobiła silne wrażenie na całej sali. Powracający ze skromną powagą na swoje miejsce Pringle skrajem ucha z satysfakcją zagarniał szmer uznania pod swoim adresem. Gdy jednak w przelocie spojrzął na twarz Stanley'ą, skamieniałą w sarkastycznym grymasie, serce w nim upadło i z obawą pomyślał:

— Przerznie mi wygraną sprawę...

— Oskarżony ma swoje ostatnie słowo! — oznajmił przewodniczący.

Stanley wstał i wsparłszy się rękami o pulpit przez dłuższą chwilę oczyma ojca przygniatał salę ciężkim spojrzeniem. Wreszcie jął mówić wając powoli słowa:

— Zniszczyłem A. R. 7. Tak jest. Mam za mój czyn ponieść konsekwencje. Ale jakie? Sądziłem, że przewód sądowy wskaże na nie. Sądziłem, że z jakichkolwiek ust, świadków, prokuratora, obrońcy czy może skądkolwiek z sali, padnie to jedno słowo, które od razu wyświecili całą sprawę. Zrobi ją jasną i naprawdę prostą. Nie usłyszałem tego słowa. Nie przyszło ono nikomu na myśl ni na wargi. Ta jedna jedyna pobudka czy powód, że postąpiłem tak, jak postąpiłem. Świadek Lurie - Malliot uważa, że powodowało mną szaleństwo. Prokurator imputuje mi (niczym hamletowy problem: "być albo nie być!") bądź szaleństwo, bądź przestępstwo. Obrońca mój w sposób wcale misterny dowiódł mi daru żelaznej logiki, lecz niestety widzi ją w złym kierunku, bo w kierunku obrony A. R. 7, gdy ja w rzeczywistości nie mia-

łem żadnego zamiaru bronić wynalazku. I owszem miałem zamiar właśnie go zniszczyć!

Przez salę przebiegł poszum zdumienia, który sędzia Blanding stłumił uderzeniem swego młotka.

— Teraz może domyślicie się tego magicznego słowa, które było istotnym motorem zniszczenia przeze mnie A. R. 7. Słowo to brzmi: IDEOLOGIA! Dla tego słowa idzie się na śmierć. To słowo zdobywa światy!

— Teraz oczywiście, — ciągnął swe ostatnie słowo Stanley, — macie prawo mnie zapytać, jakiej ze to ideologii ofiarą padł epokowy wynalazek mego ojca, który na punkcie pewnych obaw co do A. R. 7. był wyjątkowo jednego zdania ze mną. W przeciwnym razie nie umieściłby dokumentów dotyczących się wynalazku w specjalnej aparaturze mogącej A. R. 7 w niebezpiecznej chwili zniszczyć. Z tej to aparatury ja skorzystałem bez zgody i woli ojca. Słusznie zauważył obrońca Pringle, że ojciec mój nawet niszcząc wynalazek mógł go później zrestituować. Teraz już zrobić się tego nie da, co sprawia, że, dopiąłem ideowego celu. Ideę moją wyłoniło ponure podłoże dzisiejszej rzeczywistości. Ponure, podkreślani, bo podłoże to jest w stanie doprowadzić ludzkość do najstraszliwszej, niebywałej jeszcze w dziejach świata katastrofy. Chodzi o to, że XX-ty wiek wytworzył pomiędzy umysłowością ludzi, a ich psychiką tak wielką przepaść, że może w nią runąć cała cywilizacja wraz z nami. Nauka pędzi genialnymi skokami naprzód, pragnąc przez wynalazki poprawić byt ludzkości. A równocześnie ogół narodów drepcze w miejscu wyzyskując się nawzajem i nadal od tysięcy lat za jedyną ostateczną metodę regulowania stosunków między sobą uznaje wojnę. W takich warunkach dobrodziejstwa nauki przepotwarzają się w zasady kapitału na pracę i w coraz okropniejszą broń wojenną. Czy Rutheford zgłębiając tajniki elektronów mógł przypuszczać, że pracuje pioniersko dla bomby atomowej, grozy państw i narodów?! Czy wynalazcy sztucznego jedwabiu z bawełny zaprawionej kwasami zmiierzali do tego, by bawełna taka stała się podstawowym surowcem dla fabrykacji środków wybuchowych? Albo by technika gazowa ważna dla chemii przemysłowej była punktem wyjścia dla wytwarzania gazów trujących?!.. Jednym słowem, geniusz uczonego tworzy nowe dobro, a fabrykant broni, handlarz śmierci, dla zysku osobistego, a zimny drań dla żądzy władzy przetwarza owo dobro na zło coraz większe i okrutniejsze! Uczestniczyłem w ostatniej wojnie i widziałem, jaką miązgę z milionów ludzi i tysięcy miast produkowały cuda tech-

niki wojennej wychodowanej na glebie naukowych wynalazków. Spróbujcie sobie tedy wyobrazić kataklizm przyszłej wojny, gdy wobec dalszego przerostu intelektu jednostek przy niedorozwoju etycznym tysięcy geniusz przyszłego Edisona czy Marconiego będzie przystosowany do usług przyszłego Hitlera! Biada wówczas ludzkości!

I teraz, gdy ojcu memu, geniuszowi wobec ludzi, lecz atomowi wobec oceanu niezgłębionych mądrości natury, udało się wytresować pierwiastkowy atom na robota, któryby pracował dla ludzkości, — już wokoło wynalazku poczęły się skłębiać ciemne siły, by robota przerobić na kata popełniającego za nich zbrodnie mordowania milionów. I prędzej czy później dopięliby swego. Dlatego zniszczyłem A. R. 7! Zniszczyłem, żeby największe dobrodziejstwo dla ludzkości nie wynaturzono na największe zło: na taką nową broń wojenną, wobec której bomba atomowa okazałaby się jakimś kieszonkowym wulkanem.

I wy ośmielacie się mnie stawiać w stan oskarżenia, że ideowo udaremniłem tak zbrodniczy zamiar?!

Nie wy mnie, lecz ja was mam prawo oskarżać o karygodną tępotę niezrozumienia, że dzisiejszemu pozbawionemu etyki człowiekowi tak zwanego „interesu” nie wolno dawać do rąk takich wynalazków, jak A. R. 7! Możecie teraz postąpić ze mną, jak się wam podoba, lecz to w niczym nie zmieni słuszności mojej idei, zgodnie z którą postąpiwszy uważam się za dobroczyńcę ludzkości!

Gdy Stanley skończył swe „ostatnie słowo” na sali powstał taki hałas, że przez dłuższy czas nie było słyhać młotka przewodniczącego. Dopiero gdy Blanding podniósł głos omal do krzyku grożąc, że każe opróżnić salę, audytorium uspokoiło się.

— Wyprowadzić oskarżonego, który będzie wezwany z powrotem do wysłuchania wyroku, — oznajmił uroczyście sędzia.

Trzask aparatów fotograficznych uwiecznił wyjście Stanley’a.

— Nie będąc bynajmniej przekonany bezładnym stekiem sofizmów i utopii oskarżonego, — wygłosił swą replikę prokurator, — podtrzymuję mój wniosek oskarżenia z tą jedynie modyfikacją, że kładę jeszcze silniejszy nacisk na zbyt już widoczną anormalność umysłu Stanley’a Murphy.

— Ja ze swej strony oznajmiam, że szereg argumentów mego klienta jeszcze bardziej skłania mnie do wniosku uniewinnienia Stanley’a Murphy, — oznajmił w imieniu obrony Pringle.

Przewodniczący po krótkiej naradzie z assessorami zwrócił się do ławy przysięgłych z następującym wnioskiem:

„Wobec przyznania się przez oskarżonego Stanley'a Murphy do czynu zniszczenia dokumentów dotyczących się wynalazku profesora Beniamina Murphy nazwanego przez wynalazcę A. R. 7, Sąd zwraca się do przysięgłych, by orzekli zgodnie ze swym sumieniem, czy powyższy czyn uważają za świadome przestępstwo, czy też za postępek człowieka, którego stan umysłowy winien być zbadany i sprecyzowany przez lekarzy specjalistów”.

Po czym Blanding zarządził przerwę przez ciąg narady przysięgłych.

Po pięciogodzinnej naradzie przewodniczący ławy przysięgłych w imieniu ich gremium oznajmił, że Stanley Murphy winien być oddany pod opiekę psychiatrów dla dokładnego zbadania stanu jego umysłu.

Orzeczenie przysięgłych zostało przyjęte aplauzem publiczności.

POST – SCRIPTUM

Upłynęło z górą dwa lata od procesu Stanley’ a Murphy. W gabinecie naczelnego lekarza municypalnego zakładu dla umysłowo chorych miasta San Francisco Kania w oczekiwaniu na przyjaciela, który został uznany za wyleczonego i dziś w jego towarzystwie miał opuścić zakład, kończył rozmowę z ordynatorem.

— Cieszę się niemniej od pana, — mówił z powagą ordynator, — że dość zawiała przypadłość mister Stanley’ a Murphy przeszła bez śladu w stosunkowo krótkim czasie. Wszelkie formalności już załatwiliśmy, a że obowiązki moje wzywają mnie do pracy, więc pozwolę sobie opuścić pana. Mister Stanley Murphy lada chwila powinien tu nadejść. Oto przepustka dla obu panów upoważniająca do opuszczenia zakładu. Good bye! I ordynator z powagą zniknął w bocznych drzwiach.

Kania tak zamyślił się machinalnie patrząc na przepustkę, że nie słyszał pukania do drzwi. Ocknął się dopiero na słowa:

— Jak się masz, Tadziu!

Spojrząwszy na Stanley’ a Kania całym wysiłkiem woli starał się opanować wzruszenie na widok zmian, jakie zaszły w wyglądzie przyjaciela.

— Witaj że, kochany! Świetnie wyglądasz. Przytyłeś!.. — ścisnął Kania Stanley’ a.

— Nawet sobie włosy zapuściłem na platynowo. Ale chodźmy już stąd!

Szybko wyszli milcząc. Dopiero w aucie Stanley rzucił pierwsze pytanie:

— Jak Gladys? Chcę z nią możliwie szybko wyjechać do Polski.

— Owszem... Tylko ostatnimi czasy... trochę niedomaga.

--- Dlatego nie przyjechała?

— Właściwie... przebywa w sanatorium, więc...

— Mów z łaski swojej zupełnie bez obawy. Rozmawiasz z „wyleczonym”. Dawny Stanley pozostał tam — w zakładzie. Co jest z Gladys?

— Teraz już wszystko na dobrej drodze. Zasadniczo była anemia.

— Złośliwa?

— Nie... Ale, rozumiesz, przy jej słabym zdrowiu.

— Jedziemy do niej!

— Nie — nie. Dziś od razu — niemożliwe. Należy ją uprzedzić... przygotować. Mówiłem z lekarzami. Nagłe wzruszenie może jej znów zaszkodzić. Za 2 — 3 dni, daje ci słowo, że pojedziemy. Dzisiaj czeka na ciebie Lurie - Malliot.

— Co?! Ten... — szczeki Stanley'a zacięły się kurczowo.

— Ten, który cię ocalił od śmierci! Pozwól mi mówić... To był jedyny sposób obronienia ciebie przed Trustem Miliarderów, którym stałeś na drodze do owładnięcia A. R. 7. Gdyby cię za świadome zniszczenie wynalazku skazano na więzienie, wierzaj mi, żebyś nie wyszedł z niego żywy. Spadłaby ci jaka sztaba na głowę, lub zjadłbyś coś takiego... A, że spadkobierców nie masz...

— Z równym powodzeniem mogło mnie to spotkać tam, gdzie byłem.

— Oni nigdy nie robią nic zbędnego, a chodziło im, by się dostać do spenetrowania „Murphy's Laboratory”, co przy kurateli nad majątkiem psychicznie chorego nie przedstawiało nadmiernych trudności.

— Kto jest kuratorem?

— Profesor Lurie - Malliot. Czeka właśnie, by ci zdać kuratele.

— Po dwóch latach „penetrowania” zakładów ojca i jego prac z ramienia Trustu? I ty będziesz mi o nim dowodził, że...

— Nie uczynił z pewnością nic, z czego by Trust wyciągnął dla siebie korzyści. Zapewniam cię, bom z nim przez cały czas bezpośrednio współpracował, więc wiem. Chyba, że i do mnie straciłeś zaufanie?

Stanley obrócił Kanie do siebie i długo patrzył mu w oczy ciężkim wzrokiem ojca. Wreszcie rzekł:

— Wierze ci, — a po chwili dodał, — daruj mi stary, ale

gdybyś, tak jak ja, przetrwał przez dwa lata w hermetycznej izolacji bez żadnych wieści znikąd i od nikogo i żył pod ustawiczną presją wariackich eksperymentów psychopatów, którzy się uważają za twoich lekarzy, tobyś się nie dziwił, że ze wszystkich wiar pozostała mi tylko jedna: wiara w samego siebie.

— Rozumiem, żeś dzięki tej kotwicy przetrwał burzę, boś nie miał innego wyjścia, jak polegać wyłącznie na samym sobie, ale teraz...

— Teraz jedyną satysfakcją moją jest, że wytrzymałem i że A. R. 7 nie istnieje.

— Niezupełnie.

— Jako?!

— Wy tłumaczy ci to kurie - Malliot, tym bardziej, że już jesteśmy w domu.

U podjazdu wyczekiwał Hannibal, bez orszaku służby.

— Witaj stary kartagińczyku! — wyciągnął doń Stanley rękę.

— Oh, sir! — tyle tylko z powitalnej mowy mógł wykrztusić z siebie Hannibal, któremu na widok siwych włosów Stanley'a w wielkich oczach stanęły jeszcze większe łzy.

— Widzę, żeś się wyrobił na lirycznego solistę, bo gdzieżeś podział twój chór? — zrobił Stanley aluzję do swego powrotu z Europy po wojnie, gdy go witał cały skład służby.

— Pozwoliłem sobie odbiec tym razem od protokołu, sir. Proszę mi darować moją starczą głupotę, jeżeli...

— Nigdy ci tego nie daruję, lecz... dziękuję za ocalenie przed gapiostwem gawiedzi.

— Gdzie jest profesor kurie - Malliot? — spytał Kania Hannibala.

— Czeka na panów w kabinie. Pozwolę sobie sam zawieźć.

— Nawet windziarza wyewakuowałeś stąd, kwatremistrz, — dworował Stanley w windzie, — ale jak mogłeś uczynić to i z miss Gladys?

— W tym snadź była woła Najwyższego, przekraczająca nasze zrozumienie.

— Tak sądzisz, synoptyku?

— Na optyce nie znam się, sir. Jesteśmy na miejscu. Czy przywieźć jaki posiłek?

— Przygotuj obiad.

— Tak jest, sir. — I Hannibal odprowadziwszy Stanley'a i Kanię do kabiny i otworzywszy drzwi, wrócił na dół.

kurie - Malliot wstał zza biurka, podszedł do Stanley'a i witał go mocnym uściskiem dłoni rzekł ze szczerym współczuciem.

— Głęboko boleję, lecz nie było innego wyjścia.

— Stało się, — odparł Stanley, — Kania mi już w ogólnych zarysach wszystko wytłumaczył. Uważam jednak, że są jeszcze pewne niejasności, z których chciałbym sobie zdać sprawę.

— Może usiądziemy, — wtrącił Kania, wskazując na fotele przy szklanej ścianie, — jak wtedy.

— Słucham pana, — rzekł do Stanley'a Lurie - Malliot, gdy usiedli, — i postaram się dać na wszystko jasną i szczerą odpowiedź tym bardziej, że po pańskich dwóch latach zmieniło się wiele, o czym pan zapewne jeszcze nie wie.

— Przede wszystkim nie wiem, jak się obecnie przedstawia faktycznie sprawa A. R. 7, względem której stanowisko moje nie zmieniło się ani na jotę.

— Poruszył pan w jednym zdaniu wiele kwestii. Spróbuję odpowiedzieć kolejno. Więc — z punktu widzenia prawnego...

— O tym wiem od ordynatora. Zniszczyłem wynalazek będąc w stanie obłądu. Obecnie wyleczono mnie, lecz za mój wariacki wyczyn nie odpowiadam. Panowie znają jednak istotną rzeczywistość. Mam więc i ja prawo wiedzieć, jak jest teraz rzeczywiście z A. R. 7. Zniszczyłem je czy nie zniszczyłem?

— I tak. I nic. Zniszczył pan dokumenty ze skrytki. Lecz w „Murphy's Laboratory” pozostały rozproszone pojedyncze ogniwa wynalazku, które po dwuletniej ciężkiej pracy udało mi się zebrać z małymi defektami, a te obecnie są uzupełniane.

— Przez funkcjonariuszy Trustu Miliarderów?

— Gdyby tak było, nie mógłby pan zadać obecnie swego pytania, gdyż jako bądź co bądź prawny spadkobierca swego ojca, nie zostałby pan wyleczony aż do swej śmierci naturalnej lub, obawiam się, przypadkowej.

— Któż więc pracuje nad restytucją wynalazku?

— Ręce powołane i niezależne, w myśl idei ojca pańskiego. Niezależne od żadnych wpływów politycznych czy kapitalistycznych. A te ręce wykonają, co należy i jak należy!

— W Ameryce?

— Żyjemy na globie posiadającym pięć wielkich lądów nie licząc wysp.

— Ale i ludność taką, o jakiej mówiłem w mym ostatnim słowie na procesie.

— Jednak cywilizacja i, bądź co bądź, pewna załączkowa kultura dzięki wysiłkom jednostek tej ludności różni się pod każdym względem od bytu człowieka z okresu paleolitycznego.

— Dzisiejszy kulturę nazywa pan „zależkowy?” — zdziwił się Kania.

— Niewątpliwie, choć ignorancko wmawiamy w siebie, że stoimy na jakimś wysokim poziomie. Przyjaciel mój niedawno zmarły genialny astrofizyk (genialny w dzisiejszym tego słowa znaczeniu) sir J. Jeans na podstawie swych obliczeń stwierdził, że żyjemy dopiero na początku czasów ludzkości, w pierwszych brzaskach świtu, a dzień o długości niewyobrażalnie wielkiej (jakieś miliardy lat) rozpościera się przed ludzkością dając jej możliwość osiągnięcia nieskończonego niemal rozwoju.

— O ile się przed tym nie wymordujemy nawzajem jakimś A. R. 7!

— Groźba ta, dopóki nieco nie podrośniemy, przez jakieś powiedzmy kilkadziesiąt tysięcy lat, nie jest zupełnie wykluczona. Przypuszczam jednak, że instynkt samozachowawczy pozwoli nam jakoś przez ten szczeniący okres przebrnąć. A potem dalekim potomkom naszym, używającym w pełni władz rozumu i uczucia, będziemy się wydawać mrocznymi widmami przedzierającymi się przez gęstwinę niewiedzy, błędów i zabobonu ku prawdzie, ku okiełznaniu sił przyrody i ku uczynieniu tego świata godną siedzibą rasy. Tak twierdził mój przyjaciel sir J. Jeans, — zakończył profesor Lurie - Malliot wstając z fotela i w zamyśleniu spoglądając na San - Francisco.

— A jakby patrzył taki przyszły człowiek na nasze wspaniałe Frisco? — spytał jakby siebie Kania.

— Patrzyłby tak, jak my na jaskinie troglodytów, — odparł profesor.

KONIEC